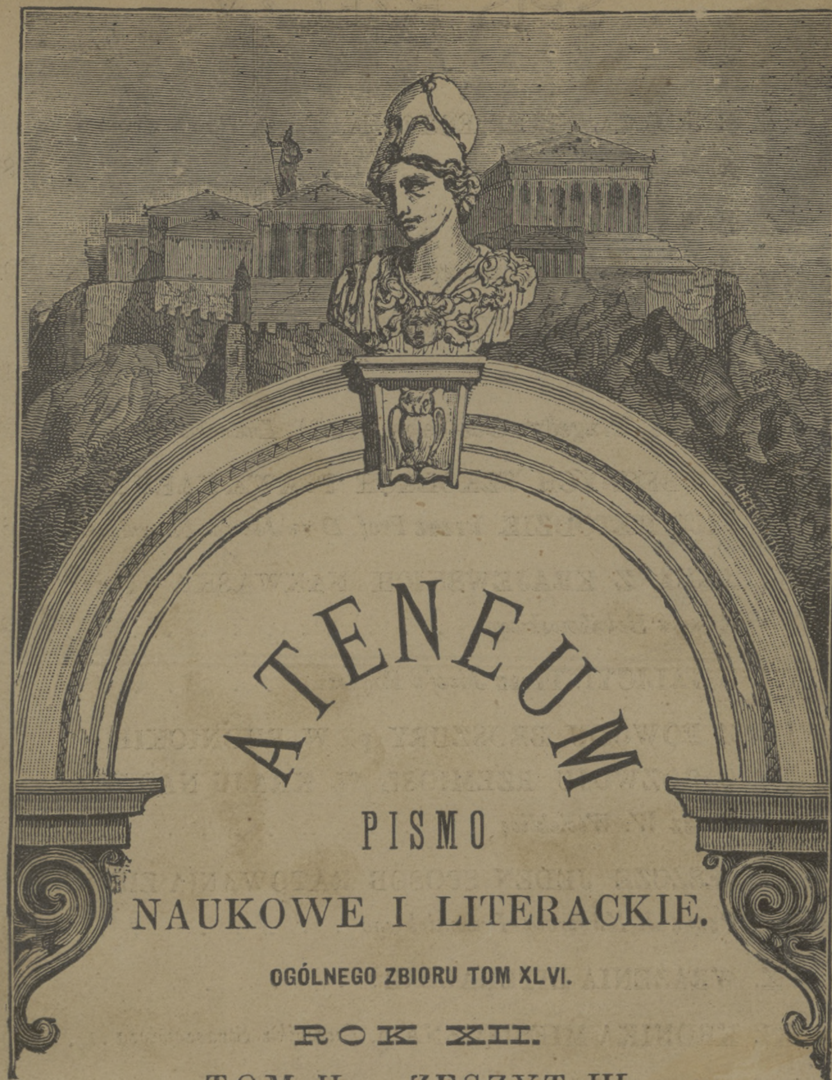


ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVI.

ROK XII.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.
Druk K. KOWALEWSKIEGO, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Czerwca 1887 r.



REFORMA UBEZPIECZENIA.

Naukowo i z praktyki życia wiadomo, że każdy organizm działa tylko wówczas prawidłowo, jeżeli wszystkie składowe czynniki odbywają normalnie swoje właściwe funkcye. Bez tego warunku najgenialniéj pomyślany mechanizm nie odpowie celowi i wyda rezultaty ujemne, o tyle, o ile zaniedbano w nim udoskonalić ten lub inny szczegół zasadniczy. Nie trudno zrozumiéć, że złożenie w podobny sposób pewnego mechanizmu administracyjnego nie jest zadaniem dość łatwém. Sztuka ta *nie tylko potrzebuje znajomości teoretycznéj* przedmiotu, oraz odpowiednich zdolności umysłowych, ale nadto, fachowéj, czyli praktycznéj, specyalnéj znajomości środków prowadzących do celu, jak niemniéj natury licznych pokrewnych żywiołów, u samych podstaw w zakres działania wchodzących.

Tymczasem odnośnie do ubezpieczenia, zazwyczaj dość powierzchowne tylko mamy pojęcie o istocie i normalnych warunkach bytu poświęconéj temu zadaniu instytucyi, i sądzimy, że same teoretyczne wiadomości wystarczą nam nie tylko do gruntownego poznania przedmiotu, ale nawet do kierownictwa. Ztąd to zdarza się od czasu do czasu,—iż pragnąc się uwolnić od wyzysku towarzystw akcyjnych, kreślimy doraźnie projekty reform, uważane przez nas za doskonałe, lecz nad któremi ludzie kompetentni wzruszają ramionami. Owe projekty w zastosowaniu praktycznem przyniosłyby zawód, nie zadawalniając nikogo i wydałyby najsmutniejsze rezultaty.

Wielu mniema, że ubezpieczenie dostatecznie rozwiązuje swoje zadanie, jeżeli służy tylko interesowi samych ubezpieczonych, jako środek wynagradzający im poniesione straty. Lecz takie ubezpieczenie, jako prosta wzajemna umowa dwóch stron, wcale nie ma doniosłości użytku *społecznego*, jak to dalszy ciąg rzeczy, bliżéj wyjaś-

ni,—lubo stanowi ono główną przynętę dla właścicieli majątków, oraz główny pretekst wyzyskiwania tychże właścicieli przez towarzystwa prywatne.. Długoletnie doświadczenie teoretyczne i praktyczne poucza, że w zakres ubezpieczenia wzorowego, zatém *moralnie*, *społecznie* i *państwowo* pojętego, wchodzić powinny następne główne czynności i *cele*:

1. Szacowanie cudzego mienia wedle wartości i przyjmowanie go do ubezpieczenia za opłatą odpowiednich składek.

2. Powrócenie strat ubezpieczonym, przy sumienném i umiejętném ich likwidowaniu.

3. Środki ku zabezpieczeniu od klęsk pogorzelowych ogółu mieszkańców, nieubezpieczających swojego mienia, (np. przez zaprowadzenie środków ostrożności lub ratunkowych; przez kontrolę nad ubezpieczonymi, by podpalania spekulacyjne szerząc pożar, nie niosły klęski nieubezpieczonym,—itd.).

4. Zapewnienie samym ubezpieczonym jak największego wynagrodzenia w razie klęski,—obok pobierania od nich w miarę rozwoju instytucyi, coraz mniejszych opłat, czyli składek, wedle zmniejszanéj stopniowo taryfy. (Co do ubezpieczenia zabudowań, środki ku temu niechybne: dobra ustawa, sumienny zarząd, i ubezpieczenie obowiązkowe w całéj wartości).

5. Pośrednie oddziaływanie na rozwój oświaty i uczuć moralnych w sferze ludzi mniéj wykształconych, jako zbyt pochopnych do podpalań, gwoli wyzysków, zawiści lub zemsty. (Instytucya może tu działać tylko bardzo pośrednio,—ale skutecznie, np. wybitniejsze fakty zbierać i ogłaszać w sprawozdaniach, doradzać środki, wynagradzać tak prywatne jak oficyalne osoby za wykrycie podpalaczy, za odznaczanie się przy ratunku itd.).

6. Obmyślanie skutecznych środków ratunku na wsi i w mieście; zawiązywanie straży ogniowych ochotniczych; stosowanie do konstrukcyi zabudowań, szczególniéj wiejskich, ulepszeń, dokładniéj zabezpieczających je od wypadku ognia;—wreszcie nieograniczona urzędowa kontrola nad utrzymywaniem w kraju odpowiadnich narzędzi ratunkowych i pieniężny udział instytucyi w zaprowadzaniu tychże narzędzi tak we wsiach, jak w miastach.

7. Ustawiczna i ścisła z urzędu kontrola nad prawidłowém funkcyonowaniem ubezpieczeń zawieranych tak w rządowéj instytucyi jak w towarzystwach prywatnych, tudzież czuwanie nad odpowiedniém likwidowaniem wynagrodzeń, nad ścisłém wykonywaniem przepisów ustawy w miastach i we wsiach, w urzędach gminnych i powiatowych.

8. Coroczne przedstawianie przez specyalnych kontrolerów, krytycznych postrzeżeń i projektów, celem stopniowego upraszczania i udoskonalania zasad ubezpieczeń.

Zaznaczyliśmy tu te kilka punktów zasadniczych nie w celu szerszego ich na ten raz umotywowania, lecz dla dania czytelnikom ogólnego poglądu na kwestyą; tylko bowiem w tak pełnym całokształcie pomyślana instytucya ubezpieczeń, jako obejmująca w sobie wszystkie części zadania, może posiadać, zdaniem naszém, rzeczywiste warunki dobrodziejstwa społecznego, moralnego i państwowego,—może się nazwać wzorową i przyczynić niezmiernie do ogólnego dobrobytu. Lecz gdy żadne Towarzystwa prywatne nie mają ani siły, ani kompetencyi, ani dość bezinteresowności do działania z planem tak szerokim i dobroczynnym, może więc je posiadać tylko instytucya państwowa, tj. działająca pod rękojmią rządu, wszakże nieinaczéj, jak *przy dobréj ustawie, zdolnym kierunku i z bezpośrednim udziałem osób wybranych z łona samych ubezpieczonych.*

Rzecz dziwna zaprawdę, że instytucya tak wielkiéj wagi, tak powszechna, i w naszym kraju lepiéj znana niż gdzieindziéj, bo przechodząca od osiemdziesięciu z górą lat, różne, nigdzie w takiéj pełni i kształtach nieznane formy, dotąd nie wytworzyła o sobie dokładnego u ogółu pojęcia, pod tym szczególniéj względem: jakie mianowicie kardynalne zasady i jaki system ubezpieczenia, to jest, rządowy czy prywatny jest najlepszy? W rozbiór szczegółowy téj kwestyi, wchodzić na teraz nie będziemy. Zaznaczyć tu tylko wypada, że najzdolniejsi nasi w nauce ubezpieczenia ekonomiści, pp. Bronisław Mayzel i prof. dr. Leon Biliński, w cennych swoich pracach, z któremi ogół lepiéj powinien być obznajmiony, umiejętnie i pouczająco traktują przedmiot ubezpieczenia, z wyjątkiem wszakże nader ważnéj niedokładności, że skoro tylko zatrzymują się nad pytaniem: „który z powyższych systematów ma bezwarunkową wyższość?“ chwieją się, i po pewnéj z różnemi zapatrywaniami dyskusyi, przyznają wyższość systemowi towarzystw prywatnych—przed instytucyą państwową! Sąd taki jest ważną omyłką, szczególniéj zaś co do zabudowań, a pochodzi stąd, że kwestyą powyższą rozstrzygnąć mogą tylko rezultaty z obszernéj *praktyki* osiągnięte, pole to zaś, pod względem praktyki osobistéj, dla obudwu szanownych ekonomistów jest całkiem obce,—tak przynajmniéj wnosić każą ich poglądy piśmiennicze. Omyłka ta wreszcie, ujawni się po części faktycznie w dalszym ciągu niniejszego artykułu.

Otóż wspólne zainteresowanie się i państwa, i społeczeństwa rozwojem takiéj instytucyi, zdaje się koniecznêm ze względu na cele dalsze i bardziéj ogólne, niż samo wypłacenie wynagrodzenia poszko-

dowanemu. Wynagrodzenie bowiem zabezpiecza tylko interes jednostki, lecz niezwraca ogółowi tych strat, jakie tenże ogół pośrednio wciąż ponosi w naturze i w następstwach ekonomicznych, idących zawsze w ślad za klęskami prywatnemi. Każda bowiem większa klęska losowa, a témbardziéj suma tych klęsk, dajmy na to, całoroczna, niszcząc zasoby produkcyjnych wytworów, przynosi ubytek całości bogactwa ekonomicznego w kraju,—wyrządza więc część niepowrotnych strat całemu ogółowi, a pośrednio i skarbowi. Tak naprzykład spółubezpieczeni tracą wówczas pieniężnie na zwiększonéj składce, lecz prócz tego wszyscy tracą na zmniejszeniu krajowych zasobów, na podwyżce ich ceny a zniżce wartości pieniędzy i na uszczupleniu kardynalnych warunków życia.

A że klęski są zaraźliwe, i jeżeli im stanowczo na razie niezapobiegamy, jedne z drugich się wywiązują,—przybywa więc nam wówczas z jednéj strony—upadek kredytu tak prywatnego jak państwowego, z drugiéj zaś—źródło zwiększające proletaryat i nędzę,—owe czynniki fermentu, w którym lęgną się i dojrzewają malkontenci różnéj barwy, socyalnéj, nihilistycznéj, czy innéj. Nędza bowiem codzień dotkliwsza i proletaryat codzień liczniejszy, rekrutowany już dzisiaj w ogniskach rodzin wyżéj nawet oświeconych, nadto zaniedbywanie podstaw moralnych, a obok tego niesprawiedliwość i zbite szeregi klęsk różnorodnych, oddziaływając na masy, wstrząsając umysły i szerząc codzień większą niedolę, o któréj niewiedzą chyba ci co wiedzieć nie chcą, wytwarzają owych licznych malkontentów,—malkontenci zaś nawzajem drogą reakcyi i siły odpornéj, wytwarzają sposoby ratunku pod formą nowych klęsk i nadużyć, dorzucając je ludzkości nad pełną miarę, jakby miecz Brennusa, lub jakby zapowiedzi owego kataklizmu, idącego ku nam w czarnych obrazach proroctwa Jana Scherra. Stąd to codzień nam trudniéj i boleśniéj, stąd nad wszystkimi wisi ciężkie jakieś widmo trwogi i pesymizmu, a zdumiona tém garstka szczęśliwców i zdumieni stróże bezpieczeństwa, nie zgłębiając przyczyn, nie mogą pojąć, skąd i po co ten niepokój, te nieporządki, ten zamęt rozpaczny, kiedy im samym tak błogo używać wczasu na miękich materacach...

Starajmy się, aby tak niebyło, i niechaj każdy pojmujący zadanie człowieka szlachetnie, godnie, po obywatelsku,—porzuci bezczynną kontemplacyą lub pracowite doktrynerstwo, które nas dzieli.

Teoryą taką realizując w praktyce, piszący te słowa na ten raz obiera sobie za przedmiot kwestyą ubezpieczenia.

Niepodobna jednak przedstawiać tu przedmiotu w całéj rozciągłości, bo na to wypadałoby zapełnić obszerną książkę. Obecnie przeto streszczamy tylko kilka rysów ogólnych z dziedziny dojrzal-

szego nieco, a niedość trafnie wyrobionego u ogółu pojęcia o charakterze ubezpieczenia i pragniemy rzucić kilka uwag odnośnie do praktycznych potrzeb chwili bieżącéj, tudzież wyjaśnić przyczyny finansowego upadku państwowéj naszéj instytucyi, — w tym zaś celu wypada przyczyny te porównać na jednéj szali z obowiązującą dziś ustawą z r. 1870.

Ustawa ta skutkiem przejścia ubezpieczeń ruchomości i innych dobrowolnych, do towarzystw prywatnych, przerobioną została z polecenia władzy z ustawy 1866 r. Z powodu mnóstwa wadliwych jéj stron, wytkniętych niejednokrotnie w pismach publicznych, niefortunni jéj autorowie zasłaniają się wymówką: jakoby takie błędne otrzymali wskazówki z góry. Nie jest to jednak prawdą: władza bowiem stanowi i redaguje szczegółowe ustawy tylko *co do sfery interesów czysto rządowych*, instytucyom zaś prywatnéj natury, jak naprzykład ubezpieczenie, towarzystwo kredytowe lub tym podobne, zakreśla tylko pewne *główne zasady*, od których odstąpić nie wolno; sposób zaś administrowania, biurowość, szczegółowe instrukcye, skład pracowników, etaty i t. d., lubo potrzebują zatwierdzenia władzy, zależą jednak w zupełności od pierwotnych projektodawców, lub następnych zarządców tych instytucyi, którzy nawet wpłynąć mogą na zmianę niektórych zasadniczych postulatów. Ustawa więc dzisiejsza, dzięki nieudolności projektotwórców, zwichnęła byt jednéj z najważniejszych dźwigni ekonomicznych w kraju, skutkiem czego z jednéj strony posiadacze nieruchomości znajdują w niéj bardzo szczupłą tylko pomoc, z drugiéj zaś fundusze stowarzyszenia tak zostały wyczerpane, pomimo trzykroć wyższych opłat, niż były za czasów Dyrekcyi ubezpieczeń, że coraz częstszy brak pieniędzy w kasach, mianowicie powiatowych, powoduje dziś tysiączne utrudnienia w odebraniu należności, zaś dla przecięcia panującego i zwiększającego się nieładu, same już władze wyższe uznały potrzebę zmienić lub uzupełnić dzisiejszą wadliwą ustawę.

Jakoż tygodnik petersburski „Kraj“ w Nr. 6 z r. b. pomieszcza następną wiadomość z Warszawy: „Komisya, wyznaczona przed trzema miesiącami do zbadania przyczyn finansowego upadku instytucyi ubezpieczeń gubernialnych, dotąd czynności swoich nie rozpoczęła. Wiadomość o tém zainteresuje ogół naszych *rolników*, przywiązujących do czynności komisyi wiele nadziei i znaczenia.“

Nie ulega wątpliwości, że skoro komisya specyalna została wyznaczoną, to i czynności swoje niebawem rozpocznie, ze względu na rzeczywistą doniosłość zadania; takie bowiem kwestye, jak naprzykład zupełny deficyt funduszów ubezpieczeń w sześciu guberniach, posiłkujących się oszczędnościami pozostałych gubernii lub zdwaja-

niem normalnéj premii i tak już wygórowanéj, nie wytrzymają zbyt długiéj zwłoki w reformie ubezpieczenia państwowego, w któréni pieczęć rządu gwarantuje wszelkie straty, a opłaty pobierane w coraz wyższym stosunku od ubezpieczonych, wyczerpują się w sposób nieprawidłowy.

Nadto, prócz téj bezpośredniéj zachęty do pośpiechu, ubezpieczenie ma jeszcze u nas, jak już wyżéj nieco nadmieniłem, szeroką ogólną doniosłość ekonomiczną, ze względu, że jest gwarancyą przeciw klęsce w chwili powszechnéj biédy, codzień groźniejszéj, codzień brutalniéj wciskającéj się oknami i drzwiami pod dachy obywateli wiejskich i miejskich, i tak brzemiennéj w gorsze jeszcze horoskopy, że trudno pojąć, dla czego prasa nasza tak mało je zna, czy tak mało nad niemi się zastanawia. Komu zabraknie na chleb powszedni i na edukacyą dzieci, a już dziś większa jest liczba takich „obywateli“, temu zabraknie i na podatek i na inne ciężary. Nadto, smutny stan u nas ubezpieczenia dotyka bezpośrednio nie samych tylko „rolników“, jakby sądzić należało z powyższéj wzmianki w „Kraju“, lecz znacznie jeszcze większą liczbę obywateli miast naszych i osad, tudzież przemysłowców lub właścicieli bogatych zakładów fabrycznych, w niepośledniéj mnogości rozsianych po kraju, a w których to zakładach codzień dotkliwiéj nadprodukcya i stagnacya dają się odczuwać. Ci wszyscy, wobec szerzących się u nas pożarów w rozmiarach niezwykłych, i w tak rosnącéj liczbie, do jakiéj żadne, ile nam wiadomo, inne państwo nie dochodzi, pragnęliby przynajmniéj od téj klęski widziéć zabezpieczone swoje kapitały, reprezentowane przez ruchomość lub nieruchomość, mało dziś procentujące; dlatego ci wszyscy gorąco i bezpośrednio zainteresowani są ubezpieczeniem, — pośrednio zaś statyści, ekonomiści i cały myślący ogół.

Zapewne więc wspomniana komisya zaprząta się obecnie zebraniem przygotowawczych materyałów, dla braku których, do stanowczych działań nie przystąpiła jeszcze; nie łatwe to bowiem zadanie zreformować ubezpieczenie na podstawach zupełnie prawidłowych, w kraju, gdzie ta gałęź gospodarstwa społecznego, skutkiem braku centralnego kierunku specyalnego traktowana przez wielu po macoszemu, doszła do rozstroju, gdzie nadto liczne towarzystwa akcyjne prosperują pomyślnie na polu wyzyskiwania i gdzie ubezpieczenie państwowe „gubernialne“, oparte jest na ustawie tymczasowéj, napisanéj dorywczo i nieumiejętnie.

Być więc może, iż te kilka słów przydadzą się do dyskusyi nad zamierzoną refomą. Wprawdzie niegdyś dawne Komisye rządowe, jak to dobrze pamiętamy, szczególniéj Komisya skarbu, do opraco-

wania nowych projektów, wzywała przez cyrkularze referentów gubernialnych i powiatowych, jako najpraktyczniéj, bo bezpośrednio i specyalnie obznajmionych z przedmiotem, — za najlepsze zaś projekta wyznaczała sowite nagrody pieniężne. Ztąd dziś podnosząc głos w prasie, nie możemy dotykać tu mnóstwa kwestyi ściśle fachowych, biurowych, administracyjnych, które moglibyśmy dostarczyć tylko w razie potrzeby, lub rozbudzonéj dyskusyi. Ograniczymy się przeto na kilku więcéj interesujących ogólnych rzutach, mogących zająć uwagę tak ogółu czytelników, jak odnośnych specyalistów, i *w takim tylko zakresie, w jakim dyskusya jest potrzebną dla podźwignienia funduszów.*

W téj kwestyi nastręczają się nam następne pytania:

1) W czém spoczywa główna przyczyna złego, czy w złéj ustawie, czy w złym ustroju zarządu? są to bowiem dwa całkiém odrębne czynniki, mogące stać obok siebie w zupełnym antagonizmie.

2) Czy jest sposób na to, ażeby bez przywracania centralnéj w kraju dyrekcyi ubezpieczeń i bez zniesienia towarzystw prywatnych (gdyż to nie jest dzisiaj wolą rządu), udokładnić ustawę i usunąć wady zarządu na podstawach zupełnie odpowiednich potrzebie dzisiejszéj.

Co do 1-go pytania, już wiemy ogólnie, że ustawa jest bardzo wadliwą, niektóre więc ważniejsze jéj niedokładności zaraz rozbierzemy.

Co zaś do ustroju administracyi, nie ulega wątpliwości, że zdolny, doświadczony kierunek, może mniéj więcéj znośne sprowadzić rezultaty nawet przy niedość praktycznych przepisach. Lecz ustrój zarządu po zwiniętéj Dyrekcyi był tak dalece chybionym w saméj podstawie, że zaraz w r. 1867 doświadczeńsi urzędnicy przewidywali upadek instytucyi. Usunięto bowiem zarząd główny i usunięto połowę fachowych, wyrobionych urzędników, oddano zaś ubezpieczenie rządom gubernialnym, nieznającym przedmiotu i niedbającym podówczas o ubezpieczenie, — referat zaś powierzono wielu osobom niefachowym, oderwanym od całkiem innych zajęć, z pominięciem przytém wszelkiéj umiejętnéj kontroli nad kierunkiem interesów w zarządach gminnych i powiatowych. Zmiany zaprowadzone w ustawie w r. 1870, jeszcze gorzéj rzecz popsuły, ustawa więc była tu w zupełnéj harmonii z jéj wykonaniem.

Lecz zapatrujmy się na rzecz bezstronnie i krytycznie. Zapyta nas bowiem czytelnik, dlaczego przeglądając sprawozdania o rezultatach przeciętnych, osiągniętych w różnych guberniach, znajdujemy, że gubernie: warszawska, płocka, lubelska i radomska, rządząc się tak wadliwemi zasadami, w ostatnich jednak latach zdo-

łały nietylko pokryć straty pogorzelowe, ale nadto osiągnęły jeszcze pewne oszczędności, złożone do Banku jako kapitał zapasowy, wypożyczany dziś innym guberniom?

Otóż zaprzeczyć niepodobna, że taki stan rzeczy zawdzięczać należy poniekąd przyjaznym okolicznościom, lecz przedewszystkiém trafnéj czy gorliwéj działalności owych gubernialnych zarządów ubezpieczeń (1).

Jest to fakt dla nas ważny w téj rozprawie, — wysnuwamy bowiem z niego wniosek niepośledniego znaczenia, jako odpowiedź na 2-e pytanie wyżéj postawione, mianowicie, że przy pewnych modyfikacyach dzisiejszéj ustawy i trafnéj, a bardzo umiejętnéj poprawie systematu administracyjnego, można będzie w granicach postawionych w temże drugiém pytaniu nietylko ulżyć ciężaru ubezpieczonym w oznaczeniu im wysokości składek i wypłacie wynagrodzeń, lecz nadto doprowadzić stan funduszów we wszystkich guberniach, oraz kapitał zapasowy do stanu zupełnie zadawalniającego.

Wypada nam tedy wykazać obecnie choćby w ogólnych zarysach, w czém mianowicie należałoby, zdaniem naszem, przedewszystkiém zreformować tak samę ustawę, jak wadliwe strony zarządu.

A. **Co do ustawy,** zaprawdę wolelibyśmy nakreślić projekt do całkiem nowego statutu, niż prostować stary, na wskróś niepraktyczny; łatwiéj bowiem wznieść nowy budynek, niżeli walący się naprawić. Zwrócimy więc uwagę na główne tylko zboczenia, i tak:

a) Podwalina funduszów ubezpieczeń wspiera się na jak największéj *liczbie właścicieli* ubezpieczonych, oraz jak największéj sumie czyli *wartości* przyjętéj do ubezpieczenia; wówczas bowiem straty przeciętne rozkładając się na większą liczbę uczestników i proporcyonalnie do ich zasobów, mniéj są dla wszystkich dotkliwe, dają łatwiejszą możność zmniejszenia opłat i zgromadzenia kapitału zapasowego. Ztąd bardzo słusznie państwowe ubezpieczenie zabudowań jest u nas obowiązującém dla wszystkich prywatnych właścicieli, lecz z drugiéj strony nie jest obowiązującém co do całkowitéj wartości, bo tylko do 5 tysięcy rubli; przewyżka zaś od 5 do 10 tysięcy rubli może być ubezpieczoną w instytucyi rządowéj lub prywatnéj. Jeżeli zaś wartość jednéj nieruchomości przenosi 10 tysięcy rubli, a między takiemi znaczna jest liczba przenosząca 50, 100, 200 lub 300 tysięcy rubli, to tylko z téj cyfry suma 5 tys. rubli przyjmuje się w instytucyi rządowéj, cała zaś pozostała wartość przechodzi do towarzystw prywatnych.

---

(1) Do upadku funduszów w gub. siedleckiéj i piotrkowskiéj przyczyniły się znaczne straty pogorzelowe.

Wielu krytyków wytykało tę dziwną różnicę, lecz nikt nie wskazał trafnie, dlaczego i o ile jest ona szkodliwą w praktyce? Otóż nieprawidłowość ta jest najpierwszą i najważniejszą przyczyną wzrastającéj ciągle ruiny funduszów ubezpieczenia państwowego, tak dalece, iż bez jéj usunięcia niepodobna ani myśléć o poprawie urządzeń. Należy bowiem zwrócić uwagę, że do ubezpieczeń obowiązkowych gubernialnych należą w całkowitéj wartości wszystkie w kraju zabudowania *drewniane*, w znacznéj liczbie słomą kryte, tak włościańskie, jak dworskie lub miejskie, i położone w osadach,—a tylko drobna ich cząstka *wyjątkowo* jest przyjmowaną przez towarzystwa prywatne. Przeciwnie zaś do tych ostatnich towarzystw wchodzą wszystkie trwałe, *murowane* budowle wyższéj wartości, które zatém nader rzadko ulegają pogorzelom, — gdy drewniane, należące do ubezpieczenia rządowego, wraz z małą stosunkowo ilością murowanych, ustawicznie ulegają pożarom, niszczącym niejednokrotnie całe wsi, miasta i osady. Tym sposobem te fundusze z opłaty składek, któreby najdzielniéj wspierać mogły dobro instytucyi rządowéj i nie dopuściłyby jéj upadku, znajdą się w ręku prywatnych stowarzyszeń i przechodzą w znacznéj części na korzyść ich dywidendy. Przestajemy na tém zwięzłém objaśnieniu, bo doniosłość różnicy każdy zrozumie.

Zrównoważenie więc w téj mierze przywilejów instytucyi rządowéj z prywatnemi, zdaje się tu niezbędném; w jakiéj zaś formie mogłoby to nastąpić, rozstrzygnąć nie trudno, a zależy to od uznania władzy. Nadmieniamy tylko, że b. Dyrekcya ubezpieczeń wcale nie ograniczała sumy przez nią przyjmowanéj, i że taryfa jéj składek była niekiedy trzykroć niższą od dzisiejszéj, lub nawet więcéj (co w potrzebie możemy wykazać na przykładach), a jednak obok dość wadliwéj administracyi i nieładu, spowodowanego wyzyskiwaniem i skąpem uposażeniem urzędników, nigdy nie doznała braku funduszów, lecz pozostawiła znaczne sumy zapasowe, które następnie pomimo podwyższonéj dzisiejszéj taryfy, zostały przez ubezpieczenia gubernialne w części wyczerpane.

Gdyby więc dziś zrównoważenie to mogło nastąpić, to jest gdyby dozwolono właścicielom przewyżkę dajmy na to nad 10 lub 20 tysięcy rubli, podawać *wedle ich życzenia*, do instytucyi rządowéj bez ograniczenia sumy, lub téż do prywatnéj, wówczas zabezpieczyłoby to stanowczo dalszy byt ubezpieczenia państwowego, a nadto prywatne towarzystwa przez emulacyą, zniewolone byłyby do obniżenia swojéj taryfy.

Wreszcie co do taryfy rządowéj, to ta, z mocy przepisów, w każdym razie podlega przejrzeniu w roku bieżącym, na podstawie artykułu 40 ustawy.

b) Ponieważ obecny byt stanu włościańskiego, od czasu uwłaszczenia uległ znacznéj poprawie i cieszy się dziś ogólném powodzeniem, zdawałoby się zatém, że przywiléj nadany im artykułem 31 ustawy co do osobnéj klasyfikacyi ich zabudowań, mógłby odtąd być pominięty, a budowle ich mogłyby uledz włączeniu do 3-go szeregu, co również byłoby przyczynkiem do wyrównania ogólnych funduszów.

c) Niepodobna tu pominąć punktu, niezaprzeczoną mającego wagę nietylko dla instytucyi lecz i dla państwa, mianowicie co do obowiązkowego *odbudowania* spalonych budowli. Podług dawnych przepisów, wzniesienie nowych budowli w miejsce spalonych, było obowiązującém, i w tym celu zaraz po pogorzeli wypłacano właścicielowi ⅓ część wynagrodzenia na zakupienie materyałów,— resztę zaś asygnowano w miarę odbudowy lub po jéj ukończeniu. Ustawa zaś z r. 1870 dozwala dziś podnosić całkowite wynagrodzenie bez odbudowy, z wyjątkiem tylko, jeżeli wierzyciele hipoteczni na to nie zezwolą. Że zaś większa część zabudowań nie posiada hipotek, zwolnienie więc od odbudowy, jak wykazują liczne przykłady, zachęca wielu spekulantów do wyzyskiwania funduszów ubezpieczeń drogą podpalania własnych budynków upadających, lub nadal im niepotrzebnych a wysoko ubezpieczonych.

Właściciel naprzykład zakładu przemysłowego, nie otrzymując z produkcyi odpowiednich korzyści, urządza z nieprocentujących zabudowań „auto-da fé“, a to wówczas nawet, gdyby te budowle posiadały rzeczywiście szacunek ubezpieczony; dla jego bowiem widoków straciły już one wszelką prawie wartość. Tém częściéj płoną w ten sposób budowle zniszczone przez czas,— palą się młyny lub wiatraki, jeżeli nie przynoszą spodziewanych zysków właścicielom,— palą się tartaki stawiane w bliskości lasów, gdy już lasy wycięto i zużytkowano, — palą się domy spekulantów małomiasteczkowych, którzy dla lepszych widoków i pozyskania gotówki, pozbywają się budynków, plac sprzedają, podnoszą całkowite wynagrodzenie i przepadają bez wieści. Są to fakty wprost „z życia“ czerpane i wielokrotnie śledztwami stwierdzone. Ci wszyscy nie uczyniliby tego, gdyby wynagrodzenie było im płacone częściami, z obowiązkiem i w miarę odbudowania. Nadto, miasta niszczone tak często pożarami, łatwiéj wówczas podnosiłyby się z upadku, gdyby zniewalano mieszkańców do wznoszenia nowych budynków za fundusz z ubezpieczenia im wypłacony, boć bez wznoszenia się budowli nie rozwija się żadna miejscowość, nie ściąga przemysłowców i kapitalistów, a życie ekonomiczne, społeczne i umysłowe upada; przytém dla ubezpieczenia znika bezużytecznie część gotowizny i część składki ogniowej.

d) Istotną też szkodę przynosi sprawie przepis, aby uczestnicy ubezpieczenia z własnych funduszów opłacali *techników* i *urzędników* za formowanie dowodów ubezpieczenia. Skoro bowiem państwowe ubezpieczenie z zasady jest „obowiązującém" dla właścicieli, ci zaś wedle ustawy opłacają składki nietylko na pokrycie strat losowych, lecz i na „koszta administracyi",—sama więc administracya ubezpieczenia ma obowiązek wysyłać urzędników na miejsce dla sformowania odpowiednich dowodów i opłacać im za to należne dyety.

Przypomina się nam ten wypadek z gubernii suwalskiéj, gdzie jakiś biedak, mając odebrać za spaloną klitkę 30 rubli, obliczył, że dwukrotne opłacenie pana wójta i pisarza za uformowanie dowodów pogorzeli a następnie odbudowy, oraz druki i wyjazdy do miasta po pieniądze kosztować go będą znacznie więcéj, poszedł więc do głowy po rozum i zrzekł się całkiem wynagrodzenia.

Wogólności, bezpośredni stosunek pieniężny pomiędzy interesantem a delegatem władzy, jest co najmniéj niemoralnym i czyniąc sytuacyą urzędnika zależną od strony, przynosi mu ujmę, a bodaj czy nie wytwarza czasem zanadto zbliżonego stosunku i nie otwiera dogodnéj furtki do nadużyć...

e) Nadto, trudno tu pominąć drugiéj formy źle zrozumianéj oszczędności, jeszcze szkodliwszéj niż poprzednia, mianowicie nader *nizkiéj płacy* urzędników ubezpieczeń, téj dziwnéj zaprawdę anomalii, karmiącéj swoich pracowników głodem i długami, albo też zniewalającéj ich do szukania ratunku na tém polu nie dla nich zasianém, na którém każda urzędowa czynność jest natury pieniężnéj.... Czy bowiem ciężkie warunki życia urzędnika i brzemię obowiązków rodzinnych, nie popychają go do działania ze szkodą ogółu i instytucyi, i czy społeczeństwo nie więcéj traci na nadużyciach i demoralizacyi, niżeli zyskuje na tego rodzaju oszczędnościach?

Wracając do założenia naszego, zaznaczamy jeszcze, że właściciele ubezpieczonych zabudowań nigdy się nie skarżyli na wysokość składki ogniowéj od zabudowań i chętnie dopłacą nawet drobną podwyżkę na koszta administracyi, *dla zrównania płacy urzędników wedle zasad przyjętych przez towarzystwa prywatne*, byle tylko nie potrzebowali opłacać „panów delegowanych", i byle nie uszczuplano poszkodowanym słusznego wynagrodzenia w razie klęski, co się u nas z takiém fiskalném amatorstwem dopełnia na biurku pana referenta.

Moglibyśmy tu więcéj jeszcze przytoczyć podobnych uwag krytycznych co do ustawy, lecz tymczasem i te może wystarczą, zwłaszcza gdy jesteśmy w obawie, czy nie znużymy zbytecznie czytelnika, mniéj nawykłego do podobnych studyów administracyjnych. Nie-

wiem bowiem doprawdy, czyjéj to obojętności przypisać,—czytelników czy publicystów,—że piśmienictwo nasze tak jest ubogie w rozbiory tego rodzaju, acz tak żywotne dla ogółu. Słusznie tedy odzywa się „Gazeta Warszawska“ że „gdy we Francyi każda najdrobniejsza gałęź administracyi jest najdoskonaléj opracowaną, zbadaną,—u nas najważniejsze instytucye nawet wzmianki nie wywołały. A jednak działalność piśmiennicza w tym kierunku jest wielkiéj wagi dla kraju i dziś czasby już badania i studya nad tym przedmiotem przynajmniéj rozpocząć.“

Lecz podążajmy do drugiéj części kłopotów naszego ubezpieczenia, mianowicie:

B. **Co do zarządu.**—Powiedzieliśmy już, że podwaliną instytucyi jest jak najszerszy udział uczestników, oraz fundusze, zbierane z unormowanych stosunkowo składek. Normalna zaś wysokość owego funduszu czyli zebranych składek zależy od tego, aby wszystkie zabudowania były, jak wiemy, obowiązkowo ubezpieczone i pod względem opłaty *do właściwéj kategoryi* zaliczone. Otóż w téj mierze bardzo wiele u nas pozostaje do życzenia. Dla zmniejszenia bowiem ciężaru opłat, lub téż skutkiem mylnego pojmowania przepisów, ogromną liczbę zabudowań pomieszczono w niewłaściwéj kategoryi, a ztąd za budowle więcéj niebezpieczne, zwykle do możnych przemysłowców należące, opłaca się takaż składka, jak od zwyczajnych budowli, dających lepsze bezpieczeństwo pod względem pożaru. Może być, że niektóre gubernie, jak płocka, warszawska lub inna, dzięki ściślejszéj kontroli inspektorów, stanowią tu wyjątek, fakt jednak powyższy, z powodu wadliwych ogólnych urządzeń i braku należytéj kontroli gubernialnéj prawie powszechnie, w całym kraju daje się dostrzegać, a w niektórych guberniach sięga tak daleko, że w przybliżeniu daje *mniéj* składki po kilkanaście, do *dwudziestu tysięcy rubli rocznie*, a może i wyżéj,—czerpię bowiem rzecz z faktów, nie z wyobraźni, i daję stosunek minimalny,—którego prawdziwość łatwo przy szczegółowém sprawdzeniu udowodnić.

Nadto, pomimo „obowiązkowego“ jakoby ubezpieczenia,—w niektórych guberniach znajduje się tak wielka liczba *wcale nieubezpieczonych* zabudowań, istniejących już od lat kilku lub więcéj, że wartość ich w jednéj naprzykład gubernii, wynosiła z końcem roku zeszłego *do czterech milionów rubli*, również licząc minimalnie,—a czyliż niedobór ztąd składek ogniowych nie wpływa ujemnie na finansowy byt instytucyi? Dla przykładu zaznaczamy, że w pewnéj większéj miejscowości wiejskiéj, przy stacyi drogi żelaznéj, podług szczegółowego sprawdzenia w roku zeszłym, znaleziono przeważnie drewnianych, nieubezpieczonych zabudowań od lat kilku lub dawniéj

wzniesionych, na sumę 107,830 rubli. Tém większa szkoda straconych ztąd składek, że zabudowania takie przedstawiaćby mogły najlepszą rękojmię dla instytucyi, gdyż nader rzadko ulegają pożarom; kto bowiem nie ma zamiaru szukać widoków czy ratunku w zgliszczach pogorzeliska, lub jest pewnym w téj mierze o sąsiadów, temu zwykle nie pilno z ubezpieczeniem, za które trzeba zaraz opłacać koszta delegacyi. Oprócz tego warto znać jeszcze jeden szczegół, że wielu właścicieli kosztowniejszych budynków, np. zakładów fabrycznych, wcale nie życzy sobie ubezpieczenia, twierdząc, że w pewnym szeregu lat więcéj im przyniesie ubytku składka niżeli pogorzel, któréj zresztą przy ostrożności można uniknąć.

Nie możemy tu również zamilczéć jeszcze o jednéj nieposledniego znaczenia klęsce dla naszego ubezpieczenia, wylęgłéj jak i inne zbraku dostatecznéj kontroli,—o rozpowszechnionéj a niedość energicznie ściganéj namiętności do *podpalań spekulacyjnych*, których niezwykle zwiększona liczba datuje od czasu zaprowadzenia u nas towarzystw prywatnych.

Dość szeroki to temat, lecz skracamy go jak najtreściwiéj, biorąc sam kwiat z rzeczy sprawdzonych.

Towarzystwa akcyjne dla zyskania jak największéj liczby „kundmanów,“ zwłaszcza w latach pierwszego ich u nas zawiązku, rozwinęły nader czynną agitacyą—i dla emulacyi dawały interesantom swoim wszelkie możliwe ułatwienia, między któremi pozostał dotąd bez zmiany, brak szczegółowéj kontroli co do ilości i wartości przyjmowanych do ubezpieczenia obiektów. Pole więc do wyzyskiwania dla ludzi złéj woli znalazło się obszerne, i eksploatuje się z powodzeniem do dnia dzisiejszego, z różnicą, że towarzystwa przez ostrożność, częściéj teraz odmawiają przyjęcia niektórym uczestnikom.

Takie spółzawodnictwo towarzystw stało się hasłem dla ludzi złéj wiary do grubych spekulacyi pogorzelowych, zgubnych tak dla towarzystw jak dla instytucyi państwowéj, co i do téj pory jest najważniejszą przyczyną niezwykle powiększonéj liczby pożarów, (a co jest faktem urzędownie stwierdzonym). Dla przykładu przytoczę fakt, który miałem sposobność sprawadzić osobiście. Otóż w roku zeszłym będąc w Częstochowie i przechodząc od dworca drogi żelaznéj ku klasztorowi, napotkałem na téj tylko linii trzy okopcone ogniem lub restaurowane miejscowości, dotknięte trzema pożarami, o których opowiadali mi z oburzeniem miejscowi, godni wiary mieszkańcy, że każda z nich wynikła z podpalenia, dzięki „przemysłowcom,“ których fortuna nie więcéj była warta nad kilkaset rubli (co najwyżéj), lecz każdy z nich miał ubezpieczone rzeczy lub towary

na parę, lub kilka tysięcy rubli. Tak naprzykład wypadek bliżéj przezemnie sprawdzony, zaszły tuż po za wspomnianą świątynią, zniszczył długi szereg murowanych i drewnianych oficyn na kilkunastu posesyach, co rozumie się, przyniosło ciężkie straty funduszom ubezpieczeń jak równie i mieszkańcom nieubezpieczonym,—pogorzel zaś ta wedle papierów śledczych, spowodowaną być miała przez podrzędnego jakiegoś introligatora, któremu *udowodniono*, że posiadał w dwóch najmowanych izdebkach rzeczy i książki wartujące *najwyżéj* tysiąc rubli; pomimo tego oszacował je na 6,193 ruble i podał do ubezpieczenia jednemu z towarzystw prywatnych, które przyjęło je w wartości 4,885 rubli. Silnie podejrzany o podpalenie ów introligator, widziany był porą nocną tuż przy spalonych budynkach przed samym wybuchem pożaru, a zebrane inne poszlaki wogólności są bardzo ostre, sprawa więc oddaną została sądowi, lecz obwiniony dotąd nie został aresztowany i kwestya czy nie będzie uwolniony, nikt go bowiem za rękę z zarzewiem nie pochwycił. Czy jednak sam fakt wygórowania szacunku rzeczy i podejścia towarzystwa, działającego w dobréj wierze, nie wykracza przeciw moralności?

W ogólności, w przedmiocie podpalań, piszący te słowa miał sposobność sprawdzić osobiście z praktyki i cyfr szczegółowych, i wykazał to w innèm już piśmie, że *większa część* wypadków pogorzelowych pochodzi z podpalenia już to przez zemstę, już dla widoków spekulacyjnych. Względy przeto moralne i interes ekonomiczny otwierają tu rozległe pole działalności, niezależnie od obowiązków, jakie spływają na sądownictwo i udoskonalić się mającą administracyą.

Moglibyśmy tu wreszcie podać z dziedziny wadliwego ustroju naszego ubezpieczenia wiele innych szczegółów, atoli w takim razie wypadałoby nam wskazywać nazwiska miejsc i osób, a tego czynić nie chcemy, nie kreślimy bowiem szykan, lecz mamy dobro ogólne na celu, i dla tego wysnuwając poglądy nasze wprost z faktów, inne rażące okoliczności całkiem tu pomijamy.

Przyczyny wytkniętych wyżéj wad organicznych, mimo ich paradoksalności, bynajmniéj, zdaniem naszém nie należy odnosić do winy organów administracyi gubernialnéj, te bowiem pełnią swój obowiązek sumiennie,—a nie w ich mocy jest usunąć złe, leżące, że tak powiem, w zasadzie, w naturze rzeczy, w niedokładnie zredagowanéj ustawie, a zwłaszcza w braku szczegółowych instrukcyi.

Są bowiem rzeczywiście winne zarządy gubernialne,—ale bynajmniéj nie z przyczyny tego zamętu, jaki spowodowała naturalna kolej rzeczy po błędnych w ubezpieczeniu urządzeniach z r. 1866 i 1867. Są one winne, zdaniem piszącego, w tém, że widząc coraz

gorszy stan funduszów i liczne niedokładności tamujące normalny bieg rzeczy, nie opracowały zawczasu i nie przedstawiły dawniéj władzom wyższym jakichbądź projektów do zmian i ulepszeń koniecznych. Trzeba bowiem wiedzieć, że mylne są wersye. zmyślone może dla osłonienia czyjéj winy, jakoby wyższe władze mniéj były skłonne do zgodzenia się na rozwój ubezpieczenia gubernialnego. Mówmy prawdę jak jest; z praktyki bowiem wiadomo, że wydział gospodarczy przy ministerium spraw wewnętrznych rozbiera przedstawiane sobie kwestye co do ubezpieczenia zawsze z trafném i przyjazném dla instytucyi zapatrywaniem. Co więcéj, w imię téjże prawdy, niemożna tu pomijać tego, o czém nie wie zapewne publiczność, że senat rządzący w razie zanoszonych przez strony uzasadnionych rekursów, lub przy rozbiorze donioślejszych kwestyi, nieraz rozstrzyga je nietylko przychylnie dla interesantów, ale decyduje wątpliwości z głębszém pojmowaniem celu instytucyi, na co akta gubernialne posiadają dość liczne dowody. Mamy więc raczéj podstawę do sądzenia, że *w razie otrzymania istotnie pożytecznych w kierunku reform wniosków*, o czém również nie wątpimy,—władze wyższe chętnie je zatwierdzą.

Zanim to zaś nastąpi, wydziały gubernialne nie znajdą środków do powstrzymania nieładu i podźwignienia finansowej strony ubezpieczenia.

— Ależ jakto?—odpowiecie—zgadzamy się nato, że wadliwe strony samej ustawy nie mogą być samowolnie usunięte; lecz wydziały gubernialne powinny uporządkować inne niedokładności, mianowicie, nie dopuszczać niewłaściwego zmniejszania składek ogniowych ze szkodą innych uczestników i ogólnych funduszów,—nie dopuszczać nieubezpieczania zabudowań ani wygórowanego ich szacunku, ściśle dochodzić przyczyny pożarów i oględnie likwidować wynagrodzenia właścicielom, podejrzanym o działanie w złéj wierze,—przestrzegać prawideł ostrożności od ognia i dobrego stanu narzędzi pożarnych, zostających pospolicie w haniebném zaniedbaniu, itd.

— Takie zarzuty mogą tylko wypływać z niedokładnéj znajomości sił i miejscowych warunków. Zarząd bowiem nie może osobiście sprawdzać na miejscu ani dowodów ubezpieczenia, ani stanu i wartości każdéj budowli, ani prowadzić śledztwa przyczyn pożarów i wysokości strat pogorzelanych, ani zapobiedz podpaleniom i nadużyciom, gdyż ma siły wystarczające tylko do czynności biurowych, stale zwiększających się corocznie;—do działań zaś bezpośrednich po za obrębem biura, nie posiada ani środków materyalnych ani instrukcyi. Co zaś do nadmiernéj liczby nieubezpieczonych zabudowań, to należy zwrócić uwagę na to, co już wyżéj powiedziano

o wynagradzaniu techników i o niechęci niektórych właścicieli do ubezpieczania budynków i ponoszenia kosztów delegacyi. Właściciele nie życzą sobie płacić, a technicy nie pragną darmo dla nich pracować.

— Ależ,—powiesz mi czytelniku,—niepodobna uwierzyć, aby zarząd z założonemi rękami tolerował tyle nieporządków różnorodnych we wsiach i miastach, w gminach i powiatach. Od czegoż jest inspektor objazdowy przy każdym rządzie gubernialnym?

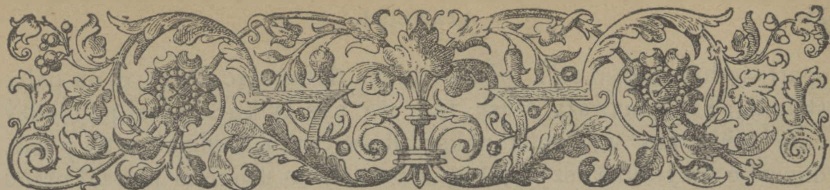
— Jest, prawda, inspektor;—ale znowu trzeba wiedzieć i o nowém *curiosum*, że panowie projektodawcy ustawy całkiem zapomnieli o owym inspektorze, może w myśli prawodawcy, mającym pilnować dobra tak ważnéj instytucyi finansowéj,—lecz w rzeczywistości nie mającym żadnéj zgoła określonéj roli,—nietylko bowiem nie oznaczono jego obowiązków i nie dano mu jakiéjbądź instrukcyi, ale nawet jedném słowem o niego, w ustawie nie potrącono, kiedy inspektorowie leśni, akcyzni, lekarscy, drogowi, lub najbardziéj zbliżeni tu inspektorowie podatkowi, mają obszerne instrukcye i stanowią ważny, niezbędny łącznik pomiędzy administracyą a mieszkańcami. Nikt wreszcie nie lubi szerszéj kontroli, a dobrowolnie, bez ustawy w ręku, téj funkcyi inspektorowi nikt powierzać nie ma obowiązku,—tembardziéj, że sami inspektorowie wypraszają się od wyjazdów, pobierając w podróży tylko po 60 kopiejek dziennych dyet, kiedy sam hotel z pościelą, opalem, światłem, usługą i skromném życiem kosztuje od dwóch do trzech rubli.

Nie ulega wątpliwości że ci urzędnicy, jako bieglejsi w swoim fachu, gdyby im dano trafną instrukcyą i środki, i uczyniono ich odpowiedzialnymi za złe rezultaty,—nie dopuściliby żadną miarą do dzisiejszego nierządu. Lecz ignorowani przez samę ustawę, w milczeniu patrzą na złe, które dostrzegli pierwéj i dokładniéj od wszystkich. Przy obowiązkowych objazdach mogliby oni miéć oko na wiele... wiele rzeczy nieformalnych, zwłaszcza, gdyby prócz innych ważniejszych czynności, mieli obowiązek sprawdzania z urzędu stanu narzędzi ogniowych tudzież ilości i wartości obiektów przyjmowanych do ubezpieczenia przez towarzystwa prywatne.

Przy ściślejszéj w ogólności kontroli, a zdwojoném uposażeniu urzędnika, ileż to setek tysięcy rubli nie przepadałoby corocznie w płomieniach.

Józef Zagrzejewski.





PAWEŁ CZUTURIĆ.

POWIASTKA CHORWACKA

PRZEZ

JANA JURKOVIĆA. (*)

I.

Gdyby kto był w wigilią 15 sierpnia roku 18.. przeszedł główną ulicą wioski R...., byłby w mroku nocy pięknéj zauważył światło w oknach mieszkania nauczyciela; i gdyby pani profesorowa nie pozakrywała dwóch okien pstrokatemi fartuchami, każdy z przechodniów widziałby co się dzieje w pokoju; widziałby zajmującą scenę, która zasługiwała na to, aby być oddaną pod pędzel jakiego wesołego malarza; widziałby, że za stołem siedziało dwóch ludzi, dogryzając resztki, jak się zdawało, sutéj wieczerzy. Jeden z nich był-to człowiek niemłody, więcéj niż lat czterdziestu, a drugi nieco młodszy. Pierwszy był gospodarz domu, nauczyciel wiejski Paweł Czuturić, drugi—gość, Wawrzyniec Niewola, także nauczyciel. Gospodarz święcił dwudziesty rok swego zawodu nauczycielskiego i dlatego właśnie zaprosił swego przyjaciela i sąsiada, zarznąwszy ostatnią gęś i wycedziwszy ostatnią kroplę wina ze stągiewki, która czasem bywała napełnioną, czasem próżną, lecz częściéj próżną niż pełną. Siedzieli obaj naprzeciw siebie tak, jak do wieczerzy zasiedli. Gość

(*) Janko Jurković ur. w 1827 r. w Slawonii; na uniwersytet uczęszczał w Zagrzeblu. Po ukończeniu nauk zajmował posady nauczyciela w Zagrzebiu i Osieku; zaś od r. 1874 piastuje godność inspektora szkół średnich i elementarnych w Chorwacyi. Jurković jest jednym z najwybitniejszych talentów humorystycznych w swojéj ojczyźnie; prócz szkiców humorystycznych, z których jeden dajemy tu w przekładzie, pisał jeszcze komedye, z których również tryska nawskróś oryginalny humor i dowcip autora. Prócz tego znany jest Jurković, jako autor kilku znakomitych rozpraw estetycznych, tyczących się literatury chorwackiéj.

wsparł się łokciami o stół, podbródkiem dotykając dłoni, a na palce wskazujące nawinąwszy wąsy tak, że nos tylko sterczał pomiędzy niemi, szyję zaś wyciągnął nakształt świécy i siedział w téj pozie, jedno oko przymknąwszy, jakby drzémał, a drugiém patrzał przed siebie. Z ruchów gospodarza można było wywnioskować, że coś rozpowiadał; gość zaś słuchał opowiadania.

Na stole leżały w miseczce cynowéj kości owéj ostatniéj gęsi, obok stały inne puste miseczki i talerze, kilka butelek, dwa kufle bez uszek i jeden dzbanek. Wszyscy w domu już spali, oprócz dwóch przyjaciół, którzy chcieli tę chwilę wyzyskać ile się da, rozmawiając z sobą poufnie i szczerze.

W tym samym pokoju pod piecem spało jedno dziecko w kołysce, a drugie na tapczanie. Czy był kto w drugim nie wiedzianoby, gdyby księżyc łaskawy, pielgrzym nocny, zatrzymawszy się nad domem nauczyciela, nie oświetlił pokoju, rzucając przez okno promienie na łoże sosnowe i na coś żywego, czerwonego i dużego jak cébula na niém; przy bliższém przyjrzeniu się dopiéro można było poznać, że jest to nos pani profesorowéj; prócz niego wszystkie inne jéj wdzięki były przykryte kołdrą i nawet samo oblicze głęboko zapadło w poduszkę. Przy matce spał jeden syn, drugi na łóżku ojca. Liczby mieszkańców dopełniał wielki bury kot, co siedział pod stołem i mruczał.

— Uważaj, Wawrzyńcze! To pierwsze słowo, które słyszymy z ust gospodarza.

— Uważam; ale odpowiédz-że mi na to, o com cię pytał. Dziś więc dwadzieścia lat ubiegło od czasu, jak tu jesteś nauczycielem. Znamy się już bardzo dawno, a jeszcze nigdy mi nie opowiedziałeś, jakeś tu się dostał do nas.

Gospodarz nic nie odrzekłszy, wziął butelkę od wody gorzkiéj, wyszedł za drzwi i dał ją chłopakowi, co chrapał w sieni, aby przyniósł wina, poczém wróciwszy, przemówił:

— Zaczekaj trochę, bracie, aż nieco gardło sobie odwilżymy.

Po kilku minutach przyniesiono wino i gospodarz razem z gościem stuknąwszy się szklankami, nadpił swoję porcyą.

— Teraz słuchaj, opowiem ci to, o coś mię pytał.

Gość poprawił się na krześle jak mu było najwygodniéj, a gospodarz odkaszlnąwszy, kiwnął kilka razy głową:

— Mój bracie! Ty mówisz, że mógłbyś być większym człowiekiem niż jesteś; że o tobie wieleby się pisało i mówiło. A ja ci powiadam, że ty względnie do mnie jesteś karzeł, nic więcéj. Gdyby nie los zmienny, gdyby na świecie wszystko szło prostą drogą, nie rozpowiadałbym ci dziś téj całéj historyi.

To rzekłszy, uderzył ręką o stół, głowę podniósł w górę i chwilę milczał, czekając, co na to powie przyjaciel—lecz przyjaciel drzemał. Żona przebudziła się i zagrzmiała:

— Ciszéj upiory! Czyście się wściekli?

Nauczyciel wstrząsł się, jakby piorun uderzył, a przyjaciel ocknął się ze snu i spojrzał na sąsiada trwożliwie. On wszakże oczyma wskazał przyjacielowi drugą izbę i wyszeptał po cichu:

— Widzisz, co to jest? Przyjdzie i na nią koléj; tylko słuchaj i nie drzém.

Rzekłem ci już, że dziś sam siebie nie poznaję. Czytałem i słyszałem o tylu ludziach, co poszli właściwą sobie drogą i zostali wielkimi. Że ja jednym z nich nie jestem, to wyjątek. Potrzeba ci wiedzieć, że mię los do najwyższych szczebli wznosil, lecz, jak każdy człowiek, i ja miałem swego złego ducha. Szczęście uniosłoby mię na swych skrzydłach, lecz on, chwytając mnie za nogi, wołał zawsze: „Nie, Pawle Czuturiciu, proszę jegomości na dół.“ I tak ciągle wznosiłem się i spadałem. Ojciec mój był kupcem i chciał mi dać praktyczne wykształcenie. Oddal mię najpierw do szkółki elementarnéj, a gdym ją ukończył, do gimnazyum. Tam nie wiem, jak się to stało, że ciągle miano mnie za ucznia najgorszego. Co prawda, nie wiele się uczyłem, ale za to wiele myślałem i gdyby nie ta wada moja, żem nie umiał wiele mówić, inaczéjby zupełnie o mnie myślano i mówiono; że zaś byłem zawsze skromny i potulny, wszyscy mnie mieli za mazgaja i głupca, zwłaszcza, żem ciągle włosy nasuwał na czoło i ubranie nosił niedbale, jak to czynią wielcy ludzie. Wskutek tego i w klasie byłem zawsze ostatnim. Hę, ostatnim! Niech i tak będzie. Z tego wszakże widzisz, że w życiu mojém wszystko szło opacznie. „Nie będziesz Pawle Czuturiciu pierwszym, lecz tylko ostatnim.“ E, dobrze, będę ostatnim; ale przecież klasa to nie pismo święte. Tak myślałem w duchu, spodziewając się, że w końcu i moja gwiazda zabłyśnie, bom w każdym razie lepszy od wielu innych, co byli pierwszymi i dziś noszą na plecach haftowany złotem płaszcz i krzyże na piersiach. Tak doszedłem do klasy czwartéj. Przy końcu roku przyszedł nauczyciel — co mówię nauczyciel? — mój szatan, co się w nauczyciela przemienił, przyszedł do mego ojca do sklepu i rzekł mu: „Wiész pan, co? twój syn to próżniak, do niczego, popychadło“ — i co tylko było pogardliwego, to na mnie wyzionął. „Zabierz go pan ze szkoły i oddaj do jakiegobądź rzemiosła, dopóki czas jeszcze. On nie do książki stworzony, lecz do szydła lub młota; jednemu Bóg dał dobrą głowę, drugiemu zaś silne ręce: jeśli pańskiemu synowi to drugie nie dopisze, to chyba będzie musiał chleba prosić.“ Mój ojciec zmartwiony patrzał na niego ze zdumieniem, nie mogąc

wierzyć, aby syn jego był takim wyrodkiem; ja zaś słuchając tego, uśmiechnąłem się skrycie i pomyślałem: kocioł garnkowi przygania; lepiéj powiem... tak, tak; wszystko mi jedno. Lecz trzeba ci wiedziéć, co potém sen mi powiedział: Dyabeł to był, co przez nauczyciela czwartéj kasy przemawiał do mego ojca i podbudzał go; ponieważ wiedz o tém, o czém już i starzy mędrcy wiedzieli, że Bóg z dyabłem dzieli władzę nad światem, jak my oto teraz dzielimy się tą butelką wina. Na moje usprawiedliwienie się tego wystarczy.— Otóż ojciec mój zawołał mię i rzekł:—„Ej synku, Pawle, jesteś oślątko, a jeśli niém jesteś, to ruszaj do rzemiosła; mówiłem już z majstrem Luksem, więc jutro pójdziesz do niego". Ów Luks był to siodlarz w naszém mieście. Ja, naturalnie, nie mogłem spierać się z ojcem i dowodzić mu, że nie jestem oślątkiem, tém bardziéj, że on nic nie rozumiał prócz odkrajania za grosz słoniny lub odważenia funta sadła itp.; a co to jest: *quae maribus*, *composita syntaxis* a do tego *syntaxis ornata*, o tém i mowy z nim być nie mogło—a i ty o tém, wybacz, niewiele wiész. Prócz tego wiedziałem dobrze, skąd ów wiatr wieje i co przyniesie, zgodziłem się więc bez oporu zamienić książkę na szydło. Lecz czyż nie było to niby jakąś przepowiednią mojéj przyszłości, że idąc do rzemiosła, zabrałem z sobą wszystkie swoje książki?

O swojém terminowaniu nie będę ci wiele mówił. Po całych dniach pilnowałem dziecka majstrowéj, usługiwałem czeladnikowi, dziecku, doglądałem kotów i psów; jadałem w kuchni za drzwiami, sypiałem na sienniku starym; nakoniec częściéj dostawałem kije niż jedzenie; kto się jeno nawinął, pociągał mię kijem; czy coś zginie, czy się zepsuje, czym winien, czy nie, okładają mię kijem; gdziem tylko spojrzał, wszędzie widziałem srogich nieprzyjaciół: w każdym kącie stał kij, a przy drzwiach wisiał obrzydliwy bizun; a jeślim czasem i uprzątnął te narzędzia, tō wówczas czekały mię kułaki. Jeśli gdzie, tom tu zasłużył na koronę męczennika. Lecz jeśli wspomnę, co mię zajmowało w tym czasie, kiedy chciano mię zabić kijmi, to muszę przyznać, że oczéwiście czuwała nademną opatrzność boska, która nie pozwala ludziom czynić jéj naprzekór. Uważ naprzykład: policzki napuchłe, uszy wiecznie wyciągnięte, głowa od ustawicznego targania za włosy wyglądała jak kokosz; bosy, częściéj głodny niż syty—a tam w sienniku, cierpień moich miejscu, ukryta leży książka, moja biblia droga, moja gramatyka *pars* II i III i *syntaxis ornata.* Rysunków, którym się także oddawałem niegdyś, musiałem wtedy zaniechać. Tymczasem nikt nie wiedział i nie przypuściłby nawet, że ja z siennika gospodarza Luksa zrobiłem Parnas? I gdyby spełniło się to o czém marzyłem ciągle, ten siennik nabyłby niemałéj ceny.

Był pewien poeta angielski, o którym ty napewno nie wiesz, wielki poeta; jego najdrobniejsze rzeczy, chociażby to były gałganki lub szmaty, jeszcze mają ciągle niepospolitą cenę; jakem o tém czytał niedawno i rozmyślałem nad tém, znajduję pewną analogią pomiędzy życiem swojém i tego człowieka, którego nigdy nie widziałem, wszakże poraz pierwszy może wówczas odczuwałem stan jego ducha. Naprawdę, gdyby u mnie szły rzeczy jak należy, to dzieci moje nie potrzebowałyby innéj spuścizny po mnie niż ta, co ją tu widzisz. Za jakie kilka lat po méj śmierci pytanoby: czy to jest fajka, to scyzoryk, to pióro, którem pisała nieśmiertelna ręka Pawła Czuturicia? Ile żądasz za to, za owo? To tylko tak podaję *exempli gratia*. W tymże czasie pisałem swój życiorys, a szczególnie zaś odmalowałem swoje cierpienia i męki mojego terminu. Ta praca znajduje się między memi pismami pod tytułem: Męki z dopuszczenia bożego Pawła Czuturicia, na teraz terminatora siodlarskiego i to, co go—*salvo jure divino*—czeka,“ i z mottem: „Człowiek twardszy niż kamień.“ W tym czasie ułożyłem kilka ód na nowy rok i imieniny dla wujów, stryjów, kumów itd., myśląc, że za pieniądze którebym dostał za to, będę mógł wydać swoje dzieła literackie.

No, lecz teraz „*paulo majora canamus*“, jak napisano w *syntaxis ornata*. Tu już zakończyła się wreszcie walka między moim przyjacielem czarnym i tym, co czuwał nademną z rozkazu bożego. Czy przypominasz sobie, Wawrzyńcze, co się przytrafiło świętemu Pawłowi, imiennikowi memu, kiedy jechał konno do Damaszku? Gdy będąc uczniem jeszcze uczyłem się tego, anim pomyślał nawet, że i mnie się coś podobnego przytrafi. No, i ty nie dziwisz się i nie pytasz, co to było? Czy ty sądzisz, że to rzecz zwyczajna; lub może i ty miałeś podobne widzenia? Nie, nie, mój Wawrzyńcze: to są rzeczy niezwyczajne i dla ludzi niezwyczajnych. Ja szanuję ciebie i twoję naukę i wiadomości rozległe w wielu rzeczach; lecz wiem, że nie należysz do tych, co oko w oko obcowali z duchami. Nie są to wilkołaki lub inne mary babskie, z któremi wy miewacie do czynienia,—to są córy boże, Muzy nieśmiertelne; z nimi to Paweł Czuturić rozmawiał na sienniku siodlarza Luksa, ot, tak, jak teraz z tobą rozmawia.

To zdanie wypowiedział nauczyciel silniéj i przytém tupnął nogą o ziemię, czekając z namaszczoną postawą, co na to powie przyjaciel Wawrzyniec. Lecz ten teraz dopiero ocknął się ze snu, a jednocześnie i żona Barbara z prawego na lewy bok przewróciła się w pościeli. Nauczyciel, to zauważywszy, szepnął w gniewie Wawrzyńcowi:

— Więc to ty tak słuchasz? Sądzisz, że ja swe tajemnice na wiatr puszczam? Ty jesteś pierwszy, komu to opowiadam i dla tego powinieneś słuchać uważnie.

Wawrzyniec przetarł oczy, ziewnął kilka razy i odrzekł:

— Ja słucham, Pawle, tylko nieco się zamyślałem; ktoby ciebie nie słuchał? A niema tam jeszcze wina? Czuję pragnienie.

Gospodarz wyniósł znowu butelkę chłopcu do drzwi i szepnął mu:

Na kredyt.

Wino przyniesiono; gdy się napili, gospodarz rzecze:

— Wiesz, Wawrzyńcze, na czém stanęliśmy?

— Wiem, bracie, na tém właśnie, gdy żona na nas zakrzyczała. Mów daléj.

— Od tego czasu żona już poraz drugi się przebudziła, a ja doszedłem do końca téj epoki swego życia; ty, jak to widzę, wszystko przespałeś. No, słuchaj mię przynajmniéj teraz. Na kilka dni przed tém, gdy mię miał majster wyzwolić, zdało mi się w nocy, że mię ktoś woła głosem cichym, ale takim jednakże, że aż mrowie po ciele przechodzi. To nie był głos ludzki, a tém właśnie odróżniamy głos boski od głosu człowieka, że chociaż szepce, straszniéj to,—niż kiedy grzmi. Jeśli w dzień sądny jednéj trąby będzie dość dla całego świata, ażeby aż uszy zatykać, gdy zatrąbi: to stąd możesz miarkować, jakie uczucie owłada, gdy Bóg lub ktoś ze świętych rozmawia sam na sam z człowiekiem. Mnie zwykle budzono zrana widłami, gdyż wołanie nic nie pomagało; a tu ledwie szept dał się słyszeć, zaraz się obudziłem: „Pawle, Pawle!“—„Oto jestem, dziękuję za pytanie; co rozkażecie“? I ot, tak jak mię widzisz przed sobą, rozmawiałem z Muzami, jak z rodzonemi siostrami. Otwieram oczy i widzę co myślisz, kogo? Kobietę młodą, odzianą w bieli, tak właśnie jak Muzy, o czém nieraz słyszałem; ona, uśmiechnąwszy się do mnie jak luba do lubego, mrugnie i rzecze: „Pawle, Pawle! porzuć ty szydło; szydło nie dla ciebie; pióro i książka to twoja rzecz!“ i znikła. Ja wiedziałem co to znaczy, lecz nikomu nie mówiłem o tém i sam nic robić w téj mierze nie chciałem; wszystko zdałem na los; niech on kieruje jak chce. Obojętny byłem na moje wyzwoliny na czeladnika i na żądanie ojca, który chciał, abym szedł na wędrówkę. Lecz tu już los wyrzekł swoje „*non plus ultra*“ mówiąc: „Dość już, kupcze Mikołaju! On jest twój po krwi, lecz mój po Bogu.“

— Dość już tych cudów, Pawle, rzecze niecierpliwy Wawrzyniec; powiedz mi lepiéj w kilku słowach, jak ty się tu dostałeś i gdzie się spotkałeś z tą oto biedą“, tu wskazał żonę nauczyciela śpiącą w drugim pokoju. „Mnie już czas wracać do siebie.“ Mam i ja to nieszczęście w domu.

Na to Paweł wstał z miejsca i podszedł do kąta pokoju, skąd przez okno popatrzył na niebo tajemniczo, jakby zaklęcia czynił.

— Jeszcze kwoczka nie wzeszła; masz więc jeszcze dosyć czasu.

W tym kącie było obserwatoryum astronomiczne nauczyciela Pawła Czuturicia.

— Więc to ty, Pawle, z izby rozpatrujesz gwiazdy? zapytał gość.

— Nie wadzi, gdy nocy są piękne, patrzéć z téj doliny łez w bezmierną przestrzeń radości i nadziei pozagrobowéj. Ale skończę już opowiadanie, aby wcześniéj udać się na spoczynek.

Pierwéj nim się udałem na wędrówkę, poszedłem do wsi sąsiedniéj do księdza, aby u niego zarobić cokolwiek. Byłem u niego dwa tygodnie. Człowiek ten przez cały czas pilnie baczył na mnie i zauważył, że siodlarstwo nie jest rzeczywistém powołaniem mojém. Raz przy obiedzie zapytał mię, czy umiem czytać i pisać? Ja zaśmiałem się na to i odpowiedziałem mu krótko po łacinie: „*Multa tulit fecitque puer, sudavit et alsit*"; co znaczy mniéj więcéj: „I nie przeczuwasz, moj sokole, z kim mówisz"; poczém opowiedziałem mu, kto jestem i czém jestem. On, poczciwiec, zaraz mi na to: „Doskonale; a czy nie chciałbyś być u mnie nauczycielem?" Inny czeladnik siodlarski byłby się zapewne zmieszał, słysząc taką propozycyą; lecz ja tylko uśmiechnąłem się i wiedziałem, co mam odrzec: „Dla czego nie? i owszem". Od księdza wróciłem do domu, lecz ojcu o tém ani słowa nie powiedziałem. On wprawdzie zauważył, żem się zmienił nieco i w odzieniu, i w zachowaniu się, i w robocie. Po czeladniku siodlarskim ani śladu nie zostało: krótko odpowiadałem, nosiłem białą chustkę na szyi, w ręce książka i dniem i nocą. Tymczasem uczyłem się u naszego organisty grać na organach, a od téj chwili bardziéj mię los prześladuje. Nakoniec przyniesiono list od księdza: mój ojciec zdziwił się niemało i nie wiedział, co rzec na to. Ja natychmiast zabrałem się i poszedłem. I oto już u trzeciego księdza zostaję od téj chwili, i dziś właśnie dwudziesty rok upływa mojéj służby.

— A cóż z księdzem, przyjacielu? zapytał Wawrzyniec, który i pierwéj, a tém bardziéj teraz nie mógł uchwycić wątku opowiadania.

— Co?—On ze mną postępował jak z nauczycielem, a o Pawła Czuturicia wcale się nie troszczył; ja zaś z nim musiałem postępować jak z księdzem. Tak-to zawsze bywa; wszystko na świecie stoi do góry nogami. Nam się zdaje, że wszystko stoi jak należy, wszakże w gruncie rzeczy zamiast na nogach, na głowie stoi. Świat nakształt kramu: wszystko tam porozrzucane leży bez ładu, jedno obok drugiego; gdzie co upadło, tam i leży. To jest to, co ludzie wypadkiem

zowią; jednakże człowiek rozsądny tém się nie martwi. A rzekłbym, że u nas, nauczycieli, w téj mierze niema wyjątku. Ja nieraz uważnie zastanawiam się nad stworzeniem świata i przychodzę do takich mniéj więcéj wniosków. Bóg rozdzielił rodzaje ‚pracy pomiędzy ludzi; jeden wszakże człowiek spóźnił się i przyszedł, gdy już wszyscy byli podzieleni. Bóg zakłopotał się, nie wiedząc, jakiby mu rodzaj zajęcia wyszukać: oglądał się na wszystkie strony; w końcu porwał książkę ze stołu i dał ją temu człowiekowi: „Ja tobie, moje dziecko, nie mogę pomódz; lecz masz oto; bądź nauczycielem; ja się będę i tobą opiekował.“ I od tego czasu świat nie dba o nauczyciela.

— No,—dobrze. A jakżeś się ożenił?

— Długo żyłem samotny, lecz nieraz smutno mi było, gdym pomyślał, że nie będę miał potomstwa. U naszego wójta, nieboszczyka była kucharka, moja teraźniejsza Barbara. Ona nam zwykle po obiedzie kawę przyrządzała; z początku spoglądaliśmy na siebie, potém rozmawialiśmy często wieczorem przed domem. Ludzie to spostrzegli i ożenili mię, mówiąc mi, że przynajmniéj mam żonę w chacie, skoro na nic więcéj zdobyć się nie potrafiłem. Barbara jest dość płodną: już mi dotychczas czworo urodziła, a da Bóg jeszcze będzie coś wkrótce. Zresztą mogę ci powiedzieć, że to wszystko, co się mówi o uczuciu i łagodności córek Ewy, jest tylko wymysłem, którym świat oszukuje siebie jedynie dla tego, aby nie zaginął ród ludzki.

— Język za zęby, łajdaku jeden! Do łóżka, łotrze, dopóki ja tu ciebie!

Tu Pawłowi język skołowaciał; zamilkł. Przyjaciel jego skoczył na równe nogi i, chwyciwszy czapkę i kij, odszedł do domu. Paweł przeprowadził go za drzwi.

II.

Powróciwszy do pokoju, stanął przy oknie i położywszy palec na ustach zamyślił się głęboko. Miał on zwyczaj, jak i wielu innych wielkich ludzi, których znałem w swém życiu, nieraz całemi godzinami rozmawiać z samym sobą. To się trafiało zwykle w takich chwilach, gdy duch jego znieczulał się na rzeczy ziemskie, a wówczas mógł on mówić i wymachywać rękoma, nie wiedząc nic o tém. Tak téż i teraz począł w ten sposób rozmawiać sam z sobą:

„Głucha doba nocna; cisza martwa, to rozkosz dla człowieka, któremu świat obrzydł, a męka dla dusz słabych i zobobonnych. Lecz rzekłszy prawdę, co się tego tycze, i ja, chociaż mogę rzec, że jestem człowiekiem światłym, a nieraz sam siebie się wstydzę, gdy

mię czasem jakiś dziwny strach w nocy opanuje. To są ślady pozostałe nam jeszcze z lat młodych; nic ich zatrzéć nie zdoła. Ja, naprzykład, nigdy póki życia nie zapomnę téj strasznéj, lecz i godnéj uwagi nocy, o któréj przed chwilą mówiłem Wawrzyńcowi i która stanowiła epokę mego życia. O, Boże! Od czasu, gdym miał to widzenie, nie mogę nie wierzyć w duchy."

„E, Fraszki to i drobnostki! Teraz trzeba do pracy."

I począł wyliczać na palcach: „Najpierw należy mi ułożyć elegię pogrzebową na cześć nieboszczyka Bartłomieja Stonogi. Pieniądze już wziąłem i wydałem, a elegia jeszcze na dachu. Powtóre, potrzeba przejrzéć, co mam jutro śpiewać w kościele. Wszak to pierwsza niedziela po nowiu i u księdza będą goście; no, więc szukajmy jakiego „kyrie."

„Najpierw elegia. Boże mój! Co mam mówić o Bartłomieju Stonodze? Jedno tylko wie o nim świat cały: że był zawołanym pijakiem, i przed śmiercią, mówią, że cały litr wódki wypił i tak—odpuść mu, Boże—stanął pijany przed tronem twoim. Ja wszakże, ile razy nad tém się zastanawiałem, nie mogłem dokładnie zdać sobie sprawy z tego, co u człowieka pijanego jest pijaném: dusza czy ciało? Mogłoby być i jedno i drugie. Znałem ludzi, którzy najprzytomniéj mówili, lecz nogi tak się im chwiały, że się nie mogli na nich utrzymać. Tu oczywiście ciało jest pijane. Znałem także i takich, którzy jeszcze o wszystkiém pięknie rozprawiali, na nogach stali itd., a już nie mogli rozpoznać czy wino piją, czy ocet. Widziałem i takich, którzy sądzili, że jedna noga jest ich, a druga nie. Nieboszczyk rządca L...ski miał nieco zaduży nos i na nim dwie brodawki; gdy się upił, przestraszał się swego nosa i dopóty przed nim tyłem umykał, dopóki gdziekolwiek nie upadł i nie zasnął. Nasz wójt wiejski prócz wszystkiego ma jeszcze i to do siebie, że kiedy pijany, wówczas traci przytomność. Niedawno właśnie, idąc z karczmy do domu rozmawiał więcéj niż pół godziny ze słupem, do którego ogłoszenia się przylepiają, i prosił go, żeby go odprowadził do domu; a raz, ujrzawszy odbicie się nieba i księżyca w kałuży, przestraszył się i krzyczał że świat się przewrócił do góry nogami i przez cały czas nim wytrzeźwiał, chciał, żeby go postawiono na głowie, wołając, że jeśli świat cały stoi do góry nogami, nie powinien on jeden stać opacznie. Oto są, jak mi się zdaje, wypadki, z których można wnioskować kiedy dusza, kiedy ciało, a kiedy jedno i drugie pijane. Nieboszczyk Bartłomiéj Stonoga przechodził te wszystkie trzy fazy i nie wiem, czy też tam w górze mogli zaraz, jak tylko on przyszedł, z nim się rozmówić. Był pijak, a ja nic innego o nim nie wiem. Cóż więc w elegii powiem? Jak go pochwalić?—Jestem wszakże tego zdania,

że z każdéj przywary i jakaś cnota wypływa. Tak i nieboszczyk, gdy się upił, to był wówczas bardzo dobrym; dałby ostatnią koszulę z siebie; każdego całował, kogo tylko spotkał, a złego nic nie uczynił i nie mówił. A kto wie, jakim on byłby, gdyby pijał tylko wodę? To się da zużytkować w elegii—i tego będzie dość.“

Usiadł więc i napisał elegię na cześć pijanego Bartłomieja Stonogi, jak go na wsi nazywano. Poczém dostał swój repertuar muzyczny i poszukał mszy, którą po raz pierwszy śpiewano w r. 17.... z okazyi konsekracyi kościoła parafialnego w N...,; msza ta przechodząc przez różne ręce dostała się w końcu do rąk jego i była zawsze przez niego zachwalaną. Potem poszukał innych kawałków, któremi się zwykle posiłkował dla zapobieżenia monotonności muzyki kościelnéj i wybrał kilka wesołych sztuczek, jako interludia, i wreszcie jeden piękny „*deutsch*“ (1) na zakończenie po mszy. To wszystko chciał teraz spróbować na swoim fortepianie przy którym—mówiąc nawiasem, zwykle wtórował, przyśpiewując, nie dla tego, żeby był przyjacielém fortepianu, lecz żeby nie zapomniał tego, co ma śpiewać.

Wszakże ledwie dwa „kyrie“ zaśpiewał, pani Barbara ocknęła się ze snu i poprawiwszy się w łóżku, krzyknęła:

— Bestyo ty jakaś! Więc ty jeszcze nie śpisz?

Jeszcze ona nie dokończyła, a już nauczyciel zerwał się ze stołka... zgarnął papiery, zdjął z siebie ubranie pocichu i położył się do łóżka. I należało mu odpocząć wobec takiego duchowego i fizycznego wysiłku i nabrać sił do nowéj pracy, która go czekała.

III.

Około czwartej godziny po południu otworzyła się mała, z czterech nadgniłych desek zbita furtka od ogródka należącego do szkoły i wszedł tam nauczyciel Paweł Czuturić. Postawę miał poważną, nawet uroczystą. Prawą rękę trzymał przy piersi, zasunąwszy ją za kabat błękitnego koloru pomiędzy dwa kościane guziki, a w lewéj trzymał zwój papieru czystego. Głowę miał odkrytą, aby nic nie przeszkadzało mu myślćć swobodnie, a włosy były potargane. Gniewał się nieraz nauczyciel, że natura niemi okryła głowę, jakby naumyślnie chciała przeszkadzać swobodnemu bujaniu myśli. Za ucho zatknął ołówek i, stanąwszy na kupę zielska wyrwanego z grządek,

(1) Jest to ludowy taniec niemiecki, podobny do walca z tą wszakże różnicą, że nierównie powolniéj się tańczy. (*przyp. tłóm.*)

skąd odkrywał się widok na południe,—zapuścił wzrok sokoli w przestrzeń, ogarniając nim całą plaszczyznę i góry, które z jednéj strony ciągnęły się przez równinę. Przyzwawszy do pomocy wszystkie pięć zmysłów, upajał się pięknym widokiem, a jednocześnie duchem swoim przenikał tajemniczą piękność natury i tę różnorodność tworów i walki, którą tak podziwiał zawsze. Wszystko, co Bóg stworzył, jest pięknem, a duch podniosły umie i w najpodlejszéj rzeczy znaleść pierwiastek piękna, mogącego zachwycić. Przez takie rozmyślanie starał się nauczyciel rozbudzić w sobie ów dar nadprzyrodzony, który się potęgował na widok piękna. Stał przez chwilę jak skamieniały, potém drgnął naraz, jakby się ze snu obudził.

— Ha!—Już czuję, jak wszystko wre we mnie. Krew zakipiała, mózg ledwie czaszki nie rozsadzi. No do roboty, póki czas.

Rzekłszy to, pochwycił ołówek, rozwinął papier i położywszy go na dłoni, począł pisać.

Wszakże po napisaniu kilku wierszy, widocznie inna treść przyszła mu na myśl, więc przekreśliwszy poprzednie, począł pisać nanowo. Gdy w końcu całą stronnicę tak zapisał i przekreślił, zniecierpliwił się i rzekł do siebie:

— Niema nic. Należy zaczekać, aż nieco płomień przygaśnie i burza się uspokoi. Burza, tak! Doskonale określenie tego, co się we mnie odbywa. W piersiach moich teraz taki stan, jak gdy wiatry się zerwą naraz ze wszystkich stron świata. Myśli moje są morzem, a ja płynę po niém niby okrętem, którym fale miotają; nie mam kotwicy, aby go zatrzymać, niema portu, gdziebym spoczął.

Oto, ów arkusz papieru jawnym tego dowodem. Trzeba zaczekać, aż się burza uspokoi. Teraz więc znowu będę tłómaczem myśli i uczuć gromady wiejskiéj, wskutek powrotu Jego Ekscelencyi. Początek trudny, ale téż i sława pociągająca. Trzymaj się ostro, Pawle!—Przyjdzie w końcu czas, kiedy zapomnisz o wszystkiém, co było z tobą, i czém sam byłeś; kiedy sam siebie nie będziesz mógł poznać. No, co teraz powiesz, Wawrzyńcze, rywalu mój? Wedle ciebie, Paweł Czuturić nie jest ani mówcą, ani poetą, ani muzykiem; lecz ja ci mówię, że przyjdzie czas kiedy poznasz, że Paweł i mówca. i poeta, i muzyk i—czego najbardziéj pragnę od Boga—zwierzchnik twój. Ale potrzeba mi teraz pójść do wójta i starszyzny wiejskiéj, aby się umówić, co jutro poczniemy.

To rzekłszy, powrócił z ogrodu do domu i za kilka chwil widzimy go takim samym jakim był w ogrodzie, tylko z pochyloną nieco głową i z laską grubą w ręce, idącego do wójta na radę.

Wójt i wieśniacy siedzieli już dość długo w karczmie, oczekując nauczyciela. Gdy wójtem wioski był Piotr Waljewac, wszystkie inte-

resy gminy były rozpatrywane nie pod lipą, jak dawniéj, lecz w karczmie u żyda Leporta, gdzie pan wójt całemi dniami przesiadywał, pijąc chrzczone wino niechrzczonego arendarza. Tu się roztrząsały wszystkie skargi wieśniaków, tu dawano rozkazy straży wiejskiéj, która zwykle cały dzień spędzała w oczekiwaniu, siedząc na kłodach drzewa przed karczmą; słowem, tu była stolica i centrum ówczesnéj władzy wiejskiéj. Gdy nauczyciel wszedł do izby, wszyscy powitali go z kielichami w ręku.

— Jak się macie, mistrzu! Gdzieżeście to byli tak długo? No, siadajcie. Ej, arendarzu! dajcie tu szklankę i wina!

Arendarz przyniósł wino i postawiwszy na stole butelkę, uderzył nauczyciela dłonią po plecach; to miało znaczyć, że go pozdrowił. Twarz mistrza natychmiast się rozjaśniła.

Przełknąwszy nieco wina, nauczyciel rzeknie:

— Panowie! Oto przyszedłem, abyśmy się umówili co do dnia jutrzejszego. Czy wszystko w porządku, wójcie?

— Wszystko w porządku, mistrzu, odrzekł wójt; kazałem Filipowi, aby przygotował powóz i zaprzągł najlepsze konie; jutro o świcie jesteśmy gotowi. Pamiętaj tylko, abyś ty był gotów.

Napiwszy się nieco i okręciwszy się kilka razy, nauczyciel rzekł:

— Panowie! Nie mogę dłużéj bawić. Muszę się przygotować do drogi. Wy macie dość czasu, ale mnie w domu oczekuje jeszcze wiele pracy wieczorem.

— Tak, tak, mistrzu, wiemy; idź więc i pamiętaj, abyś sprawy nie popsuł; tam będą i inne gminy; jeśli my nie będziemy pierwszymi, to przynajmniéj pomnij, abyśmy nie byli ostatnimi. Ty znasz język niemiecki, powitaj, jak umiesz najlepiéj, aby był zaszczyt dla gminy, ciebie i nauki, któréj się oddajesz.

Trzeba czytelnikom wiedziéć dokładniéj, o co tu rzecz chodzi.

Właściciel wiosek téj miejscowości, rodem niemiec, zwykle na kilka lat raz jeden zwiedzał swoje posiadłości. Wedle zwyczaju dawnego, gdy zawitał do dóbr swoich, mieszkańcy wiosek witali go ostentacyjnie; każda gmina występowała osobno z mówcą swoim na czele, którym bywał zwykle nauczyciel, lub pisarz gminny. W tym razie godnością tą gmina zaszczyciła naszego Pawła Czuturicia, aby był jéj przedstawicielem przed Jego Ekscelencyą. Nauczyciel powróciwszy do domu, zastał już żonę i dzieci śpiącemi.

— To dobrze — pomyślał sobie — cisza jest matką wzniosłych myśli.

Powoli wyjął z kieszeni ten sam arkusz papieru, na którym pisał swoję odę przed kilku godzinami, położył go na stół, a za ucho zatknął ołówek. Potém cofnął się wtył o parę kroków od stołu, je-

dną nogę wysunął naprzód i głowę podniósł do góry, jakby przyzywał wili, wieszczki; w końcu usiadł na stołku, wziął ołówek, napisał tytuł i znowu długi czas myślał. Nareszcie uśmiechnąwszy się do wili, co mu się przez mgłę poezyi pokazała w jego wyobraźni, zamaszyście napisał dwa wiersze, nad których urobieniem męczył się długo:

Wir hören mündigst,
Das Euer Excellenz gekommen ist gnädigst....

— Dobrze! No, daléj!

„Gekommen!..."

— Skąd?... *quis*, *quid*, *ubi*, *quibus auxiliis*, *cur*, *quomodo*, *quando*. Hm, hm!

Von Wien, österreichischen schönsten Stadt.
„Stadt, Stadt, Stadt...."
Wo Seiner Majestät Residenz hat.

— Bardzo dobrze! Przymknął powieki, jak Pytya na trójnogu, powstał, westchnął i wyszepnął:

„Von, von...."

— Teraz trzeba: dokąd?

Nach Grafthums....
Vor hundert Jahren genannt.

— Tak! Trzeba nieco i historyi i ona ma swoję muzę.

Potém utkwił wzrok w kąt pokoju i począł bębnić palcami po stole. Po chwili pochylił znowu głowę nad arkuszem papieru; przypatrywał się mu uważnie kilka minut, nagle wykrzyknął:

— Jest, jest! Trzymaj, Pawle, nie puszczaj! Teraz lub nigdy!

Pochylił się nad stołem i nosem dotykając papieru, w kilka chwil napisał całą odę.

— Koniec! — westchnął głęboko i otarł pot z czoła.

— Teraz potrzeba jeszcze raz przeczytać, a potém przepisać pięknie dla Jego Ekscelencyi.

Dostał nowe pióro i arkusz ładnego papieru, co go arendarz Leport podarował wspaniałomyślnie gminie, aby na nim było napisane powitanie Jego Ekscelencyi. Na papierze tym był odrysowany piękny anioł z rozpostartemi skrzydłami przez całą szerokość arkusza, trąbiący na długiéj trąbie, głosząc gminie wielką uroczystość z powodu przybycia Jego Ekscelencyi.

Paweł Czuturić położył ostrożnie papier na stole i napisawszy dużemi literami tytuł, począł z wielką męką rysować pierwszą literę *W.* i następnie całe imię Jego Ekscelencyi; poczém przepisawszy prędzéj całość, powstał od stołu, rozebrał się szybko i położył się do łóżka.

Nazajutrz o świcie poczęto mu znosić z różnych stron obiecane części toalety: kamasze od kapelana, spodnie od prowizora i wysoki kapelusz od leśniczego. Byłby się znalazł i frak na wsi, lecz zdawało się nauczycielowi, że będzie właściwiéj wystąpić mu w swojéj kapocie granatowéj. Pani prowizorowa dostarczyła mu nawet pomady, aby sobie upomadował włosy i wąsy.

Ubrawszy się tak od stóp do głowy wystrojony, podszedł do lustra, obejrzał się uważnie, nałożył na głowę nieco zaciasny kapelusz, zwinął potém arkusz papieru z odą, włożył go do kieszeni i, pożegnawszy się z żoną, poszedł do karczmy.

Tu oczekiwali go już inni przedstawiciele gminy w odzieniu odświętném; natychmiast posadzono nauczyciela do bryczki wraz z wójtem i dwoma innymi członkami uroczystości i wszyscy pojechali do wioski, gdzie miano właśnie powitać Jego Ekscelencyą.

Tam zatrzymano się przed karczmą i wszyscy weszli do izby, aby ostatecznie przygotować się do powitania. Nauczyciel musiał jeszcze raz poprawić nieco włosy i wąsy przygładzić; gdy już był gotów, stanął pośrodku izby i obecnym tłómaczył jak się podczas powitania mają zachować.

— Wy jesteście ludzie prości i nie rozumiecie, jak należy w takich razach postępować; dla tego téż wiele wam mówić nie będę o tém, uważajcie tylko na mnie, a co ja będę czynił, to samo i wy róbcie.

Potém wszyscy poszli do dworu, gdzie mieszkał Jego Ekscelencya. Z drogi nauczyciel jeszcze raz się wrócił do karczmy, aby trochę pociągnąć sobie z flaszki podróżnéj, zauważywszy, że brak mu odwagi, która w takich razach jest rzeczą najgłówniejszą.

Gminy wcześniéj przybyłe najpierw wpuszczono do sali. Tam ujrzał Paweł i rywala swego, nauczyciela Wawrzyńca; na ten raz wszakże nic z nim nie mówił. Gdy przyszła koléj na niego, zdjął kapelusz z głowy i włożył weń odę, co wyglądało, jakby niósł prośbę jaką.

Pewnym krokiem podszedł do Jego Ekscelencyi i oddał mu ukłon głęboki; potém obejrzawszy się po za siebie, aby zobaczyć, czy wszyscy są w porządku, przeczytał tytuł ody a następnie znowu obejrzał się, odkaszlnął i głośno rozpoczął czytanie:

„Wir hören“ etc.

Jego Ekscelencya był człowiekiem małego wzrostu i dość otyłym, i jak zwykle wielcy panowie, miał pewne przyzwyczajenie oryginalne, a mianowicie miał zwyczaj trzymać zawsze ręce na brzuchu i albo palcami kręcić, albo, co się rzadziéj zdarzało, bębnić niemi po żołądku.

To nieco zmieszało nauczyciela, i przy ósmym wierszu zająknął się, powtórzył kilka wyrazów już powiedzianych; poczém spuścił głowę i patrzał na kapelusz; towarzysze jego także z uszanowaniem pochylili głowy; to się powtarzało kilka razy i co gorsza przy czytaniu właśnie najefektowniejszych części.

Jego Ekscelencya był nieco zdziwiony tém wszystkiém i stopniowo coraz bardziéj czerwienił się; w końcu ledwie głośno nie parsknął śmiechem; wszakże, jak to wielcy panowie umieją, udał że kichnął, przyłożywszy chustkę do nosa. Nauczyciel i towarzysze jego ukłoniwszy się, pośpieszyli życzyć dobrego zdrowia. Tu już nie mógł Jego Ekscelencya powstrzymać się.

— Dość, mój drogi nauczycielu — rzekł, śmiejąc się. — Ty jesteś mój stary poeta; wiem, że mi dobrze życzysz. Dziękuję ci.

Gdy całe towarzystwo wyszło po skończonéj ceremonii, udano się do karczmy, gdzie poczęto częstować nauczyciela, podziwiając jego zachowanie się wobec pana, jego głos, jakim przemawiał i t. d. A on cały w zachwycie odpowiadał:

— E, że też tam nie było mego przeciwnika, przyjaciela Wawrzyńca, niechby był widział, jak to się wita wielkich panów i rozmawia z nimi. To najpiękniejszy dzień w mojém życiu; nie oddałbym go za wiele innych.

Wiele i długo mówiono o tym utworze poetyckim nauczyciela; przechodził on z rąk do rąk w odpisach i my jeden z nich zachowaliśmy na pamiątkę, jako utwór mistrza nad mistrzami Pawła Czuturicia.

IV.

— Więc za tydzień ma Jego Ekscelencya tędy przejeżdżać, aby polować w naszych okolicach. Czyby nie było dobrze prosić, gdy będzie przejeżdżał, aby raczył zatrzymać się na chwilę i wstąpić do szkoły, żeby się osobiście przekonał o smutnym jéj stanie; opisać mu biedę życia nauczycielskiego i prosić go o wsparcie, którego nie mogłem dotąd wymodlić u jego oficyalistów?

Tak mówił sam do siebie po obiedzie Paweł Czuturić.

— Więc będę go oczekiwał tu przed domem i poproszę, aby raczył na chwilę wstąpić do tego cichego przybytku muz ludowych i zobaczyć, jak my tu pracujemy. Dach chaty zepsuty: podczas deszczu przecieka, a w szkole i pokoju nauczyciela wiatry gospodarują, jak się im podoba. Co mi po drwach, gdy jeden żywioł nie ustępuje przed drugim? Co mi po dachu, gdy pod parasolem tyle razy i jem i śpię? Co mi po tych czterech popękanych i podpartych ścianach, gdy w nocy spokojnie zasnąć nie mogę z obawy, aby mnie

kto za nogi na ulicę nie wyciągnął? A cóż się w szkole dzieje? Połowa dzieci siedzi w kuczki na ziemi; a i te, co siedzą na ławkach, nie są pewne swego życia. Wszystko naopak. Tablica wytarła się i zamiast czarnego koloru jest biała; inni piszą kredą, a ja muszę węglem. Tak i wieśniacy widząc, że szkoła opuszczona, sądzą, że i nauczyciela niema; nie dają wcale pieniędzy, chyba ktoś czasem z litości coś wetknie. Gdy najlichszy chłop ma obiad i kolacyą, nauczyciel z żoną i czworgiem dzieci kładzie w porze obiadowéj palec do gęby. Gdyby nie było zadowolenia moralnego i duchowego pokarmu, już dawno nauczyciel leżałby w ziemi, dobity nędzą, jakiéj ni owce, ni konie nie cierpią, a tylko ludzie, i to ludzie wybitniejsi nad ogół. A, może kiedyś i dla nas przyjdzie dzień zbawienia. Teraz właśnie czuję się w takim nastroju, że mogę jaskrawo i dobitnie odmalować Jego Ekscelencyi jak rzeczy stoją. Widziałem, że on na mnie szczególną zwrócił uwagę; zobaczę teraz, czy też pamięta swego poetę starego. Zresztą nie trzeba nic innego, jak tylko wręczyć mu tę samą prośbę, co ją przed czterma laty podawało zgromadzenie nauczycieli do okręgu, jam ją właśnie pisał. Są to *argumenta perpetua*, co miało wówczas swą wagę, to i dziś ją posiada słowo w słowo.

Rzekłszy to, otworzył szafę i wyjął zwój papierów, między któremi odnalazłszy ową prośbę, zasiadł natychmiast, aby ją na czysto przepisać.

— A teraz muszę poradzić się ze swoją Basią, jak tu urządzić tę uroczystość przyjęcia Jego Ekscelencyi. Księdzu nic nie powiem o tém, ponieważ, mówiąc między nami, jakkolwiek jest on dobry człowiek, ale zawsze człowiek, który nie wiele zna się na takich rzeczach.

V.

Od téj chwili widzimy, jak Paweł Czuturić przez kilka dni pracuje gorliwie z pędzlem w ręce. Wrócił on teraz napowrót do pracy, którą rzucił już dawno, a która byłaby mu zjednala sławę malarza. Cóż robić, niech na ten raz inni zbierają laury na tém polu.

Nauczyciel zamknął drzwi od izby, aby mu nikt nie przeszkadzał i żeby ta rzecz została w tajemnicy. Na stole rozesłał trzy wielkie arkusze grubego papieru, który służył na wsi do rysunków. Paweł, jako człowiek znający się na każdéj rzeczy, umiał sobie i w tym razie dać radę. Wiedział on, jaki jest herb Jego Ekscelencyi, powziął więc myśl, aby części figur na herbie odmalować i wykończyć na papierze. Pamiętał, że na herbie była z jednéj strony ryba,

a z drugiéj jeleń, nad niemi zaś korona. Podzielił więc tę kombinacyą heraldyczną na trzy osobne części.

Najpierw począł rysować jelenia. Lecz cóż z samym tylko jeleniem? Potrzeba stosownych akcesoryi. A cóż może być właściwszego przy jeleniu, jeśli nie myśliwy. Narysował więc skałę, a z poza niéj wyglądającego myśliwego w chwili, gdy mierzy z fuzyi do jelenia. Zwierzę narysował w téj tragicznéj pozie, gdy trafiony śrótem, słania się i poczyna padać. Około niego wyrysował trawę, a ponieważ było jeszcze dość miejsca wolnego, więc i psa myśliwskiego umieścił.

Potém wziął drugi arkusz. Ryba—to mała rzecz, a arkusz dość duży. Ryby żyją w wodzie. Narysował wiec wodę, a w niéj trzy ryby rzędem, wychylające głowy nad powierzchnię, jak gęsi z kosza, gdy je niosą na targ. Lecz na tém nie koniec. Jak na pierwszym arkuszu myśliwy, tak i tu musi być rybak z wędką, zasłoniony przytém dużym pniem, z poza którego czatuje na ryby.

A teraz przychodzi kolej na koronę. Narysował ją na trzecim arkuszu, a pod nią zdawalo mu się najwłaściwszém umieścić głowę Jego Ekscelencyi. Przez to myślał najskuteczniéj pochlebić panu. Ponieważ z obu stron głowy było wiele miejsca czystego, zapełnił więc je dwoma wazonami kwiatów, które więcéj przydawały wdzięku głowie Jego Ekscelencyi. Do poniedziałku wszystko było gotowe. Ponieważ czas był piękny, więc uczniowie przez cały ów tydzień nie chodzili do szkoły, a natomiast spędzali dnie idylicznie, pasając w polu, lub w górach owce, kozy, konie itd. Teraz potrzeba było nauczycielowi chociaż by kilku chłopców i tyleż dziewcząt, ażeby nieśli owe rysunki herbowe, kwiaty, a także aby śpiewano, podczas przybycia Jego Ekscelencyi. Potrzeba więc było pójść na wieś i poprosić wieśniaków, aby w przeddzień uroczystości przysłali mu do szkoły kilkoro dzieci. Pani Barbara przez cały ten dzień oporządzała i upiększała izbę. Ściany były pokryte różnokolorowemi chustkami a przy nich wisiały wieńce z różnych kwiatów uwite. Nad katedrą nauczyciela był duży wieniec z samych georgiń spleciony, w środku niego napisano powitanie: „vivat".

W poniedziałek rano Czuturić ubrawszy się, opatrzył jeszcze raz izbę szkolną; potém położył na stole z jednéj strony swoję nominacyą nauczycielską, a z drugiéj wyżéj wymienione memorandum. Wyszedł na podwórze, narwał trawy i wysłał nią sień szkolną, aby Jego Ekscelencya nie stąpał po twardéj ziemi. W tym czasie przyszli chłopcy i dziewczęta do szkoły. Nauczyciel każdą z dziewcząt ubrał w kwiaty, założywszy po jednéj georginii za ucho i za pas, jedną przypiął do piersi, a przytém kazał po jednéj trzymać każdéj w ręce.

Chłopcom przypiął także po jednym kwiatku do kapelusza i do piersi i również kazał w obu rękach trzymać po jednym. Potém kazał zaintonować pieśń powitalną: „Synu, słońce na zachodzie“ —ponieważ Jego Ekscelencya przybywał ze strony zachodniéj,—pieśń tę sam ułożył na tę uroczystość i kazał śpiewać na nutę pieśni nabożnéj: „Niech świat cały dzień ten święci.“

Gdy skończono śpiewanie, wziął mistrz ze stołu trzy rysunki i dał je trzem chłopcom do trzymania, ustawiwszy ich tak, aby chłopiec trzymający koronę z głową Jego Ekscelencyi był w środku. Potém rozkazawszy dzieciom zachowywać się spokojnie odszedł do swego pokoju, i za chwilę wrócił ubrany starannie. Ponieważ wybiła już siódma godzina, wyszedł więc na podwórze przed wrota, aby oczekiwać przyjazdu dostojnego gościa, powtarzając ciągle zdanie niemieckie, którém miał go powitać.

O kwadrans na ósmą rozległ się turkot powozu i nauczyciel zdjąwszy kapelusz, postąpił o kilka kroków daléj na drogę. Gdy pojazd się zbliżył, machnął ręką woźnicy, aby stanął; sam podszedł do drzwiczek i pokłoniwszy się trzy razy, począł:

„Euer Excellenz“.

Woźnica, zobaczywszy to, krzyknął:

— Jaki cię dyabeł niesie; nie widzisz, że Jego Ekscelencya śpi?

W téj chwili Jego Ekscelencya ocknął się ze snu i widząc, że powóz stoi, chciał wysiąść; lecz ujrzawszy stojącego nauczyciela, domyślał się, że on to powóz zatrzymał. Nauczyciel stał strwożony, nie wiedząc, co począć. Ręce mu opadły i kapelusz wyleciał na ziemię; czuł, że język zdrętwiał mu w ustach i słowa przemówić nie mógł.

Jego Ekscelencya widząc zmieszanie na twarzy nauczyciela, chciał mu dodać odwagi i zapytał łaskawie:

— Cóż to,—mój nauczycielu?

Ust nie mógł otworzyć, ale odzyskał władzę w rękach i za całą odpowiedź wskazał szkołę.

Jego Ekscelencya domyślił się, czego żąda nauczyciel, wysiadł więc z powozu i poszedł do szkoły. Przy wejściu Paweł pośpieszył otworzyć mu drzwi i wszedł za nim, lecz nieszczęście chciało, że nogą o próg zawadził i ledwie nie upadł na wznak, potrącając przytém dwóch chłopców trzymających herby, które im z rąk wypadły. Jego Ekscelencya podchwycił go za rękę i ochronił od upadku, nie szczędząc przytém słów pociechy. Nauczyciel wyjąknął:

— Wybacz mi, Wasza Ekscelencyo, stało się to mimowoli.

Dzieci, spełniając swoją powinność, właśnie gdy nauczyciel padał zaśpiewały: „Synu, słońce na zachodzie“; lecz on dał im znak ręką, aby umilkły, a dopiero, gdy mu wróciła zupełnie przytomność

i nabrał nieco odwagi, kazał rozpocząć pieśń nanowo, wybijając takt nogą.

Jego Ekscelencya wyraził swoje zadowolenie ze śpiewu powtarzaniem często: „bardzo dobrze“, „pięknie“ itd. Po wysłuchaniu pieśni począł rozmawiać z nauczycielem, który najpierw uważał za obowiązek przeprosić Jego Ekscelencyę za śmiałość jakiéj się dopuścił, zatrzymując go na drodze w przejeździe. Wybaczył mu to Jego Ekscelencya i chcąc tém dobitniéj objawić swe względy dla nauczyciela, poklepał go po ramieniu. Poczém podszedł do dzieci, i począł egzaminować je, zadając różne pytania. Ponieważ Jego Ekscelencya umiał tylko po niemiecku, więc nauczyciel służył w tym razie między nim a dziećmi, za tłómacza. Gdy egzamin był skończony, Jego Ekscelencya pochwalił nauczyciela, wziął od niego memorandum i wychodząc ze szkoły rzekł mu:

— Za tydzień przyjdź pan do mego pełnomocnika po odpowiedź.

Biedny nauczyciel—wiedział dobrze co to znaczy: „do pełnomocnika po odpowiedź“; wspomniawszy przy tém swój wypadek potknięcia się, westchnął tylko i uważając go za zły prognostyk, powątpiewał o dobrym skutku swych zabiegów.

Po upływie ośmiu dni znajdujemy nauczyciela wraz z wielu innymi interesantami w sali audyencyonalnéj pana pełnomocnika Jego Ekscelencyi. Woźny głośno wywoływał osoby po nazwisku przybyłe w interesie. Naraz zawołał:

— Nauczyciel Paweł Czuturić!

— *Hier*!—odrzekł on.

— Oto pańska prośba wraz z odpowiedzią, rzecze pełnomocnik, i podał mu owo memorandum przez ramię, nie spojrzawszy nawet na nauczyciela.

Nauczyciel, który postanowił sobie nie oszczędzić dziś słów bądź co bądź w swéj sprawie, wziąwszy papier począł na głos czytać rezolucyą: „*Ob instantes hoc anno penes ovile, stabula, caeteraque aedificia oeconomica multiplices reparationes, petito deferri non posse.*“ Gdy to przeczytał, nie chcąc wydać się człowiekiem nieokrzesanym, odrzekł—jak sądził—w sposób ironiczny:

— Dziękuję panu, panie pełnomocniku.

Ten sądząc, że nauczyciel rzeczywiście dziękuje mu na seryo, odpowie z ukłonem:

— Drobnostka, nauczycielu,—nie warto podziękowania.

„Drobnostka,—myślał w duchu nauczyciel, wychodząc z sali. Drobnostka! Wcale nic niema, nie zaś drobnostka. I w złym humorze, rozgniewany na pełnomocnika, poszedł do wójta gminnego.

— Dzień dobry, wójcie!

— Jak się macie, nauczycielu!

— Mój wójcie! Teraz niema więcéj żartów, rób co ci się podoba, bylebyś mi kazał chatę poprawić. Wszak to wstyd dla gminy, żeby dom nauczyciela był w takim stanie, że lada chwila runie dach na głowę moją, żony i dzieci.

— Mój nauczycielu — odparł mu wójt — wszystko to pięknie, myślało się już nieraz o twojéj chałupie; lecz w tym roku potrzeba pokryć karczmę wiejską, dom straży; potrzeba wreszcie, jakeśmy się ofiarowali, pobudować za wsią kaplicę świętego Antoniego.

— E, to tak?—oburzył się nauczyciel. — Tam są droższe owce, kozy, konie i woły, niż nauczyciel i jego mieszkanie; a tu buduje się karczma i dom dla straży, a mieszkaniem nauczyciela niech się Bóg opiekuje! Wiem, wiem, Bóg tylko będzie nademną czuwał i bronił mnie jak i dotąd. Budujcie sobie owczarnie, stajnie, żeby wam nie pomarzły owce, konie i woły, a ja będę żył ze swemi dziećmi i w swéj chałupce, dopóki będzie wola boża. Niech was święty Antoni ochrania, a ja oddaję się w opiekę świętéj Katarzynie i nauczycielowi wszystkich nauczycieli, Zbawicielowi naszemu Chrystusowi. Zobaczycie i ty, wójcie, i ty, pełnomocniku, niechno na tamtym świecie siądę przy tronie Boga i, jak ów Łazarz w Ewangelii, was dwóch, a także—mówiąc między nami—i Jego Ekscelencyą zobaczę na dnie piekła, gdy jeden będzie drwa rąbał, drugi woził je, a trzeci ogień rozniecał; wówczas wy, zobaczywszy mnie z dołu, poczniecie łamać ręce i wołać na całe gardło: „Miły, drogi mistrzu, Pawle! spuść nam drabinę lub sznur, abyśmy się do ciebie dostali“; a ja wtedy wezmę długi ożóg i podam go wam, a gdy już będziecie na kilkanaście stóp od ziemi, naraz puszczę ożóg i wy wszyscy — bęc! o ziemię.

Jak widzimy, nauczyciel był prawdziwym tułaczem na tym świecie, a rzeczywista ojczyzna jego była tam w górze.

VI.

Wnioskujemy z pozostałych rękopisów nauczyciela Pawła Czuturicia, a mianowicie z dziennika jego, którego części leżą oto przed nami, że musiał on w kilka lat po tych wypadkach umrzéć; ponieważ opisawszy jeszcze jedno zebranie nauczycielskie, na którém on znowu rej wodził, i wypisawszy całą mowę, którą miał z téj okazyi, kończy swój dziennik temi słowy: „Ponieważ czuję, że wkrótce wypadnie mi już umierać, postanawiam więc—*salvo de reliquo creaoris in creaturam dominio* — wyrzec się już świata, a ten czas, co mi jeszcze pozostaje, użyć na przygotowanie się do śmierci. Gdyby

wszakże coś ważniejszego zaszło ze mną przez ten czas, to wtedy zapisaném to będzie na okładce méj książki do nabożeństwa.“ Na książce téj jednakże nie było nic zanotowane, prócz tylko kredytu u arendarza Leporta i że 14-go kwietnia ocieliła się krowa u kowala, a 29-go przedał ją wraz z cielęciem rzeźnikowi. W księgach wiejskich zapisano, że—jak wielu innych wielkich mężów nowego i starego świata — pochowany kosztem gminy, o czém także musi być wzmianka dla dopełnienia życiorysu.

Paweł Czuturić był jednym z tych ludzi, którzy i umierając nie wiedzieli, po co właściwie rodzili się. Chwytali się téj i owéj rzeczy, wyjąwszy jednéj, która właśnie dla nich może się nadawała. Człowiek zresztą dobrego serca, który zdolny był nawet nad zabitém kurczęciem zapłakać, a cóż dopiéro nad człowiekiem nieszczęśliwym; sam zaś był nieszczęsny, był męczennikiem na tym świecie. W złéj doli wróżył sobie dobrą, w biedzie—dostatek: szklanka wina, jeden lepszy dzień między dziesięcioma ciężkiemi zamieniały mu piekło na raj.

Był on, dodajmy na zakończenie, wzrostu niskiego, chudy, nosił włosy dlugie, które wiecznie spadały mu na czoło i oczy; ręce miał długie, zawsze opuszczone, które podnosiły się tylko w razach nadzwyczajnych; podczas rozmowy zwykle palcami poruszał. Miał także wiele i cech charakterystycznych i przyzwyczajeń, właściwych zresztą ludziom wielkim: milczał ciągle, jak ów wielki mówca Grecyi staréj; wiecznie jednakowo się ubierał, jak Napolen wielki; lubił szklankę wina, jak Lezander; zadawalał się byle czém, a we wszystkich losu zmianach był obojętny, jak Sokrates i Dyogenes; mało mówił, a wiele myślał. W zwykłéj rozmowie używał trzech przysłów, któremi opowiadanie przeplatał: „że tak powiem“, „co oznacza“ i „i tak daléj“; a odświętném przysłowiem jego było: „*Sic itur ad astra.*“

Przełożył *J. Nitowski.*





USAMOWOLNIENIE IRLANDYI.

Im bardziéj wiek XIX zbliża się ku schyłkowi, tém raźniéj, tém energiczniéj zabiera się do rozwiązania oddawna w zamierzeniu będących zagadnień politycznych. Jest to niby spisywaniem inwentarza czy téż rachunkiem sumienia. Pod jego wpływem niejedna z zastarzałych niesprawiedliwości została zniesioną, niejeden naród pokawałkowany i zaprzedany w niewolę wyzwolony już został z ucisku i powołany do bytu samoistnego. Powoli i stopniowo tylko, nie mniéj jednak widocznie układa się szachownica międzynarodowa stosownie do życzeń ludności i praw cywilizacyi. Trzeba się uzbroić w cierpliwość i zrozumiéć, że przekształcenia i przewroty nawet najpożądańsze, najbardziéj nieuniknione są dziełem czasu, i że koniec końcem jest on nieoszacowanym sprzymierzeńcem sprawiedliwości i postępu, byle się tylko wytrwale, i nieugięcie walczyło pod ich sztandarem.

Nowy przykład tego tryumfu zasad swobody daje nam obecnie Irlandya. Dzieje jéj martyrologii zapisane są krwią i łzami w kronikach ludzkości. Przez dziwną ironię losu, Wielka Brytania, organizm państwowy uosabiający najwspanialéj i najpraktyczniéj swobody polityczne, posługiwał się jednocześnie względem jednéj ze swych składowych części tyranią i gwałtem. Rak toczył jéj wnętrzności a nie umiała i nie chciała go się pozbyć. Opór zaś Irlandyi trwający bez najmniejszéj przerwy od siedmiu z górą wieków przybierał stosownie do okoliczności rozmaite formy, począwszy od petycyi, legalnego protestu, jawnych organizacyi aż do knowań, spisków, sprzysiężeń, zbrodniczych zamachów, tłumnych manifestacyi i zbrojnych powstań. Nie trzeba zapominać, że nie idzie w téj walce o całkowitą niezależność, o zerwanie jedności państwowéj, ale po prostu o prawne i polityczne wyswobodzenie, o szeroki samorząd narodowy. Wszy-

stkie ustępstwa, wszystkie reformy, udzielone Irlandyi przez rząd angielski w ostatnich kilkudziesięciu latach, nie były w stanie uspokoić jéj i rozbroić: domagała się całkowitego urzeczywistnienia swoich ideałów, mianowicie irlandzkiego parlamentu, stolicy w Dublinie pod zwierzchnictwem korony Wielkiéj Brytanii. Nie można było przewidzieć z góry dalszych epizodów téj homerycznéj walki i posąg wolności zdawał się skazany długo jeszcze na żałobne kiry. Pycha angielska i egoizm sprzeciwiały się pojednaniu; tradycya historyczna zagłuszała poczucie słuszności. Sceptycyzm polityczny twierdził, że nie ma wyjścia z tego labiryntu i że lew brytański będzie zawsze zmuszony dusić celtyckiego sokoła.

Stało się inaczéj. Po najrozmaitszych losu kolejach, których w przelocie tu zaledwie dotknąć będziemy mogli, Irlandya znalazła nareszcie za dni naszych, w obozie swoich przeciwników, w samym przywódcy rządu angielskiego, męża stanu, który stał się jéj rzecznikiem i którego polityka obrała sobie jako cel pogodzenie Irlandyi z Wielką Brytanią. *Magna charta* dla Irlandyi przedłożoną została przez Gladstone'a parlamentowi w Westminsterze. Historya niezbyt obfituje w wypadki takiéj doniosłości. Chociaż pierwszy projekt usamowolnienia, rozbił się o opozycyą parlamentarną, to nie da się już jednak zaprzeczyć, że kwestya sama w sobie uczyniła olbrzymi krok naprzód, że teoretycznie rozwiązaną już została. Nowi działacze, występujący na arenę, nie złożą oręża do pochwy zanim wielkie dzieło ostatecznie dokonaném nie zostanie i energia ich zarówno jak rozum polityczny wzrastają w miarę jak zbliża się chwila stanowcza.

Pora obecna jest stosowną dla postronnego badacza do wyjścia na zwiady. Piszący, który miał sposobność zajrzéć za kulisy parlamentarnego świata angielskiego, nie ma powodu ukrywać swojéj sympatyi dla Irlandyi, sympatyi która wzrosła jeszcze w skutek wycieczki uczynionéj tam w przededniu obecnych wypadków pod przewodnictwem kilku wybitnych osobistości ligi narodowéj. Ale ograniczając się do roli spostrzegacza, tuszy sobie, iż potrafił aż do końca pozostać bezstronnym, i że czytelnik będzie mógł znaleść w téj pracy materyały do utworzenia sobie o kwestyi irlandzkiéj samodzielnego zdania.

I.

Nawet pomiędzy najzawziętszymi nieprzyjaciółmi Irlandyi nie ma już dzisiaj zapewne żadnego, któryby chciał twierdzić, że Anglia postępowała względem niéj słusznie i sprawiedliwie w dziejo-

wym przebiegu; powołują się tylko na łagodzące okoliczności, na ducha epoki, na panujące dawniéj barbarzyństwo, na namiętności religijne, na konieczności państwowe. Trzeba istotnie uprzytomnić sobie to w pamięci, aby powstrzymać słowa zbyt gwałtownego oburzenia i utrzymać się w dziedzinie krytyki historycznéj.

W drugiéj połowie XII wieku, Henryk II podbija Irlandyą i Roderic O'Connor przelewa nań lenne zwierzchnictwo. Ale organizacya feodalna nie jest w stanie zagładzić dążenia do niezależności i walka pomiędzy plemieniem celtyckiém a najezdnikiem anglo-saksońskim, nacechowana barbarzyństwem średniowieczném, a jednocześnie epicznym heroizmem, trwała bez najmniejszéj przerwy przez długich lat czterysta. Anglicy nie przestawali traktować Irlandczyków jako narodu podbitego i hasłem ich było: *adversus hostem aeterna auctoritas*. Wiek XVI wprowadza nowy żywioł waśni: przeciwko Anglii protestanckiéj, gorejącéj prozelityzmem, podnosi czoło Irlandya, obstająca przy katolicyzmie. Te wojny religijne miały w sobie epizody straszne, dzisiaj jeszcze zdejmujące nas tragiczną grozą. Gdy po uśmierzeniu buntów hrabiego Desmonda i O'Neilla, królowa Elżbieta, chełpiąc się ze zwycięztwa, kazała wybić medal z napisem *Pacata Hibernia* i wtedy jeszcze był to pokój zwodniczy i do spopielonéj, zamienionéj w jedno cmentarzysko Irlandyi słusznie zastosowano nieśmiertelne w swéj lapidarnéj zwięzłości słowa Tacyta: „*ubi solitudinem faciunt, pacem appellant*." Pusto i głucho było wówczas w zielonym Erynie i zwycięzca postanowił zastosować do wycieńczonego kraju starorzymską maksymę łupieży i konfiskaty gruntów. W ciągu stu lat następnych, od Elżbiety do Wilhelma III, to jest aż do końca XVII wieku, rząd angielski będąc wyrazem zapamiętałéj nienawiści narodowéj przeciwko katolicyzmowi, odmawia Irlandczykom prawa posiadania gruntów, spędza do jednéj prowincyi tych, co się upierają przy swojéj wierze, a konfiskuje resztę kraju, rozdając go swoim stronnikom. W ten sposów 10,360,000 akrów ziemi irlandzkiéj przechodzi w ręce angielskie, a krajowcom pozostała zaledwie $^1/_{11}$ część rodzinnéj gleby.

Gdy wiek XVIII zaczyna szerzyć wśród społeczeństw europejskich zasady humanitaryzmu i tolerancyi, Anglia zmienia swoję dotychczasową taktykę względem Irlandyi. Na miejsce rzezi, pożogi i gwałtu materyalnego występuje teraz prześladowanie systematyczne żywiołu narodowego za pomocą praw kryminalnych. Te sto lat *penal laws* są dla historyka wstrętniejszemi jeszcze nieledwie aniżeli wszystko, cośmy przed tém widzieli. Cały aparat praw karnych miał na celu uczynienie istnienia katolików irlandzkich niemożliwém; nie tylko że nie mogli oni być członkami parlamentu, zajmować żadne-

go stanowiska urzędowego lub wyborczego, ale jednocześnie wszystkie prawa cywilne, własność, posiadanie, małżeństwo, wychowanie dzieci, dziedzictwo, zostały ujęte w takie karby, najeżone takiemi ograniczeniami, że pojąć nie łatwo, jak się tym kleszczom oprzéć mogły przerzedzone i osłabione żywioły narodowe. Gdy namiętności religijne słabły, zostawał jeszcze stale interes materyalny. Protegując wszystkimi sposobami ludność protestancką angielską, osiadłą w Irlandyi, rząd Wielkiéj Brytanii używał jéj i posługiwał się nią dla wydarcia téj prowincyi ostatnich, pozostałych jéj jeszcze śladów niezależności. Stopniowo wytworzyła się po nad prawdziwą starodawną Irlandyą, posiadającą większość liczebną, ale zrujnowaną, zdemoralizowaną, ciemną, fanatyczną, inna Irlandya napływowa, sztuczna, która dzięki bogactwu i faworom przyzwyczaiła się uważać za istotnych, prawnych właścicieli kraju i przedstawicieli ogólnéj sprawy narodowéj. Ta urzędowa, protestancka Irlandya gardzi i nie pyta się nawet o istnienie drugiéj, podziemnéj. Gdy wszakże naprzód bunt *whiteboys*, potém wyswobodzenie Stanów Zjednoczonych, a nakoniec rewolucya francuska pokazuje społeczeństwu i rządowi angielskiemu, że ta Irlandya, którą zabili i pogrzebali, żyje i do życia rości pretensye, wtedy powstaje niezłomny zamiar zakończenia raz na zawsze sprawy irlandzkiéj przez zniesienie ostatniego szczątku niezależności krajowéj, mianowicie parlamentu w Dublinie. W dniu 26 maja 1800 roku przedstawiciele Irlandyi zgodzili się na rozwiązanie parlamentu i na postawienie na przyszłość Irlandyi pod zwierzchnictwem parlamentu wspólnego dla całéj Wielkiéj Brytanii. Niepodobne do uwierzenia, nigdy przedtém niepraktykowane na taką skalę, skandaliczne przekupstwo zapieczętowało politykę angielską aktem godnym 631 lat, poprzedzających unią irlandzko-brytańską. Suma, za jaką sprzedano prawodawczą niezawisłość Irlandyi, wyniosła kilkaset milionów; znamy jéj bilans aż do ostatniego szeląga. Nie można jednak powiedzićć, że Irlandczycy popełnili taką zbrodnię: sprawcami jéj byli w przeważnéj części Anglicy, osiadli w Irlandyi, pseudo-Irlandczycy, uważający za rzecz pozwoloną frymarczyć losami zdobytego i wyzyskanego kraju.

II.

Ten pobieżny przegląd wypadków, które poprzedziły unią 1800 roku, mógłby zrodzić przypuszczenie, że wówczas nastąpiła ostateczna zagłada Irlandyi, że był to epilog wiekopomnéj walki dwóch niepogadzalnych organizmów. Wniosek tego rodzaju byłby jednak fałszywy. Zjednoczenie zapisane wprawdzie zostało w literze kon-

stytucyi i stalo się prawomocném: nie było go jednak ani śladu w usposobieniu i nastroju narodów. Irlandya nie zrzekła się żadnéj ze swoich aspiracyj, Anglia nie mogla zapomnieć, że ma na pozór tylko pojednanych, ale w gruncie zajadłych przeciwników, ani przeczuć, że wspólny parlament będzie sceną nie jednéj gwaltownéj protestacyi.

Główna zmiana dotyczyła istotnie tego teatru politycznego. Glosy za równouprawnieniem, za wyswobodzeniem Irlandyi rozlegają się w całym ciągu naszego stulecia z pałacu Westminsterskiego. Mają one cel troisty: polityczny, ekonomiczny i religijny, a mianowicie odzyskanie straconego samorządu, odzyskanie skonfiskowanéj własności gruntowéj i wyswobodzenie wyznaniowe. Programat nie zmienił się ani na chwilę, chociaż się skupiał lub rozdrabiał stosownie do strategii parlamentarnéj.

Nie należy się dziwić, że walka rozpoczęła się od kwestyi religijnéj. Nie tylko że z saméj swéj natury leży ona najbliżéj serca społeczeństwa irlandzkiego, ale rząd brytański przeprowadzając unią, przyjął był zobowiązanie wyzwolenia katollków. Domagając się takowego, przedstawiciele Irlandyi stawali na gruncie praktycznym i jednocześnie byli orędownikami swobody i cywilizacyi. Prześladowania i udręczenia religijne nie dadzą się już zrozumieć w naszych czasach, nie odpowiadają bynajmniéj duchowéj atmosferze i mimowolnie widzieć się w nich musialo nie walkę o dogmaty, ale skręcenie jéj do politycznych widoków.

Zbytecznem byłoby przypominać historyą prześladowania katolicyzmu w Irlandyi. Są umysły nawet postępowe, co przypominając absolutyzm i tyranią kościoła rzymskiego, mając przed oczami ciągle stosy płomienne i zbrodnicze zamachy inkwizycyi świętéj, widzą w losach irlandzkiego katolicyzmu sprawiedliwy odwet historycznéj Nemesis. Trudno nam podzielać to zapatrywanie i zbyt głęboką cześć wyznajemy dla swobody sumienia, abyśmy czuli pochop do usprawiedliwiania prześladowań religijnych z jakiegokolwiek wychodziłyby obozu.

Teorya o jedności kościoła z państwem i o potrzebie religii państwowéj leżala na dnie téj polityki. Na wysokości współczesnych idei cywilizacyjnych zasada ta wydaje się nam obecnie potwornym dziwolągiem, gdyż wiemy, że państwo będąc jedynie organizmem zabezpieczającym rozwój społeczeństwa, nie ma najmniejszego powodu tak samo jak nie ma prawa mieszać się do kwestyi sumienia i wiary, należących do sfery wyłącznie indywidualnéj. Ale idee te nie znalazły dotąd ogólnego uznania w Wielkiéj Brytanii i stronnicy kościoła państwowego nie tak prędko jeszcze utracą uprzywilejo-

wane stanowisko, w posiadaniu którego się znajdują. Mówiliśmy niedawno o téj sprawie szczegółowo i czytelnicy, co mają w pamięci naszą pracę o kościele i walce religijno-kościelnéj w Anglii (1), łatwo sobie wytłómaczą zawziętość panującego kościoła anglikańskiego nad prawnie pokonanym katolicyzmem w podbitéj Irlandyi. Z jednéj strony uorganizowany tam został kościół anglikański o rozgałęzionéj hierarchii i uposażony ze szczodrobliwością tém większą, że widziano w nim armią propagującą słowo boskiéj prawdy; z drugiéj strony położono wszelkie możliwe tamy samoistnemu bytowi kościoła katolickiego i postawiono jego wyznawców w tak upośledzoném, w tak trudném położeniu, że trzeba było istotnie religijnego entuzyazmu, ażeby się przy téj prześladowanéj wierze ostać i być jéj orędownikiem.

Jak za każdym razem w historycznym rozwoju ludzkości, tak i tutaj walka religijna podwoiła energią i spotęgowała hufce męczenników za wiarę. Uciśniona religia zlała się w jedność z uciśnioną ojczyzną; walcząc za swobodę swych ołtarzy, walczył Irlandczyk za swobody narodowe. Duchowieństwo było nie tylko sprzymierzeńcem, ale i przywódcą ruchu i organizacyi, dążących do emancypacyi uciśnionych żywiołów. Pomiędzy niém, a narodem istniał związek ścisły, do rozerwania niepodobny. Podczas gdy prawo zmuszało katolicką ludność Irlandyi do utrzymywania swym kosztem duchowieństwa anglikańskiego i składania mu dziesięciny, znajdowała ona zawsze grosz wdowi dla swego duchowieństwa, dla tych kapłanów, co byli krwią ich krwi, co ich podtrzymywali w cierpieniach, co im dawali chleb ducha i chleb ciała w strasznych głodowych klęskach, co byli ich opiekunami, ich starszą bracią. Duchowieństwo nie brało czynnego udziału w tych rozlicznych spiskach i tajemnych organizacyach, które zdążały do rewolucyjnych wybuchów, ale gdy w pierwszéj ćwierci naszego stulecia stało się oczywistem, że emancypacya Irlandyi nie może być osiągnięta siłą gwałtu, ale jedynie moralnym naciskiem i prawną propagandą, wtedy cały hierarchicznie uorganizowany kościół irlandzki stanął po stronie narodu i szedł z nim odtąd ręka w rękę. *Stowarzyszenie katolickie*, powstałe w 1810 roku, jest już w dziesięć lat późniéj potęgą polityczną. Cały siedmiomilionowy naród irlandzki ujęty został w sieć téj organizacyi; jéj komitet centralny, powstały z wyborów, obraduje nad wnioskami, jakie mają być przedstawione parlamentowi, prowadzi agitacyą wyborczą, przeprowadza kandydatów, kréśli im drogę działania, a jednocześnie zbiera podatki na cele publiczne, ma swoich agentów,

(1) *Ateneum*. Luty 1886. Kwestya kościelno-religijna w Anglii.

opiekuje się każdym wywłaszczonym wieśniakiem, każdym pokrzywdzonym przez władze administracyjne lub sądowe. Obok rządu angielskiego powstaje inny, otoczony czcią i ufnością całego narodu, który zespala się z nim duchem i ślepo słucha jego rozkazów i rozporządzeń. Gdy w r. 1825 rząd rozwiązuje jako nielegalne to Stowarzyszenie katolickie, to wkrótce organizuje się pod inną firmą, aż w końcu przechodzi w tryumfujące *Stowarzyszenie narodowe*.

Każdéj wielkiéj sprawie potrzeba odpowiednich działaczy, potrzeba geniusza, coby krystalizował jéj aspiracye. Stowarzyszenie narodowe irlandzkie znalazło go w Danielu O'Connellu. To głośne imię ludowego trybuna przywołuje wspomnienia jednéj z najświetniejszych walk ludzkości za sprawę wolności. Nigdy naród cały nie złożył tak całkowicie swych losów w ręce swego wodza, nigdy wódz ten dzielniéj i skuteczniéj nie bronił powierzonego sobie sztandaru. Opierając się na gruncie legalnym i tylko na takowym, trzymał on w przeciągu lat kilkunastu zawieszoną nad Anglią głownię rewolucyjną; jak morskie bałwany na głos proroka Izraelu, tak na głos O'Connella miliony irlandzkiéj rzeszy gromadziły się i rozstępowały. Na olbrzymich meetingach, gdzie przemawiał do ludu, wywołując w nim szlachetne namiętności, w radzie w pośród biegłych i wytrawnych przywódców narodu, których przewyższał znajomością prawa, obrotnością i rzutkością, w parlamencie, do którego tak długo, jako katolikowi wejść mu było wzbronione i gdzie mu się przyszło spotykać z największymi mówcami, największymi mężami stanu Anglii, wszędzie O'Connell znajduje się na wysokości swego historycznego zadania.

Agitacya konstytucyjna, któréj był duszą, osiągnąć musiała swój cel i członkowie rządu uznali nareszcie konieczność emancypacyi katolików. Nie należy zapominać, że i w ich otoczeniu, w parlamentarnych kołach, opinia ta zyskiwała coraz większą przewagę. Oddawna już najlepsze umysły angielskie uczuwały niesprawiedliwość wyrządzaną katolikom irlandzkim, którzy wciąż jeszcze byli wykluczeni z parlamentu, którym nie wolno było sprawować urzędów administracyjnych i sądowych, którzy nie mogli nabywać gruntów, którzy aby wychować swe dzieci w wierze ojców, zmuszeni byli pokryjomu wysyłać je do zagranicznych szkół i zakładów. Nieraz już parlament angielski był świadkiem gorących protestacyi ze strony tych, którzy nie chcieli dźwigać solidarnéj odpowiedzialności za te krzywdy. Nieskazitelna postać Henryka Grattan'a, którego całe parlamentarne życie poświęcone było obronie praw irlandzkiego narodu, świetne, wulkaniczne mowy Ryszarda Burke, uparta walka genialnych ministrów i jasnowidzących mężów stanu Pitta i Can-

ninga z królem Jerzym III i ortodoksyjną dworską kamaryllą, walka, w któréj woleli stracić swe przewodnie stanowisko, aniżeli zgodzić się na nową sankcyę bezprawia: oto jasne epizody, których zapomniéć nie wolno.

Pod wpływem wytrzeźwionéj opinii publicznéj w saméj Anglii, ale jednocześnie pod naciskiem agitacyi irlandzkiéj, prowadzonéj coraz energiczniéj przez O'Connella, gabinet torysowski Roberta Peela złożył broń nareszcie. Dziwną była zaprawdę ta igraszka losów, przez którą właśnie ów protestancki mąż stanu, który najgoręcéj za rządów Canninga sprzeciwiał się emancypacyi katolików, owa ostatnia i najświetniejsza gwiazda na widnokręgu torysowskiéj reakcyi, że właśnie on przedstawił bil emancypujący katolików. Napróżno własne jego stronnictwo ogłosiło go jako zdrajcę, napróżno gwałtowna agitacya rozpoczęła się przy złowieszczych krzykach: *No popery!* wielki akt polityczny Roberta Peela przeszedł przez wszystkie manowce parlamentu i otrzymał sankcyą korony w roku 1829.

Równość polityczna nastąpiła tedy pomiędzy obu wyznaniami od téj pamiętnéj epoki, ale kwestya religijna nie zeszła z programatu irlandzkiego, gdyż o równouprawnieniu religijném mowy jeszcze nie było. Kościół anglikański, ten kościół anti-narodowy, będący w oczach każdego Irlandczyka uosobieniem obcego najazdu, ten kościół, który liczył zaledwie kilkakroć sto tysięcy wyznawców, niespełna milion przeciwko siedmiu milionom katolickich mieszkańców kraju, ten kościół co liczył czterech arcybiskupów, ośmnastu biskupów, 80 kapituł, 1400 proboszczów po większéj części bez parafian, ten kościół oprócz wspaniałych gmachów, obszernych ziemskich posiadłości uposażony był roczną sumą 800,000 funtów szterlingów. Sumę tę płacili ze swych kieszeni biedni, umierający nieraz z nędzy katoliccy Irlandczycy. Nigdy kręcenie własną ręką bicza do osmagania nie było widoczniejszém. Najdotkliwszą była kwestya płacenia dziesięciny, która wynosiła nie mniéj jak 650,000 fun. szterlingów rocznie i która prawie całkowicie ciężyła na proletaryacie rolniczym irlandzkim. Wezwany przez swoich przywódców do odmawiania dziesięciny lud irlandzki zaprzestał jéj płacić i na tym punkcie wszczęła się walka uparta, która z jednéj strony wywoływała w Irlandyi ciężkie prześladowania i ruinę materyalną, a z drugiéj w parlamencie była powodem najrozmaitszych prawodawczych projektów, zmian gabinetowych i nieustannéj agitacyi, trwającéj aż do roku 1838. Wtedy to udało się lordowi Johnowi Russelowi przeprowadzić bil, znoszący dziesięcinę i zamieniający ją na rentę państwową do ⅔ jéj wysokości. Ludność katolicka otrzymała tedy w dziesięć lat

po bilu emancypacyi nowe zadośćuczynienie, znaczne wprawdzie, ale jeszcze nie zupełne. Zostawało jeszcze zawsze desideratum radykalne, czyli sekularyzacya anglikańskiego kościoła w Irlandyi. Trzydzieści lat trzeba było czekać na takowe; nie dożył go wielki atleta, wielki patryota irlandzki, O'Connel, który umarł w roku 1847. Podjęte przezeń dzieło nie straciło jednak na takim ubytku: na zbyt dobréj znajdowało się już drodze.

Postęp idei liberalnych szedł takim krokiem w pośród angielskiego społeczeństwa, że wychodzili z niego teraz jedni po drugich najużyteczniejsi obrońcy sprawy irlandzkiéj. Nie lada męża stanu było jednak potrzeba, ażeby przeprowadzić sekularyzacyą kościoła anglikańskiego w Irlandyi. Obok kwestyi zasadniczéj, drogiéj zawsze angielskiemu sercu, uważającéj kościół anglikański na ziemi irlandzkiéj jako manifestacyą zwierzchnictwa państwowego, jako tryumf nad kacerstem, istniała jednocześnie kwestya praktyczna, najeżona materyalnemi trudnościami i niepozwalająca z góry przewidzieć, jakiby był los tego anglikańskiego kościoła w Irlandyi, gdyby nie był podtrzymywany przez machinę państwową. Ażeby rozwiązać taki skomplikowany problemat, potrzeba było rozlicznych moralnych, umysłowych, oratorskich i finansowo - administracyjnych przymiotów i zdolności, które na chlubę Anglii a szczęście Irlandyi posiadał Wiliam Ewart Gladstone.

Gdy w chwili obecnéj widzimy zdumienie publiczności europejskiéj nad potężném dziełem wyswobodzenia politycznego Irlandyi, przedsięwziętém przez tego samego Gladstone'a, gdy słyszymy krzyki oburzenia, przekleństwa, sarkającą ironią stronników przywileju i rzeczników despotyzmu nad tą rzekomą zdradą i odstępstwem od tradycyjnéj polityki angielskiéj, gdy jesteśmy świadkami tych ostatnich konwulsyjnych wysiłków zdemaskowanéj reakcyi, przyznajemy, że nie możemy oprzéć się pewnemu zdziwieniu i zapytać tych oponentów, czy nie znają historyi dnia wczorajszego, czy nie wiedzą, co się stało nie daléj jak przed szesnastu laty, czy nie pamiętają, co w latach 1868—70 zrobił Gladstone? Jego ówczesna radykalna polityka powinna ich była przygotować do obecnéj i jeżeli wypadki obecne zaskoczyły ich niespodzianie, to nie czyją inną, ale ich własną było to winą—historya nie nauczyła ich niczego.

Dość jest przypomniéć sobie pojedynek pomiędzy Benjaminem Disraelim a Gladstonem, rękawicę podjętą w imieniu sekularyzacyi anglikańskiego kościoła w Irlandyi, rozwiązanie parlamentu, wybory roku 1868, które dały potężną większość stronnictwu liberalnemu, związek Gladstone'a z radykalnym Johnem Bright i nakoniec przedstawienie bilu o sekularyzacyi. Przedstawiony w marcu roku 1869

po długich i zaciętych rozprawach uzyskał on sankcyą korony i stał się prawomocnym z dniem 1-go stycznia 1870 roku. Udało się Gladstone'owi znieść ostatnie szczątki wielkiéj historycznéj niesprawiedliwości, zmazać hańbę ciążącą na rządzie angielskim w Irlandyi. Anglikanizm przestał być narzucany katolickiemu krajowi i utrzymywany z jego skarbu. To wielkie dzieło reformy przeprowadzone zostało z uwzględnieniem wszystkich praw nabytych, z poszanowaniem wszystkich stanowisk osobistych. Komisya ustanowiona *ad hoc* przedsięwzięła spis inwentarza kościoła; powróciła skarbowi to, co doń należało, a zostawiła duchowieństwu protestanckiemu fundusze pochodzące z prywatnych zapisów i fundacyi. Wszyscy duchowni otrzymali dożywotnię pensye, równoznaczne tym, które pobierali przedtém, jeżeli synod kościelny uznał nadal ich funkcye za potrzebne. Ponieważ jednak nie leżało w interesie rządu, ażeby powiększać ilość posad zbytecznych, nie upłynęło lat kilku, a zniesiono ich połowę. 6162 członków duchowieństwa angielskiego doszło do porozumienia z komisyą i uregulowało swoje finansowe stosunki przed upływem roku 1873, z góry wyznaczonego, jako ostateczny termin. Nie można oskarżać komisyi sekularyzacyjnéj o skąpstwo, gdy przypomnimy, że wyasygnowała w tym celu sumę 8,259,673 funtów szterl. Suma ta tém więcéj zastanawiać może, że w r. 1873 wszystkiego było protestanckiéj ludności w Irlandyi 683,295, czyli dziesiąta część całéj ludności.

Bądź-co-bądź, kwestya ta załatwioną została ostatecznie, radykalnie. Długiego zapewne potrzeba będzie czasu zanim zaginą jątrzące wspomnienia niesnasek religijnych i prześladowań, ale od lat szesnastu sprawa swobody religijnéj została wymazana z porządku dziennego i na tym przynajmniéj punkcie wymogi patryotyzmu irlandzkiego całkowite zadośćuczynienie otrzymały.

Pozostawały do załatwienia dwa drugie punkty programatu narodowego: polityczny, dotyczący samorządu Irlandyi, i socyalny, dotyczący uregulowania kwestyi gruntowéj. Należy nam z kolei przypatrzéć się losom, jakie przebiegły i rozwiązaniu, do jakiego zdążają pod egidą tego samego męża stanu, który odegrał rolę przewodnią w sprawie kościelnéj — Gladstone'a.

III.

Dążenie Irlandyi do samorządu, do usamowolnienia narodowego musiało wzrastać i rozwijać się od aktu unii roku 1800, nie tylko pod wpływem istotnych potrzeb, ale i pod wpływem ogólnego prądu ku swobodom politycznym, charakteryzującego naszą epokę.

Irlandya cierpiała materyalnie, ale cierpiała także moralnie, w swojéj ambicyi, w swojéj dumie. Polityka nauczyła się wciągać tego rodzaju czynniki do swoich rachunków. Im bardziéj się czuli upokorzeni i zepchnięci, tém goręcéj rwali się do postawienia swego kraju na stopie, do któréj zdawał się im miéć prawo. Walka religijna, o któréj mówiliśmy, przyczyniała się także pośrednio do rozbudzenia namiętności i rozkołysania umysłów. Zwycięstwa, jakie jedne po drugich odnosili w téj dziedzinie, dawały im prawo spodziewać się równego powodzenia w innych.

Opinia narodowa widziała w owym parlamencie krajowym, który Irlandya utraciła, palladyum swobody. Jak wiele innych tradycyi, tak i ta zawierała w sobie obok częściowéj prawdy wielką dozę złudzeń. Zdziwili by się niewątpliwie ci gorący patryoci irlandzcy, którzy mówią o parlamencie, jak o instytucyi skupiającéj w sobie wszystkie narodowe dezyderaty, ale którzy powierzchownie tylko znają rozwój i przebieg publicznego życia swéj ojczyzny, gdyby się im w rzeczywistém świetle okazało ów wyidealizowany parlament irlandzki. Korona angielska miała naprzód prawo zwoływać go nie w stałych wyznaczonych epokach, ale stosownie do swego upodobania, i zdarzało się, że w ciągu 23 lat — od 1666 do 1689 r.— nie zwołała go ani razu! Członkowie parlamentu wybierani byli na cały czas panowania króla. Oczywista, że jednoczyli swoje losy z losami monarchy, że tracili wszelką niezależność, że byli po prostu urzędnikami płatnymi przez rząd, z tą tylko różnicą, że kosztowali go więcéj i że traktowani byli z tém lekceważeniem, jakie jest moralną nagrodą frymarczących swém sumieniem. Nie trzeba także zapominać, że w tém ciele wyborczém, przedstawiającém społeczeństwo katolickie, żadnemu katolikowi zasiadać nie było wolno. Samo się przez się rozumie, że skoro pozbawiono katolików prawa głosowania, skoro im odjęto prawo należenia do korporacyi i rad municypalnych, skoro nie mogli być ani sędziami pokoju, ani adwokatami, ani przysięgłymi, ani szeryfami, ani nawet policyantami, skoro, jak powiedział kanclerz Bowes i naczelny sędzia Robinson na pełném zebraniu parlamentu irlandzkiego: *no such person w'as supposed to exist as au Irish catholic*, to samo się przez się rozumie, że tém mniéj jeszcze mógł katolik zasiadać w parlamencie narodowym. Na ławach jego znajdowali się tedy przeciwnicy niezależności i swobody irlandzkiéj. Chociaż tego rodzaju deputowanym można było zaufać, że nie przekroczą swéj sfery działania, to mimo tego każdy projekt prawodawczy, który poddany był ich obradom, musiał był uprzednio pozyskać uprzednie zezwolenie rady stanu irlandzkiéj, następnie przejść przez szczegółowy rozbiór w łonie rady stanu angielskiéj

i dopiero po uzyskaniu takich rękojmi bezpieczeństwa wolno było zabierać głos lalkom woskowym, zasiadającym w sali parlamentarnéj *Conciliation Hall.*

Mimo tych wszystkich niedostatków i ułomności tak widocznych, że żadnego szczegółowego nacisku kłaść na nich nie trzeba, mimo prawa *Poynings*, datującego z epoki pierwszego z Tudorów, mocą którego władza prawodawcza parlamentu irlandzkiego postawiona została pod zwierzchnictwo londyńskiego, taką jest siła wewnętrzna ciała wyborczego i mównicy, z któréj rozlegać się mogą głosy obrończe za sprawiedliwością i prawem, że nawet ten parlament irlandzki drogim był narodowemu sercu i że Irlandzcyłcy, dopóki go posiadali, nie uważali się za całkowicie wydziedziczonych.

I przyszła téż istotnie historyczna chwila gdzie nawet ten bezwładny, ten znikczemniały parlament irlandzki odradza się, usamowalnia i staje się tak żywym organem społeczeństwa swego, że rząd i parlament angielski widzą konieczność traktowania z nim i zwolnienia pęt, co krępowały Irlandyą.

Okolicznością, która przewrot ten wywołała, było, jak już wyżéj uczyniliśmy wzmiankę, wyswobodzenie Stanów Zjednoczonych amerykańskich i zerwanie węzłów kolonialnych, co je łączyły z metropolią. Z jednéj strony przykład téj walki i tego zwycięstwa podziałał orzeźwiająco na Irlandczyków tak, że można powiedzieć, iż owa data roku 1776 zaznaczała nie tylko wyswobodzenie Ameryki ale jednocześnie i zwrot wybitny we wzajemnym do siebie stosunku dwóch połączonych królestw; z drugiéj—rząd angielski i parlament londyński, pod naciskiem opinii i w obawie rewolucyi przedsiębierze szereg reform, których nie można się było przedtém od niego spodziewać. Będąc w wojnie z Francyą, z Hiszpanią, z Ameryką, w ciągłém przewidywaniu najazdu nieprzyjaciół, rząd angielski był zmuszony ogołocić Irlandyą z załogi wojskowéj, i natychmiast, niby za podmuchem czarodziejskiéj siły tworzy się na całéj przestrzeni kraju gwardya narodowa ochotników. Armia 60.000 Irlandczyków, uzbrojona przez rząd była nie tylko materyalną ale i moralną potęgą. Mieszcząc w swych szeregach wszystkie warstwy społeczne, cały kwiat inteligencyi, zbliżyła do siebie katolicką część narodu z protestancką w imie wspólnych interesów swobody. Parlament dubliński czerpie swe natchnienie i animusz do opozycyi w tych zbrojnych szeregach, co mu naraz pozwalają dotykalnie sprawdzić istnienie Irlandyi jako samoistnego narodu.

W pośród deputowanych irlandzkich znajdował się Henryk Grattan. Jest to wielka postać parlamentarna, górująca w XVIII wieku i jego wpływ i dzieła nie mogą chyba być porównane do tych, jakie w pierwszéj połowie naszego stulecia rozwinął O'Connel albo jakie za dni naszych uosobione są w Parnell'u. Grattan nakreślił Irlandyi ówczesnéj programat polityczny, który do dziś dnia nie przestał być najwyższym wyrazem politycznego rozumu, mianowicie że Irlandya i Anglia mają stanowić dwie części jednéj całości, że składać powinny fedaracyjne państwo i że wspólnym węzłem dla nich będzie wierność dla tronu i niezależność konstytucyjna. Za jego podmuchem parlament irlandzki w dniu 19 lipca 1782 uznaje się władzą zwierzchniczą, niezależną na przyszłość od parlamentu angielskiego. Ten akt doniosły, który Burke słusznie nazwał 1688 rokiem irlandzkim, nie przyniósł wprawdzie za sobą wszystkich następstw, jakich oczekiwała odeń wzburzona opinia narodowa, raz dla tego, że ten zgangrenowany z gruntu parlament dubliński mógł się zdobyć pod wpływem wielkiego nacisku chwilowego na krok nadzwyczajny, ale że niebawem powrócił do swéj zwykłéj służalczości, i nie przedsięwziął nawet swéj wewnętrznéj reformy, od któréj zacząć był winien; a potém dla tego, że po osiągnięciu niejakich ulepszeń ze strony strwożonego rządu, naród irlandzki opuścił drogę legalną i zagrzany wpływem i przykładem rewolucyi francuskiéj szalejącéj wówczas, przeszedł sam także na drogę agitacyi rewolucyjnéj. Gdy agitacya ta w roku 1798 przybrała charakter zbrojnego powstania, rząd angielski nie omieszkał przedsięwziąć represyi nieubłaganéj, gwałtownéj. Nie można czytać opisów scen okrutnych, które skalały wówczas Anglików, bez dreszczu oburzenia i rumieńca wstydu za pogwałcone uczucia ludzkości. Po uśmierzeniu tego rewolucyjnego ruchu przyszła dla Anglii chwila odwetu i postanowiła ona raz na zawsze wytrzebić w Irlandyi wszystkie uczucia niezawisłości, odpłacić jéj za to dwudziestolecie względnéj swobody, którą w epoce burzliwéj udzielić jéj była zmuszoną. Jako najlepszy, najdotykalniejszy sposób zniweczenia resztek niezależności irlandzkiéj uznano zniesienie parlamentu Dublińskiego. Skoro nawet to służalcze narzędzie było zdolne do oporu, skoro w łonie jego zrodzić się mogli tacy ludzie, jak Grattan, nie zostawało Anglii, porwanéj reakcyjnym żarem, nic lepszego do zrobienia, jak zdławić tego smoka. Naturalnie dopełniono tego zamachu stanu w sposób legalny: nigdy nie brakło w dziejach form legalnéj kazuistyki dla uświęcenia zbrodni, dokonanych na niezależności lub swobodzie narodów. Napróżno 21 hrabstw z trzydziestu dwóch składających Irlandyą protestuje przeciwko temu pogwałceniu paktu zasadniczego, napróżno Grattan piętnuje ten zamach stanu słowami co

dźwięczyć groźbą nigdy nie przestaną, rząd angielski zakupiwszy za sumę 1.260.000 funtów szterl. gotówką wypłacone, głosy 118 członków parlamentu dublińskiego, udzieliwszy im posady hojnie płatne, pensye dożywotne, tytuły, godności i dostojeństwa, otrzymuje nareszcie pożądany rezultat: w dniu 26 maja 1800 roku 118 głosów przeciwko 73 zdecydowało zagładę irlandzkiego ciała prawodawczego.

Nie należy jednak przypuszczać, że ze zniesieniem parlamentu oddzielnego dla Irlandyi zniknęła całkowicie niezależność tego kraju i że prawa i ustawy istniejące po drugiéj stronie kanału Ś-go Jerzego zostały mu narzucone. Prawa obowiązujące w Angli i Szkocyi są prawami zwyczajowemi i jako nieskodyfikowane nie mogły być za *instrumentum regni* narzucone sąsiadom. Wszystko zostało po dokonanéj unii prawodawczéj tak, jak było przedtém, z tą tylko różnicą że o losach Irlandyi, o jéj potrzebach, o jéj żądaniach, o środkach zaspokojenia takowych stanowiło nie ciało specyalne wybrane *ad hoc*, ale wszechwładny parlament Wielkiéj Brytanii, któremu nie brakowało na potędze ale któremu brakowało i na właściwém uzdolnieniu, na znajomości stosunków i na bezstronności i sympatyi, niezbędnych kagańcach wśród tego mroku. W takich okolicznościach nie dziwota, że niezadowolenie w Irlandyi rosło, że wybuchy sporadyczne nienawiści wywoływały surowe środki represyjne i że moralna przepaść, co dzieliła dwa narody, stawała się coraz głębszą.

Opozycya parlamentarna i opozycya społeczna skupiła się naprzód około kwestyi religijnéj. Opowiedzieliśmy już wyżéj koleje, jakie walka ta przechodziła. Ale walka polityczna nie była także zaniechaną w tym samym przeciągu czasu. Niekiedy przybierała ona formę buntu przeciwko legalnym instytucyom, jak to miało miejsce najprzód w roku 1804 w niespodzianéj i tak tragicznie zakończonéj awanturze Roberta Emmetta, potém w spisku *Whiteboys* i nakoniec w słynnéj agitacyi Chartystów w r. 1843. O'Connell nakreślił program demokratyczny Chartystów, ale głównym czynnym ich przywódcą był ów Feargus O'Connor słusznie przezwany O'Connellem motłochu. *Repeal*, to jest odwołanie unii prawodawczéj leży na dnie tych sprzysiężeń i buntów, tak samo jak jest łącznikiem tych stu deputowanych irlandzkich i tych 32 członków izby lordów, co zasiadali w Westminsterskim pałacu. Żadne z tych zaburzeń i żaden z tych buntów nie były groźnemi dla Wielkiéj Brytanii; środki, któremi rozporządzano, nie znajdowały się na wysokości zakreślonego im celu. Ale nie przestawały one przecież drażnić i podtrzymywać opinii narodowéj irlandzkiéj w ciągłym ferworze. Dla nowego pokolenia, co wystąpiło na arenę publiczną w ostatnich latach dyktatorskiego zawodu O'Connella, dla stronnictwa tak zwanéj Młodéj Irlandyi, agita-

cya legalna, zamknięta w formułach i przepisach parlamentarnych, stawała się coraz trudniejszą do usprawiedliwienia, coraz cięższą do zniesienia. Pora olbrzymich meetingów i olbrzymich petycyi już minęła: marzono o szybszém, o radykalniejszém działaniu. Gdy dwa lata nieurodzaju wywołały w Irlandyi nędzę głodową, która przypomina klęski średnich wieków, i gdy wskutek pomoru i emigracyi ludność krajowa spadła w tym krótkim przeciągu czasu z ośmiu do sześciu milionów, wtedy pod naciskiem takich materyalnych okoliczności z jednéj strony, a z drugiéj pod wpływem idei politycznych, co zawładnęły Europą w roku 1846, stronnictwo Młodéj Iralndyi, na którego czele znajdowały się osobistości drugorzędne tylko, jak Smith O'Brien, Meagher i Mitchell, starało się wywołać powstanie zbrojne, które się jednak skończyło całkowitém *fiasco* w samém swojém zaraniu.

Ostatni to był już podryg rewolucyjnego stronnictwa w téj formie. W nowéj, w gwałtowniejszéj jeszcze pojawia się w organizacyi sprzysiężenia f e n i a n ó w. Stronnictwo to krańcowego irlandzkiego radykalizmu powstało po za granicami Irlandyi na swobodnéj ziemi Stanów Zjednoczonych, do któréj schraniali się wychodźcy irlandzcy i którzy wyrastali tam w liczbę i siłę, i pozyskawszy materyalne środki działania, postanowili ich użyć dla usamowolnienia swojéj ojczyzny. Rozporządzając obszernym zapasem narzędzi politycznych, fenianie cisnęli otwarcie rękawicę Wielkiéj Brytanii. Podczas kiedy organizacya spiskowa oplatała całą Irlandyą w swoję sieć gęstą, znajdujący się w Ameryce jéj członkowie i przywódzcy ustanowili nie tylko rząd naczelny i komitet centralny, ale rodzaj parlamentu irlandzkiego. Zdecydowano się naprzód na wojnę z Anglią a mianowicie na napaść jéj wielkiéj amerykańskiéj kolonii—Kanady; gdy Stany Zjednoczone, na których pomoc, albo przynajmniéj neutralność liczono, zwróciły się przeciw nim, wyprawa fenianów na Kanadę skończyła się na niczém. W drugiéj fazie swojéj fenianizm chciał wywołać w saméj Anglii zamieszki, i zagarnąć jéj arsenały i flotę: i to awanturnicze przedsięwzięcie skończyło się całkowitém niepowodzeniem. Trzecia faza podziemnego skrytobójstwa, morderstw, pożogi, wysadzania dynamitem gmachów i domów jest ostatniém wcieleniem się téj organizacyi, i można przypuszczać, że nie wypowiedziała jeszcze pod tym względem swego ostatniego słowa. Zbytecznem by było zapewne rozwodzić się nad tą taktyką i wykazywać jéj słabe strony. Pod względem moralnym tego rodzaju zamachy nie wytrzymują krytyki i wszyscy uczciwi ludzie jednego są zdania w tym przedmiocie. Terroryzm, który chwytając się dzikich narzędzi, działa na oślep, dziś burzy londyński Tower, jutro popełnia ohydne morderstwo w Phoenix Parku na szlachetnym lordzie Ca-

vendish, pełnym sympatyi dla kraju, którym rządzić przybył, takiego rodzaju terroryzm nie tylko że nie przyniósł dla Irlandyi pożądanych następstw, ale pozbawił ją w znacznéj części sympatyi świata ucywilizowanego i sparaliżował przychylne usposobienie politycznego stronnictwa angielskiego, co miało zamiar pojednać się z Irlandyą. Nic łatwiejszego jak potępić nadużycia i zbrodnie fenianizmu; trudniejszém było nie dać się mu zbić z tropu, i wyrzekając się solidarności w środkach, uznać się w obec ojczyzny i świata solidarnym w celu.

Taką była rola, na jaką skazani zostali przedstawiciele Irlandyi w piśmiennictwie, w prasie, a przedewszystkiém w parlamencie. Organizacya narodowa pod ogólną nazwą *home-rule* jest nie tylko ostatnią z rzędu, ale i najdojrzalszą epoką ruchu irlandzkiego ku wyswobodzeniu ze służalczéj zależności od Anglii.

Rola Ligi narodowéj która postawiła sobie jako cel pozyskania dla Irlandyi szerokiego samorządu i oddzielnego parlamentu była, jak powiedzieliśmy, trudna. Jeżeli liga sympatyzowała serdecznie z fenianami i najbardziéj krańcowym zastępem stronnictwa narodowego, to pozostawała wszelako niezależną od nich, i nie przekroczyła nigdy szranek ściśle i wyłącznie prawnych. Utrzymać swój wpływ na Irlandyą, kierować agitacyą, a jednocześnie nie nadwyrężyć swego stanowiska parlamentarnego, które jedynie pozwalało im przemawiać w interesie sprawy: oto linia wytyczna kierowników téj ligi. Działanie jéj od roku 1875, to jest od czasu jak przewodnictwo jéj przeszło w ręce Karola Stewarta Parnella, jest niestrudzone. Wzmagając się w liczebną siłę, rozporządzając w parlamencie z początku 60, a następnie 80 i kilku głosami, przemawiając zatém w imieniu caléj prawie Irlandyi, liga narodowa posiadała środki przeprowadzenia swych planów jeżeli nie całkowicie i nie bezpośrednio, to przynajmniéj częściowo i przez koalicye z tém stronnictwem, które oświadczało się gotowém popierać jéj dążenia. Koalicye tego rodzaju nie zawsze były dobrze obmyślane—dość będzie przypomnieć tę, która obaliła przedostatnie ministeryum liberalne Gladstone'a—tak samo jak obstrukcyonizm, który był taktyką irlandzkiego stronnictwa w parlamencie, był środkiem wcale nie politycznym; ale koniec końcem przedstawiciele Irlandyi zdołali w ostatniém dziesięcioleciu postawić swoję narodową sprawę na pierwszym planie, przekonać opinią Anglii, że dopóki sprawa ta załatwioną nie zostanie, nie będzie w Wielkiéj Brytanii wewnętrznego spokoju i ładu. Tym sposobem zmusili mężów stanu bądź tych, co stali u steru rządu, bądź tych, co kierowali opozycyą, do stanowczéj decyzyi w tym, lub owym kierunku.

Nie podobna zaprzeczyć że polityka, przeprowadzona logicznie i wytrwale przez ligę narodową, odniosła już rezultaty dodatnie. Gorący i nie zachwiany patryotyzm irlandzki jest przewodnią gwiaz-

dą na téj drodze, trudnościami najeżonéj. Ale jakże przedziwnych, jakże pierwszorzędnych ludzi posiada sprawa irlandzka. W wieku zeszłym miała ona Henryka Grattana, któremu udało się osiągnąć ważne reformy, w obecnym O'Connella, który zdołał przeprowadzić emancypacyą katolików; dziś śmiało w tym samym rzędzie postawić można Parnella. Nie jest on bynajmniéj orloskrzydłym geniuszem, nie posiada ani ognistego zapału, ani piorunującéj wymowy, ani skrzącego dowcipu, tych cech charakterystycznych rasy celtyckiéj. Przeciwnie jest on zimny, milczący zamknięty w sobie, nie trybun ludowy ale polityk przezorny, nie spuszczający z uwagi żadnéj okoliczności przyjaznéj, nie pogardzający żadném narzędziem, pełen energii, nieporównany w negocyacyach pozakulisowych, nie mówiący nigdy więcéj aniżeli tego potrzeba, prowadzący swe hufce do walki w chwilach stanowczych. Zdobył sobie stanowisko prawdziwie dyktatorskie i nakreślił lidze narodowéj linią wytyczną, zwalczając jedne po drugich osobistości, które mu zawadzały: dość tu będzie przypomniéć Michała Davitt i Johna Dillon. Przed dwoma laty subskrypcya publiczna złożyła mu jako dar narodowy pokaźną sumę 40.000 funtów szterlingów w celu, ażeby mógł bez troski o byt materyalny poświęcić się wyłącznie sprawie narodowéj. W chwili, w któréj piszemy, dowiadujemy się, że Parnell przechodzi na łono katolickiego kościoła: jest to nowy dowód, że nie zaniedbuje on żadnego środka, ażeby się zespolić ze swymi rodakami i zachować wpływ na wszystkie klasy społeczeństwa irlandzkiego. Mając na około siebie sztab generalny złożony z takich ludzi jak Mac Carthy, historyk i romansopisarz rozgłośny, jak Sullivan, natchniony poeta jak Tymoteusz Healy, publicysta pełen werwy i inicyatywy, jak Tomen Sexton, mówca i finansista, jak Gray, wydawca zasłużonego *Freeman's journal*, jak O'Brien i Quinn, których rola wśród agitacyi agrarnéj jest ogólnie znana,—mając taki sztab na okół siebie, a za sobą całą Irlandyą zjednoczoną, posłuszną, udyscyplinowaną, a trzymając w odwodzie irlandzkich wychodźców w Ameryce o ich groźnéj postawie i desperackim nastroju ducha, Parnell jest potęgą, która skruszyć się nie pozwoli.

Najlepszy dowód politycznego geniuszu, jaki złożył p. Gladstone, leży w tém słusznem ocenieniu potrzeb i aspiracyi irlandzkich, oraz w ocenieniu ludzi i środków materyalnych, któremi sprawa ta posługiwać się może. Jemu też przypadło w udziale przygotować— a kto wie czy nie dokonać—ostatecznego załatwienia kwestyi irlandzkiéj, gdyż on pierwszy miał odwagę spojrzéć na nią bezstronnie, z wysoka, z istotną chęcią wymazania historycznéj niesprawiedliwości i pogodzenia Irlandyi z Anglią.

(*d. n.*) *Dr. M. E. Trepka.*



FAUST,

TRAGEDYA GOETHE'GO.

Przełożył LUDWIK JENIKE. (*)

WIECZÓR.

Mała, schludna izdebka.

Małgosia (*zaplatając warkocze*).

Ach! ani się domyślić mogę,
Kto dziś mi rano zaszedł drogę.
Przemignął mi jak świetna gwiazda,
Znać, że pochodzi z dostojnego gniazda,
Poznałam to po minie jego całéj,
A zresztą... nie byłby tak śmiały. (*Odchodzi*).

MEFISTOFEL. — FAUST.

Mefistofel. No, możesz wnijść. Lecz tylko cicho! sza!
Faust (*po chwili*). Idź! Cięży mi obecność twa.
Mefistofel (*rozglądając się*).
Niekażda dom utrzyma tak chędogo. (*Odchodzi*).
Faust (*sam*). O witaj, mroku cudny, co tak błogo
Ogarniasz tę świątynię swojém tchnieniem!
Przeniknij piersi słodkich żądz cierpieniem,
Co rosy uczuć i nadziei łaknie.
Jak tu niczego sercu nie zabraknie,
Śród ciszy i zadowolenia!
Jak ślicznie tę izdebkę opromienia
Ubóstwo, obok ładu i wygody!
W téj cieśni ile jest swobody!
(*Rzuca się na starożytny fotel skórzany przy łóżku*).

(*) Ob. „Ateneum“ zeszyt majowy r. b., str. 86—123.

O przyjm mnie ty, coś dawne pokolenia
I w złéj i w dobréj tulił dobie!
Zapewne nieraz dziatek tłum przy tobie
Rodzicielskiego czepiał się ramienia!
Tu może niegdyś i ta moja mała,
Dziękując za gwiazdkowe dary,
Do ręki dziadka zwiędłéj, staréj
Pobożnie usta przyciskała!

Odczuwam, dziéwczę, jak swym duchem
Panujesz tu, jak umiész wdzięcznym ruchem
Słać obrus, śnieżnym jaśniejący blaskiem,
Podłogę codzień posypywać piaskiem.
O rączko droga! twoje to staranie
Chateczkę w bogów zmienia pomieszkanie!
A tu?... (*Podnosi kotarę łóżka*).
Rozkoszy mnie przejmują dreszcze!
Tu chciałbym marzyć długo! marzyć jeszcze!
Naturo! Tu sny uroczemi
Anioła wytworzyłaś ziemi!
Tu pierś niewinna od powicia
Czerpała święte owe siły,
Co dziécię w bóstwo przemieniły,
Tu odpoczywa ona w pełni życia!

A ja!... Co mnie tu sprowadziło?
Co istność moję w czar spowiło?
Pożądam, ale serce mi się kraje.
O nędzny Fauście, ja cię nie poznaję!

Przyszedłem przecie, by używać.
Nie by w marzeniach się rozpływać.
Rozrzewniam się nad lada drobną fraszką.
Czyż człowiek zmian powietrza jest igraszką?

A gdyby weszła tu znienacka,
To buta pierzchłaby junacka.
Ty wielki mężu, co masz dumy tyle,
Przed słabém dzieckiem czołgałbyś się w pyle.

Mefistofel (*wchodzi*). Uciekaj ztąd! Już jest na dole.
Faust. Precz! nigdy jéj nie ujrzéć wolę!
Mefistofel. Masz ot szkatułkę dobréj miary,
Pozostaw ją w téj tutaj szafce,
A wnet zawróci łeb turkawce.

Włożyłem do niéj sute dary
I wiem, że ci posłuży gracko,
Boć dziecko dzieckiem, cackiem cacko.

Faust. Sam nie wiem....

Mefistofel. No, nie pytaj długo!
Czy może żal ci tych klejnotów?
Ha, w takim razie jestem gotów
Już nie narzucać się z usługą.
(*Stawia szkatułkę w szafie i zamyka ją*).
Ja suszę sobie głowę i trę czoło,
Szukając sposobności wkoło,
By cię zalecić téj pieszczosze,
A ty wyglądasz tak potrosze,
Jak gdybyś śpieszył na wykłady
I jakby tuż przed tobą stała
Metafizyka i fizyka cała.
Odejdźmy teraz, innéj nie mam rady. (*Wychodzą*).

Małgosia (*z lampą*). Jak parno tu! (*Otwiéra okno*).
A jakoś przecie
Gorąco nie jest dziś na świecie.
Co płonie wemnie, nie wiem sama....
Ach, gdyby już wróciła mama!
Dreszcz ciało moje wskróś przeszywa:
Straszliwiem głupia i trwożliwa!
(*Rozbierając się, śpiéwa*):

Był król na Thuli (1) tronie,
Z wierności znan i cnoty;
Kochanka mu przy zgonie
Rostruchan dała złoty.

Nad wszystko mu był miły,
Bez niego wyżyć nie mógł;
Lecz łzy mu oczy ćmiły,
Gdy z niego pić się przemógł.

A gdy śmierć nadchodziła,
Zdał na młodego pana
Rozlicznych skarbów siła,
Prócz tylko rostruchana.

Nad morzem, w przodków sali,
Król zasiadł do wieczerzy;
Dokoła wielcy, mali
I dzielnych tłum rycerzy.

On wstał — biesiadnik stary,
I wnet na pożegnanie
Wychylił wino z czary
I rzucił ją w otchłanie.

I widział jak tonęła,
I tęskny wzrok w nią wlepił;
Śmierć oczy mu zamknęła:
Już kropli odtąd nie pił.

(*Otwiéra szafę, chcąc schować suknie, i spostrzega szkatułkę*).

---

(1) *Ultima Thule* nazywali starożytni najbardziéj na północ wysunięty kraniec Europy, zwykle Islandyą.

Zkąd śliczna ta szkatułka tu się wzięła?
Toć wiem, żem na klucz szafę swą zamknęła.
Doprawdy, dziwna to zagadka!
Ha, może w zastaw ją przyjęła matka.
Ciekawam bardzo, co to w niéj być może....
Ej, nie wytrzymam — chyba ją otworzę....
Co widzę? To klejnoty! Boże drogi!
Zkąd skarby takie w szafce méj ubogiéj?
W te cacka nawetby szlachcianka
Ustroić mogła się w niedzielę.
(*Ogląda klejnoty*).
Przymierzę łańcuch i manele....
Lecz czyje to?.. Cudowna niespodzianka!
(*Ubiéra się w nie i staje przed lusterkiem*).
Ach! gdyby choć te kolce były moje!
Inaczéj zaraz człowiek w nich wygląda.
Co znaczy piękność? Nikt jéj nie pożąda.
Pochwalą może, jak z litości,
Lecz każdy dzisiaj prawo sobie rości,
By inne posiąść w nas zalety.
Dziś wszystko znaczą złoto, stroje.
O biédne, biédne my kobiety!

MIEJSCE PRZECHADZKI.

(FAUST chodzi zamyślony, MEFISTOFEL zbliża się).

Mefistofel. Na pogardzoną miłość, lub na piekło!
Gdy gorszych klątew znaléźć się nie darzy!
Faust. Cóż ci tak bardzo znów dopiekło?
Tak zatroskanéj nie widziałem twarzy.
Mefistofel. Ze złościbym się oddał w ręce czarta,
Gdybym sam tylko czartem nie był.
Faust. I cóżeś za termedje przebył,
Że taka w tobie wściekłość wre zażarta?
Mefistofel. Wyobraź sobie, wszystkie te klejnoty,
Gdy je Małgosi matka zobaczyła,
Kobiéta znana z swojéj cnoty,
Powędrowały do kościoła.
Ta baba węch ma delikatny zgoła;
Odrazu téż w szkatułce téj zwietrzyła,
Że tam niewiele jest błogosławieństwa.

Kochanko — rzekła — źle nabyte mienie,
To duszy ludzkiéj potępienie,
Bo wiedzie nas na drogę wszeteczeństwa.
Poświęcim je ku czci Najświętszéj Panny,
A ona wzamian da nam z nieba manny.

Małgosia na to trochę się skrzywiła,
Boć rozstać się z cackami rzecz niemiła,
I zaraz przeszło jéj po głowie
O darowanym koniku przysłowie:
Kto tu go przywiódł, ten pewnikiem
Nie musi znów być wielkim bezbożnikiem.
Tymczasem mama późno w nocy
Przyzwała klechę ku pomocy.
Ten, ledwo ujrzał co się święci,
Rzekł: Grzészne zawsze tłumić trzeba chęci.
Nasz kościół ma żołądek strawny;
Toć znany przecie z dziejów pewnik dawny,
Że może połknąć całe kraje,
A niestrawności nigdy nie dostaje,

Faust. Téj sztuki, skoro tak wypadnie,
I król i Żyd dokażą snadnie.

Mefistofel. Więc, powiedziawszy to kazanie,
Zagarnął, nie pytając wiele,
Pierścionki, kolce i manele
I tyle tylko podziękował za nie,
Jak gdyby zabrał grzyby lub orzechy.
Nie szczędził zato rady i pociechy,
Co wszystko razem téż niemało
Staruchę zwłaszcza zbudowało.

Faust. A cóż Małgosia?

Mefistofel. Ona siedzi
I ciągle się z myślami biedzi,
O swych klejnotach dniem i nocą marzy,
A raczéj o tym, co ją niemi darzy.

Faust. Doprawdy, żal mi troski jéj niewinnéj.
Postaraj się o prezent inny!
I tak ten piérwszy był zaledwie fraszką.

Mefistofel. Dla ciebie wszystko tylko jest igraszką.

Faust. Z tém co ci każę, spraw się gładko,
Stosunek zawiąż z jéj sąsiadką;
Bądź diabłem przecie, a nie bryłą lodu,
I z podarunkiem nie zrób mi zawodu.

Mefistofel. Z całego serca.... Słucham, jasny panie!
(*Faust odchodzi.*)
Z zakochanymi istne mam skaranie!
Toć oni słońce, gwiazdy w jednéj chwili
Dla lubéj swojéj z dymemby puścili.
(*Odchodzi*).

DOM SĄSIADKI.

Marta (*sama.*) Niech to mojemu Bóg wybaczyć raczy,
Co zrobił zemną w sposób zbyt prostaczy!
Wyruszył sobie w świat daleki,
A mnie zostawił samę, bez opieki.
Toć wierną byłam mu statecznie
I pokochałam go serdecznie!
(*Płacze.*)
Nie żyje może! Ach! to straszne przejścia!
O, gdybym miała choć akt jego zejścia!
(*Małgosia nadchodzi.*)

Małgosia. Mateczko Marto!

Marta. Co, rybko kochana?

Małgosia. Podemną prawie chwieją się kolana!...
Dziś—patrzę—znów w szafeczce mojéj
Szkatułka ta z hebanu stoi,
A w niéj klejnoty lśnią najszczérsze,
Bogatsze jeszcze, niż te piérwsze.

Marta. Pamiętaj, matce o tém ani słowa!
Bo znowu księżom oddać je gotowa.

Małgosia. Ach patrzcie! Co tu blasku, co tu złota!

Marta (*ubiéra ją w klejnoty.*)
Szczęśliwa z ciebie jest istota!

Małgosia. Lecz ni na mieście, ni w kościele
Nie mogę ubrać się w to śmiele.

Marta. No, przychodź tu do mego domu
I przed lusterkiem pokryjomu
Przymierzaj wszystkie te śliczności;
A potém, gdy kto będzie z gości,
Ostrożnie, zwolna, moja duszko,
Na szyję łańcuch, perły w uszko,
Szpileczki ładne do warkoczy...
Matuli gracko zamydlimy oczy.

Małgosia. Lecz kto to przyniósł? Bo wyznaję,
Że podejrzaném mi się to wydaje.
(*Pukanie do drzwi.*)
Ach! może mama! Co ja biédna zrobię?
Marta. (*uchylając firankę.*)
Nie, to ktoś obcy. Proszę, bardzo proszę!
Mefistofel (*wchodzi.*) Przepraszam, że pozwalam sobie
Wnijść, choć nie wporę może, jako wnoszę.
(*Cofa się z uszanowaniem przed Małgosią.*)
Słóweczko tylko mam do pani Marty.
Marta. Ja jestem nią. Co pan rozkaże?
Mefistofel (*cicho do niéj.*)
Gdy już was znam, to może się poważę
Przyjść jutro, jeśli dom wasz jest otwarty.
Bo teraz... jakaś gości u was dama.
Marta (*głośno.*) No, pomyśl tylko: w dobréj wierze,
Ten pan za wielką damę ciebie bierze.
Małgosia. Ja biédne dziéwczę jestem sama,
A wszystkie te bogate stroje,
To, proszę pana, nie są moje.
Mefistofel. Bo téż nie strój się tylko na to składa.
Ten wzrok ognisty, ta wspaniała postać!
Szczęśliwym, że na chwilę mogę zostać.
Marta. Co mi pan powié? Bardzom wiedziéć rada.
Mefistofel. Żałuję, żem zwiastunem wieści smutnéj:
Wasz mąż nie żyje i przezemnie
Ostatnie wam przesyła pozdrowienie.
Marta. Nie żyje?... Ach! co słyszę! Nadaremnie
Czekałam go! O, co za cios okrutny!
Zemdleję!... Straszne moje przeznaczenie!
Małgosia O, nie rozpaczaj, droga pani Marto!
Mefistofel. Posłuchać raczcie, jak się rzecz ta stała.
Małgosia. Doprawdy, kochać się niewarto!
Ja chybabym na śmierć się zapłakała.
Mefistofel. Wszak radość smutek, smutek rodzi radość.
Marta. Więc ciekawości méj uczyńcie zadość.
Mefistofel. Mąż pani u Świętego Antoniego
Pogrzebion w Padwie. Tam go strzegą
Anioły w miejscu poświęconem.
Marta. Czy nic nie zlecił wam przed zgonem?
Mefistofel. I owszém, prosił, byście mszy ze trzysta
Za duszę jego odprawili;
Lecz zresztą... kieszeń moja czysta.

Marta. Co, ni krzyżyka, ni medalu?
Toć najuboższy przecie każdéj chwili
Pamiątki takie musi w torbie mieć,
Choćby mu przyszło żebrać, z głodu mrzéć.
Mefistofel. Przyjm pani słowa mego żalu;
Lecz on pieniędzy swych nie trwonił,
A nad swą dolą, niech mi pani wierzy,
Niejednę gorzką łzę uronił.
Małgosia. Że też to ludzie nieszczęśliwi wiecznie!
Za duszę jego zmówię sto pacierzy.
Mefistofel. Tak piękna panna mogłaby bezpiecznie
I sama stanąć u ołtarza.
Małgosia. O nie, nie! O tém jeszcze ani wzmianka.
Mefistofel. Nie męża, no to znajdę wam kochanka,
Największe nieba to błogosławieństwo
W objęciach trzymać taki cud-panieństwo.
Małgosia. To jeszcze u nas jakoś się nie zdarza.
Mefistofel. Lecz zwyczaj łatwo zawsze się wytwarza.
Marta. No, kończcie już!
Mefistofel. Przy łożu jego stałem,
Zasłaném słomą i barłogiem;
Wyzionął ducha, pojednany z Bogiem,
Choć może, radząc się sumienia,
Niejedno sobie miał do wyrzucenia.
O jakże—prawił—tak się skusić dałem!
Rzuciłem kraj, rodzinę i rzemiosło,
A co mi życie to przyniosło?
Zawody tylko i cierpienie.
Ach! gdybym żony zyskał przebaczenie!
Marta (*z płaczem*).
Poczciwiec! Jam mu przebaczyła dawno.
Mefistofel. Choć—dodał—własna wina jéj jest jawną.
Marta. Bezczelny kłamca! Jak to mówić śmiał?
Mefistofel. Przedśmiertną widać już malignę miał.
Wytchnienia—rzekł—nie miałem wcale,
Bom w gorączkowym starał się zapale
O dzieci naprzód, potém o chléb dla nich;
A jednak nawet przyjemności tanich
Nie pozwalała użyć mi swobodnie.
Marta. Czyż mógł ocenić tak niegodnie
Zabiegi moje we dnie, w nocy?
Mefistofel. Przeciwnie, w dobréj chował je pamięci.

Bywało—mówi—gdy mnie licho nęci,
Płynąłem z Malty, modląc się za żonę,
By Bóg użyczył jéj pomocy.
Więc niebo dało mi obronę,
Bo okręt nasz turecką wziął galerę,
Co padyszacha złoto wiozła szczere.
Gdy po zwycięztwie cała się załoga
Tém złotem z łaski obdzieliła Boga,
I jam swą część odebrał, jak przystało.

Marta. A czy je schował? Gdzie się téż podziało?

Mefistofel. Na cztéry wiatry się rozniosło w polu,
Gdy Dulcinea jakaś w Neapolu
W zdradzieckie sieci swoje go złowiła,
A taka była jéj uroku siła,
Że aż do śmierci nosił tego ślady.

Marta. O łotr! o zdrajca! rabuś własnych dziatek!
Więc ani troska, ani niedostatek
Nie powstrzymały go od téj szkarady?

Mefistofel No, wpłynął do bezpiecznéj już przystani.
Lecz gdybym ja był w miejscu pani,
To pochodziwszy z jaki rok w żałobie,
Następcębym zwerbował sobie.

Marta. Ej, kiedy on, pomimo wad swych, przecie
Był mężem takim, jakich mało;
To tylko mu się przywidziało,
Że lubił włóczyć się po świecie
I cudze żony, wino, gości,
A także te przeklęte kości.

Mefistofel. No, to pożycie być musiało znośne,
Jeżeli wam ustępstwa tak donośne
Ze swojéj téż mężulek czynił strony.
Przysięgam: dla zdobycia takiéj żony
Dziś gotówbym się mieniać na pierścionki.

Marta. Ach, pan żartuje. To są mrzonki.

Mefistofel (*na stronie.*)
Czas drapnąć! Baba byłaby gotową
Samego diabła wziąć za słowo.
(*Do Małgosi.*)
A u panienki jakże tam serduszko?

Małgosia. Co, panie, przez to rozumiécie?

Mefistofel (*na str.*) Doprawdy, to niewinne dziécię.
(*Głośno do kobiét.*)

Pokornym waszym pozostaję służką.

Małgosia. Żegnajcie!

Marta. Lecz jak daléj będzie?
Czy mogę dostać jego sepulturę?
Bo już to taką mam naturę,
Że lubię być w porządku zawsze, wszędzie,
Więc chciałabym wyczytać to w gazecie.

Mefistofel. Dwóch świadków trzeba, jak zapewne wiecie,
Z ich zeznań prawda się wykrzesze;
A tu, ku wielkiéj méj uciesze,
Dorodny właśnie młodzian bawi,
Co chętnie się przed sędzią stawi.
Sprowadzę go.

Marta. Czekamy, dobry panie.

Mefistofel. A czy i pannę tę zastanie?
To dzielny chłopiec! Zwiédził świata kawał
I zawsze damom winną część oddawał.

Małgosia. Ja wobec niego wstydem pewno spłonę.

Mefistofel. Nie, choćby gość wasz nosił i koronę.

Marta. Więc w mym ogródku, tu na wzgórza stoku,
Na panów czekać będziem dziś o zmroku.
(*Mefistofel odchodzi.*)

ULICA.

FAUST. MEFISTOFEL.

Faust. No jakże? Jak tam z moją sprawą?

Mefistofel. Oho! naturę, widzę, masz ciekawą.
Zapewne wkrótce będzie rzecz skończona.
Dziś przed wieczorem ujrzysz swą bogdankę
U Marty, téj co wiész sąsiadki,
A wszystkich biesów stawiam ci na świadki,
Że baba to jakby stworzona
Na stręczycielkę i cygankę.

Faust. Wybornie!

Mefistofel. Ale żąda też przysługi.

Faust. Przysługa jedna warta drugiéj.

Mefistofel. Poświadczyć mamy, gdy nas sędzia spyta,
Że stary jéj wyciągnął już kopyta.
I leży w Padwie.

Faust. Ależ to szkaradnie!
Bo chyba tam pojechać nam wypadnie.

Mefistofel. *Sancta simplicitas* (1) niepospolita!
Przysięgnij, świadcz, a z reszty kwita.
Faust. Nie umiem być fałszywym świadkiem.
Mefistofel. O mężu święty! Wspomnij, czy przypadkiem
I w profesorskim twym zawodzie
Nie było już fałszywych świadectw wiele?
Czyż, objaśniając niby życia cele,
O Bogu, świecie i przyrodzie,
O tém, co w sercu wre goręcéj,
Nie rozprawiałeś zbyt stanowczo nieraz,
Stawiając definicje śmiało,
Zuchwałém czołem, piersią całą?
A jednak, gdybyś chciał wejść w siebie,
To przyznałbyś pokornie teraz,
Że o tych wszystkich rzeczach wiész nie więcéj,
Niż o rzekomym tego kpa pogrzebie.
Faust. Sofistą, łgarzem byłeś zawsze.
Mefistofel. Tak, ale to jest najciekawsze,
Że, aby dorwać się dziéwczęcia,
Sam jéj kłamliwe rzucisz w twarz zaklęcia,
Jak najnędzniejszy przeniewierca.
Faust. Popłyną one z głębi mego serca.
Mefistofel. To pięknie bardzo. Ale powiédz szczerze,
Gdy mówić przyjdzie o dozgonnéj wierze,
O wszechpotężnym dusz popędzie,
Czy i to także z serca płynąć będzie?
Faust. O, niewątpliwie..... Lecz zamilczmy o tém!
Gdy czuję i dla uczuć moich potém
Napróżno szukam nazwy odpowiedniéj;
Gdy zmysły moje z duchem w jedni
Żar niepojęty rozpłomienia;
Gdy dla zapału mego określenia
Znajduję jeden tylko wyraz: wieczny—
Nie będzie to już piekieł kłam wszeteczny.
Mefistofel. A jednak słuszność przy mnie.
Faust. Mój ty biesie,
Oszczędźmy sobie płuc i słuchu.
Wszak w świecie taka jest zasada:
Kto do wykrętów zdradnie rwie się,

(1) Święta prostota.

Kto chce mieć słuszność, a wymownie gada,
Ten mieć ją będzie — w słowach, choć nie w duchu.
Lecz pójdź! Przekonać ciebie się nie kuszę;
Przyznaję ci: masz słuszność — bo tak muszę.

OGRÓD.

MAŁGOSIA pod rękę z FAUSTEM. — MARTA przechadza się z MEFISTOFELEM.

Małgosia. O wiem, że pan to się z litości
Do pojęć moich tylko zniża.
My, proszę pana, ludzie prości,
Choć to nam wcale nie ubliża.
Lecz chyba tak doświadczonego męża
Rozmowa zemną nudzi i zmitręża.

Faust. Twe słówko jedno więcej mnie zachwyca,
Niż cała ziemskiéj mądrości skarbnica.
(*Całuje ją w rękę*).

Małgosiaa. Nie całuj pan! Ja rękę mam szkaradną,
Bom się też dzisiaj tak namozoliła!
Mateczka każe, a to rzecz niemiła,
Gdy wszystkie te roboty naraz spadną.
(*Przechodzą*).

Marta. Więc pan łaskawy zawsze jest w podróżach?

Mefistofel. Co robić? Zawód tak mi nakazuje.
O pani! nie spoczywam ja na różach!
Człek nieraz żal głęboki czuje,
A musi żegnać drogie mu osoby.

Marta. W poranku życia być obieżykrajem
Uchodzi jeszcze; lecz gdy się rozstajem
Z młodością, wtedy nam potrzeba doby
Spoczynku, statku i wywczasu.
Nuż zostaniecie starym kawalerem.

Mefistofel. Rozmyślam o tém z przerażeniem szczerem.

Marta. A więc upatrzcie sobie cóś zawczasu.
(*Przechodzą*).

Małgosia. Tak, jak to mówią: z oczu, to i z głowy.
Kawaler z pana grzeczny i światowy;
Lecz znajdziesz wśród przyjaciół swoich tłumu
Z pewnością więcéj niż u mnie rozumu.

Faust. O wierz mi! To, co ludzie zwą rozumném,
Próżnością często bywa, mianem szumném.

Małgosia. Co?
Faust. Czemuż to niewinność, czemuż cnota
Wartości swojéj nigdy nie oceni?
Najwyższym darem nieba jest prostota,
Gdy czystość ją swym blaskiem opromieni....
Małgosia (*przerywając*).
Pomyślcie o mnie chociaż raz, na chwilę,
Ja będę na to miała czasu tyle!...
Faust. Więc musisz często być samotna?
Małgosia. Tak, panie, bom do pracy dość ochotna.
Choć gospodarstwo nasze nie jest duże,
Lecz schodzi dzień, nim je obsłużę.
Nie mamy sługi, więc na mojéj pieczy
Sprzątanie, szycie, bieganina,
Znów koło kuchni krzątanina
I wiele, wiele innych rzeczy.
Mateczka moja jest wyrachowana,
Nie żebyśmy już kurczyć się musiały,
Bo ojciec nam nieboszczyk, proszę pana,
Zostawił dom i ogródeczek mały....
Mam jednak teraz znacznie mniéj roboty:
Brat w wojsku, zmarła téż siostrzyczka;
Bywały wprawdzie z nią kłopoty,
Lecz chętniebym ją dziś wskrzesiła,
Tak śliczna była to duszyczka.
Faust. Anielska, jeśli w ciebie się wrodziła.
Małgosia. Chowałam ją, a jak téż mnie kochała!
Bo to po śmierci ojca, wypieszczona,
Rodziła się ta nasza mała,
A mama po niéj taka była chora,
Tak siły jéj wracały zwolna,
Że do leżenia w łóżku wciąż zmuszona,
I karmić nawet była już niezdolna.
Więc na mnie wtedy przyszła pora:
Choć byłam jeszcze bardzo młodą,
Żywiłam dziecko mlékiem z wodą;
I gdy je tak na rękach noszę,
To trzepotało się i rosło,
I było całkiem jakby moje.
Faust. Najczystsze to musiały być rozkosze.
Małgosia. Tak, ale téż niemało się przeniosło
I ciężkie nieraz przechodziłam znoje.

Kolébka małéj stała w nocy
Przy łóżku mojém. Ledwo że zakwili,
Już ja gotowam do pomocy:
Zabiorę ją do siebie i napoję,
A gdy i to jéj nie ukoi,
Wnet zrywam się i pieszczę ją i niańczę,
To przyśpiéwuję, to znów tańczę,
Aż się nareszcie uspokoi.
Nazajutrz nowe oczekują trudy,
Bo trzeba przecie uprać brudy,
Zgotować strawę, biedz na rynek,
I wiecznie w kółko, dziś jak wczora.
Lecz zato, gdy nadejdzie pora,
Jak miłe wtedy jadło i spoczynek!

(*Przechodzą*).

Marta. Wypadnie chyba całą ufno'ć stracić;
Kawaler stary rzadko komu wierzy.
Mefistofel. Toż od was samych to zależy
Przekonać mnie i przekabacić.
Marta. Lecz mówcie prosto: co się z wami działo?
Czy serce się gdziekolwiek nie związało?
Mefistofel. Przysłowie prawi: własny dom pod strzechą
Najmilszą dla nas jest pociechą,
A dobra żona więcéj warta,
Niż złoto, perły i klejnoty.
Marta. Czy nie uczuliście ochoty....
Mefistofel. Wszak droga każda była mi otwarta.
Marta. Lecz pytam: czy nie przemówiło serce?
Mefistofel. Kobiéty serca mają w poniewierce.
Marta. Nie rozumiécie....
Mefistofel. To drażliwa sprawa.
Rozumiem.... żeście zbyt łaskawa.

(*Przechodzą*).

Faust. Więc zaraz mnie poznałaś, mój aniele,
Gdy dzisiaj wszedłem tu pokorny?
Małgosia. Czy pan nie widział? Toć spuściłam oczy.
Faust. I czy wybaczysz żart niesforny,
Tę moję śmiałość, tę bezczelność moję,
Gdy cię spotkałem wtedy po kościele?
Małgosia. Gdy mnie znienacka co zaskoczy,
To zawsze się okropnie boję.

Myślałam sobie: może w mym układzie
Jest cóś tak wyzywającego,
Że panicz ten mnie obcesowo
Zaczepił śmiałą swoją mową?
A niechże wszyscy święci mnie ustrzegą!
Bo każdy zwykle rzeczy takie kładzie
Na karb gminnego wychowania....
A jednak w sercu cóś tam was osłania.
Na samę siebie byłam zadąsana,
Że nie umiałam gniéwać się na pana.

Faust. Kochanko luba!

Małgosia (*zrywa jaskierek*). Zaraz....

Faust. Co to będzie?
Bukiecik?

Małgosia (*oskubując listek po listku*).
Nie, to gra niewinna,
Dziéwczętom dobrze znana wszędzie.
Niech pan nie śmieje się, żem tak dziecinna.
(*Skubie, szepcząc*).

Faust. Co tam tak szepczesz?

Małgosia. Kocha mnie — nie kocha.

Faust. Och! dziéwczyneczko moja płocha!
Niebiańskie, cudne jest oblicze twe!

Małgosia (*mówi daléj*):
Kocha — nie kocha —
(*Obrywając ostatni listek z radością*): Kocha! kocha mnie!

Faust. O dziécię moje! Niech to kwiatów słowo
Wyrokiem bogów będzie! Kocha ciebie!
Wiész co to znaczy: kocha ciebie?
(*Chwyta obie jéj ręce*).

Małgosia. Dreszcz mnie przebiega!

Faust. Bądź spokojna
Niebianko, coś w nieziemski powab strojna!
I niech namiętne to spojrzenie,
Gorące ręki uściśnienie
Tłumaczy ci uczucie owo,
Co pragnie oddać się w całości,
Co wiecznie w sercach naszych gości
I wiecznie jasne, jak blask słońca,
Trwać będzie w nas bez końca! tak, bez końca!

(*Małgosia ściska mu ręce, uwalnia się i ucieka. Faust stoi przez chwilę zamyślony, a potém idzie za nią. Marta i Mefistofel nadchodzą*).

Marta. Już noc zapada.
Mefistofel. Trzeba nam się rozstać.
Marta. Tak. Moglibyście dłużéj tu pozostać,
Lecz złe to miejsce na gościnę.
Tu, jakby nikt nic nie miał do roboty,
Nicują ludzie każdą minę,
Ruch każdy, a gdy wezmą cię w obroty,
To pomoc już nie zbawi cię niczyja.
Gdzie parka nasza?
Mefistofel. Weszła w tę aleję;
To żwawe ptaszki.
Marta. On jéj widać sprzyja.
Mefistofel. I ona jemu. Zwykłe to są dzieje.

ALTANA.

(Małgosia wbiega, kryje się za drzwiami i przykładając palec do ust, patrzy przez szczelinę).

Małgosia. Nadchodzi!
Faust (*wpada*). Chowasz się, psotnico mała?
(*Całuje ją*).
Małgosia (*obejmując go i oddając pocałunek*).
Nikogom w świecie tak nie ukochała!
(*Mefistofel stuka*).
Faust (*tupiąc nogą*).
Kto tam?
Mefistofel. Przyjaciel!
Faust. Głupiec!
Mefistofel. Czas, wracamy!
Marta (*nadchodzi*). Tak, późno już jest w rzeczy saméj.
Faust. Czy wolno będzie iść z paniami?
Małgosia. Nie, matka moja.... Idźcie lepiéj sami.
Faust. Jak ciężką jest ta chwila oddalenia!
Żegnajcie!
Marta. Żegnam!
Małgosia. Więc.... do zobaczenia!
(*Faust i Mefistofel odchodzą*).
O Boże! Co on téż pomyśli o mnie?
Toć staję przed nim jakby nieprzytomnie.

Doprawdy, sama siebie nie pojmuję:
I wstydzę się i ciągle potakuję.
O biédne, głupie dziecko zemnie!
Co on takiego widzi wemnie?

JASKINIA W LESIE.

Faust (*sam*). Potężny duchu! dałeś mi to wszystko, (1)
Com posiąść pragnął, i nienadaremnie
Zwróciłeś ku mnie swą ognistą twarz.
Przyrody państwo dałeś w me władanie
I dałeś moc, bym odczuł ją, zrozumiał.
Nietylko ją podziwiać wzrokiem chłodnym,
Lecz zajrzéć mi pozwalasz do jéj głębi,
Jak do wiernego przyjaciela piersi.
Przywodzisz szereg żywych przed mój wzrok
I uczysz mnie poznawać duchy bratnie,
W powietrzu, w cichym gaju i w strumieniu.
A kiedy w lesie burza z szumem huczy,
Gdy obalonych sosen pnie olbrzymie
Druzgoczą krzewy, łamią pnie sąsiednie,
Gdy wzgórza ich upadkiem tętnią głucho—
Ty wtedy dajesz mi bezpieczny schron.
Poznaję siebie, w piersi własnéj czuję
Tajemnych cudów wszechpotężną moc.
I przed mym wzrokiem wtedy księżyc czysty
Przesuwa się kojąco — wstają widma:
Ze ścian skalistych, z gęstwi zwilgoconéj
Srébrzyste przodków snują się postacie
I dumań mych surowy trud łagodzą.

Lecz widzę teraz, że doskonałości
Dla ludzi niéma. Do rozkoszy owéj,
Co równa mnie z bogami, tyś mi przydał
Na towarzysza, zdawna niezbędnego,
Tę postać wstrętną, która mnie zuchwale
Poniża w oczach własnych i niweczy
Swém tchnieniem mroźném wszystkie twoje dary.
On w piersi méj roznieca żądzę dziką,
By posiąść dziéwczę to urocze, cudne.

---

(1) Monolog ten i w oryginale jest nierymowany.

I tak się staczam z żądzy do użycia,
A śród użycia tęsknię znów do żądzy.
(*Mefistofel wchodzi*).

Mefistofel. Czy tego życia dość już masz, nieborę?
Ha, radość taka długo trwać nie może.
Spróbować czasem wcale nie zawadzi,
Lecz człek rozumny i o zmianie radzi.

Faust. Czyż już innego nie masz celu,
Jak dręczyć mnie w najlepszą chwilę?

Mefistofel. Nie, dam ci pokój, przyjacielu,
Jeżeli ma to być odprawa.
Z dziwakiem, co się rzuca, łaje,
Zbyt ciężka już doprawdy sprawa.
Naprożno się odgadnąć silę
Co ci po myśli, a co nie na rękę;
Po pańskim nosie tego nie poznaję.

Faust. Ha, może ci dziękować jeszcze za to,
Że ściągasz z wyżyn myśl skrzydlatą
I ustawiczną mi zadajesz mękę?

Mefistofel. Robaku ziemski! próżno roisz wiecznie.
Czém byłbyś dzisiaj, gdyby nie ja?
Wszak z wyobraźni drgawek i wyrwasów
Uleczyć ciebie jeszcze jest nadzieja;
Lecz gdybym ci zamiaru nie popsował,
To dawno w zaświat byś pospacerował.
Co tak cię ciągnie do tych lasów,
Że jakby puszczyk, leziesz w groty, skały
I jak ropucha zwilgłym żyjesz mchem?
Czy te rozkosze cię oczarowały?
Oj, jeszcze doktor siedzi w ciele twem.

Faust. Czyż ty rozumiesz jaką życia siłę
Rozbudza w piersi to ustronie miłe?
Zbyt jesteś diabłem, żebyś, choć daremnie,
Rozkoszy téj nie pragnął stłumić we mnie.

Mefistofel. Ha! ha! Cudowne mi rozkosze!
Po rosie nocą leżyć w górach,
O ziemskich i niebiańskich marzyć chórach,
Na bóstwo wydąć się potrosze,
Szpik ziemi przeczuciowo pruć,
Sześć dni stworzenia w sobie czuć,
W napięciu sił niewiedzieć czego chcieć:
To unieść się w miłosnych uczuć szlak,

To intuicją się nad światy wzbić,
A potém skończyć.... ot, nie powiem jak.
(*Robi gest.*)

Faust. Ohydny! Fe!

Mefistofel. Tak, brzydko to ogromnie!
Masz prawo fe! zawołać skromnie,
Boć to niegodnie czyste razić uszy
Tém, co i czyste serce wnet poruszy.
Lecz, koniec końcem, czemużbyś w potrzebie
Obełgać nie miał i samego siebie?
Choć wątpię, żebyś z tém wytrzymał długo.
Gdyś zeszedł raz z właściwéj drogi,
Przepadniesz pośród szaleństw, albo trwogi.
A tam tymczasem twoja mała siedzi
I tęskni, i z myślami wciąż się biedzi,
I łzy jéj płyną niewstrzymaną strugą
W jéj piersi ty królujesz stale,
Bo kocha cię zapamiętale.
Z początku wezbrał twéj miłości prąd,
Jak strumień, gdy na wiosnę burzy ląd;
Lecz gdyś go przelał w jéj serduszko bliźnie,
Już sam dziś płyniesz po mieliźnie.
Miast panowania tu przyrody siłom,
Królewicz niechby w sentymencie
Téj młodéj małpki zrobił wyłom,
Bo ona nudzi się przeklęcie.
Przy oknie staje, patrząc jak tam chmury
Przez stare ciągną miasta mury
I śpiéwa: „Gdyby być ptaszyną“—
Od mroku nieraz aż do rana,
Z wesołą czasem, to znów smutną miną,
A zawsze, zawsze zakochana!

Faust. Milcz, wężu, milcz!

Mefistofel (*na stronie.*) Poczekaj, schwycę ja cię!

Faust. Przeklęty! uchodź! precz ztąd, precz!
Téj czystéj usty swemi nie pokalaj,
Nie cofaj uczuć moich wstecz
I nowéj żądzy we mnie nie rozpalaj!

Mefistofel. Więc o cóż idzie? Ona, miły bracie,
Przypuszcza, żeś nieczuły na rozkosze
I tak podobno jest potrosze.

Faust. Ja zawsze blizki będę jéj, choć w dali;

Nie mogę jéj zapomiéć, stracić teraz.
Gotówem ciału pozazdrościć Pana,
Że go jéj śliczne dotykają usta.

Mefistofel. No, stałość taką bardzo ci się chwali.
I moje oko ci zazdrości nieraz
Téj pary bliźniąt, co się w róże stroi.

Faust. Precz!

Mefistofel. Ty się gniéwasz, a mnie pusta
Wesołość bierze. Toż to tak przystoi.
Stworzyciel chłopca i dziewczyny
Pomyślał téż, by parka tak dobrana
Sposobność miała do spełnienia winy.
I cóż strasznego? Przecie w jéj komnacie
Nie śmierć zapewne czeka na cię.

Faust. Choć ją obejmę w swe ramiona,
Zawisnę u jéj dziewiczego łona,
Czyż nie odczuję przeto jéj niedoli?
Czyż boleść jéj mnie nie zaboli?
Wszak jam samotny jest wygnaniec,
Bez celu, bez spoczynku opętaniec,
I jak huczące wodozwały
Przez skały toczą się na skały,
Tak duch mój ku przepaści dąży.
A ona tam, niewinna ta dziecina,
W alpejskiéj gdzieś zamknięta chatce,
Pracuje, pomagając matce,
I cała jéj domowa krzątanina
Około światka tego krąży.
Ja, nienawistny Bogu, niedość jeszcze,
Żem skały skruszył w rumowiska,
Lecz gubiąc ją, dążenie me złowieszcze
Ofiarę nową piekłu ciska.
O pomóż, czarcie, skrócić te męczarnie!
Co stać się ma, to niech się prędko stanie!
Niech dola jéj i mnie ogarnie!
Pospołu z nią rzucimy się w otchłanie!

Mefistofel. Ha, wszystko znowu wre i kipi tęgo!
Idź, pociesz ją, ty niedołęgo!
Gdy płytki łeb twój wyjścia nie dostrzega,
To myślisz, że już koniec świata z brzega.
Niech żyje, kto się dzielnie trzyma!
Wszak jesteś dosyć rozdiablony;

Głupszego nic na świecie niéma,
Niż diabeł, kiedy zrozpaczony.

POKOIK MAŁGOSI.

MAŁGOSIA (przy kołowrotku sama.)

Spokój mój przeminął,
Boleść serce kłóci;
Cisza utracona
Nigdy już nie wróci.

Gdzie go niéma, życie
W śmierć się przemieniło
I na świecie całym
Wszędzie mi niemiło.

Biédna głowa moja
Jakby pomieszana,
Myśli biédnéj przędza
Całkiem rozerwana.

Spokój mój przeminął,
Boleść serce kłóci;
Cisza utracona
Nigdy już nie wróci.

Za nim tylko patrzę
Oknem pokryjomu,
Jego tylko śledzę,
Gdy wychodzę z domu.

Jego chód wspaniały,
Uśmiéch ust uroczy,
Postać ma szlachetną,
Wyraziste oczy.

Urok mowy jego
Koi mnie, czaruje;
Uściśnienie dłoni,
Ach! i całus czuję!

Spokój mój przeminął,
Boleść serce kłóci;
Cisza utracona
Nigdy już nie wróci.

Piersi się zbolałéj
Żal poczyna imać.
Gdybym-ż mogła wreszcie
Ująć go, przytrzymać!

Wiecznie go całować,
Ilebym zechciała,
Choćbym w tych całusach
Sama zginąć miała!

OGRÓD MARTY.

MAŁGOSIA. FAUST.

Małgosia. Henryku, przyrzecz mi...
Faust. Co tylko mogę.
Małgosia. Więc powiédz: jak tam w punkcie wiary stoisz?
Poczciwy jesteś, ale nie wiem czemu
Obawiam się, że masz ją za nic.
Faust. Napróżno, dziecko, tém się niepokoisz.
Wszak czujesz, że uwielbiam cię bez granic,
A do kościoła wolną też masz drogę.
Małgosia. To niedość, trzeba wierzyć i samemu,
Faust. Czy tak?

Małgosia. Toż przecie prawda już przyjęta....
Czy czcisz ty święte Sakramenta?
Faust. Poważam je.
Małgosia. Lecz nie pożądasz
I dawnoś pewno nie był u spowiedzi.
Czy wierzysz w Boga?
Faust. Kochaneczko droga!
Nie mogę na to dać ci odpowiedzi.
Kto się poważy rzec: ja wierzę w Boga?
Zapytaj o to mędrców lub kapłanów.
Małgosia. A więc....
Faust. Co na mnie tak spoglądasz?
O lube dziécię, tylko się zastanów:
Kto go wymienić śmie
I kto odważy się
Powiedziéć że weń wierzy?
A kto go znów odbieży,
Kto rzeknie o Nim szczerze:
Nie wierzę weń, nie wierzę?!
On, wszechogarniający,
On, wszechpodtrzymujący,
Wszak ogarnia mnie i ciebie
I samego nawet Siebie.
Czyż nieba strop nas nie okala,
Nie sparta ziemia na swéj osi?
I czy, mrugając drżącym blaskiem zdala,
Światełko gwiazd się ku nam nie przenosi?
Czy nie spoglądam w twoje oczy?
A tobie czy wrażenie się nie tłoczy
Do serca razem i do głowy,
Ujętne albo nieujętne słowy?
A gdy się przejmiesz tém uczuciem błogiem,
Gdy zmysły swoje niém połechcesz,
To nazwij je jak sama zechcesz:
Miłością, szczęściem, sercem, Bogiem!
Ja na to mam jedyne określenie:
Uczucie—ono wszystko w świecie sprawia,
A miano—dym to prosty, co płomienie
Zamracza i niebiański żar omgławia.
Małgosia. Tę samę myśl słyszałam z ust plebana,
Lecz w inne słowa była przyodziana.
Faust. Bo też ci to powiedzą wszędzie

Wszelakie serca na tym świecie,
Choć po swojemu każdy myśl swą przędzie;
Czyż mnie jednemu wyznać się nie godzi?

Małgosia. Ja tego nie mówiłam przecie;
Gdy słucham ciebie, jakoś to uchodzi.
A jednak w głowie mi utkwiło klinem,
Żeś nie jest dobrym chrześcianinem.

Faust. Kochane dziécię....

Małgosia. Boli mnie téż dawno,
Że w towarzystwie takiém cię widuję.

Faust. Mów jasno.

Małgosia. Dla kolegi twego
Poprostu mam nienawiść jawną.
Gdy widzę wstrętną tę maszkarę,
To jakby sztylet w sercu czuję.
Niech cię od grzéchu nieba strzegą,
Bo złą wybrałeś sobie parę.

Faust. Nie lękaj go się, moja mała!

Małgosia. Gdy on przy tobie, ja drżę cała.
Zazwyczaj przecie lubię wszystkich ludzi,
Lecz choćbym ciebie zawsze widziéć rada,
On straszną we mnie trwogę budzi:
Przeczuwam, że to podstęp, zdrada.
Jeśli go krzywdzę, niech mi Bóg wybaczy!

Faust. Już on, kochanko, się nie przeinaczy.

Małgosia. Nie chciałabym ja z takim żyć przecherą.
Zaledwo izby próg przekroczy,
Już ma zwrócone wkoło oczy
Szyderczo, gniewnie, albo drwiąco;
Znać, że nie umié przychylnością szczerą
Nic i nikogo pokochać gorąco,
Ja z czoła mu to wyczytuję.
Ach! z tobą tak mi dobrze, mój ty luby,
Tak błogie w twym uścisku ciepło czuję!
A jego widok sam, to wróżba zguby.

Faust (*na stronie.*) Aniele, masz przeczucie wieszcze.

Małgosia. I to tak silnie na mnie działa jeszcze,
Że ile razy on nam wejdzie w drogę,
Wydaje mi się przy tym bezeceniku,
Że cię nie kocham—modlić się nie mogę.
I tobie tak być musi, mój Henryku.

Faust. To antypatja, lecz czy z jego winy?

Małgosia. Odchodzę już.
Faust. I czyliż choć godziny
Nie będziem mogli spędzić dziś wieczorem,
Pierś w pierś i duszę przelewając w duszę?
Małgosia. Ach, gdybym w domu była sama,
To zostawiłabym ci drzwi otworem:
Lecz zaraz obok sypia mama
I bardzo na nią zważać muszę,
A ona czujna—niechby cię spotrzegła,
To jużbym chyba trupem legła.
Faust. Ej, fraszka. Oto masz flaszeczkę;
Wpuść w szklankę matki płynu choć troszeczkę,
A sen głęboki ją owładnie.
Małgosia. Więc zgoda, zrobię ja to snadnie.
Lecz czy jéj nie zaszkodzi dawka?
Faust. Niewinna tylko to zabawka.
Małgosia. O drogi mój! Gdy widzę cię choć chwilę,
To się naślepo w twoję moc oddaję.
Zrobiłam już dla ciebie tyle,
Że mi niewiele zrobić pozostaje.
(*Odchodzi. Zjawia się Mefistofel.*)
Mefistofel. Czeczotka poszła?
Faust. Podsłuchujesz znów?
Mefistofel. Słyszałem całą tę katechizacją;
Pan doktór stulił uszy, i ma racją.
Pantoflem babskim zostań—będziesz zdrów!
Dziéwczętom bardzo to na rękę,
Gdy mąż pobożny wierzy w Pańską mękę,
Bo myślą: gdy się poddał tam,
To pewno podda się i nam.
Faust. Potworze! Czyż ty masz wyobrażenie,
Jak ta istota czysta w świętéj skrusze
W religji tylko widzi swe zbawienie,
Jak sercem tkliwém dba o moję duszę
I trapi się uczuciem zgrozy, strachu?
Mefistofel. Oj, nadzmysłowy a zmysłowy gachu,
Trusiątka takie za nos ciebie wodzą.
Faust. Ohydny! ciebie kał i ogień płodzą.
Mefistofel. A jaka z niéj fizjognomistka!
Obecność moja strasznie jéj zawadza.
Przynajmniéj nie ma mnie za chłystka,
Lecz ceni mnie wysoko, mój doktorze;

Przeczuwa jaka moja władza,
Wié, żem genjuszem, albo diabłem może. . . .
Więc dziś. . .

Faust. Od tego tobie zasię!

Mefistofel. No, rzeczy takie lubię w każdym czasie.

PRZY STUDNI.

MAŁGOSIA i ELŻBIÉTA ze dzbankami.

Elżbiéta. Słyszałaś co się z Basią stało?

Małgosia. Nie, ja wychodzę teraz mało.

Elżbiéta. I na nią w końcu przyszła biéda.
Ha, próżność nieraz taki skutek wyda.

Małgosia. Lecz jaka biéda?

Elżbiéta. Ma za swoje:
Gdy jada, karmi teraz dwoje.

Małgosia. Ach!

Elżbiéta. Nic tak bardzo w tém dziwnego;
Strzeżonych tylko nieba strzegą,
A ona przecie wciąż z tym chłopem
To wychodziła na przechadzki,
To tajne mu dawała schadzki,
To, wielkopańskim idąc tropem,
Stroiła się i w tańcu wiodła rej
I w grzésznéj zalotności swéj
Koniecznie piérwszą być musiała wszędzie,
Gdzie tylko się pokaże, lub gdzie siędzie.
On znosił jéj pasztety, wina,
A zaślepiona ta dziewczyna
Bezczelnie się nie powstydziła
Podarków nawet naprzyjmować siła.
I tak pieściła się z kochankiem,
Aż wreszcie się rozstała z wiankiem.

Małgosia. Nieszczęsna!

Elżbiéta. Przecież z własnéj cierpi winy.
Gdy my wieczorem przędzim w izbie,
A matka wyjść nam za próg broni,
To ona za swym gachem goni,
Siadają sobie gdzieś na przyźbie
I mile schodzą im godziny.

Niechże się teraz w pobożności ćwiczy,
Gdy przyjdzie stanąć w szacie pokutniczéj.

Małgosia. Toć przecie mu ożenić się wypadnie.

Elżbiéta. Niegłupi. Taki chłopiec żwawy
Dość i gdzieindziéj ma zabawy,
A zresztą drapnął.

Małgosia. To szkaradnie!

Elżbiéta. Ha, gdyby nawet go dostała,
Niewielka ztąd wyrosłaby jéj chwała:
Chłopakiby jéj zdarły wianek,
A dziéwki sieczką posypały ganek. (*Odchodzi*).

Małgosia (*zabiérając się do domu*).
Jak to ja dawniéj potępiałam śmiało,
Gdy biédne dziéwczę się zachwiało!
Jak miałam zawsze na usłudze
Surowy sąd, gdy szło o grzéchy cudze!
Jak czarne doczerniałam chętnie,
Bo w niedość czarném je widziałam piętnie,
I zawsze się odżegnywałam srodze,
A teraz sama w grzéchu brodzę.
Lecz to, co mnie popchnęło w złego matnie,
Tak było dobre, błogie, bratnie!

(Dokończenie nastąpi).





O OBECNYCH SZKOŁACH PRAWA KARNEGO

I ICH METODZIE.

Walce dwóch szkół zawdzięcza umiejętność prawa swój rozwój i postęp w bieżącém stuleciu, walce szkoły filozoficznéj ze szkołą historyczną. Walka ta, która w innych gałęziach umiejętności prawa dawno już skończyła się zwycięstwem szkoły historycznéj, w dziedzinie umiejętności prawa karnego dotąd się toczy, dotąd nie jest rozegraną.

Już w drugiéj połowie zeszłego stulecia objawia się w nauce prawa karnego usiłowanie wysnucia zasad ogólnych prawa karnego z zasad filozofii (Engelhard, 1756); właściwym jednak inicyatorem szkoły filozoficznéj w prawie karném jest Feuerbach, który pod wpływem filozofii Kanta, filozoficzne tegoż wywody przeniósł do prawa karnego.

Feuerbach w wykładzie powszechnego niemieckiego prawa karnego przedstawia prawo karne w trzech księgach: dwie pierwsze mają zawierać umiejętne przedstawienie materyalnego prawa karnego (1); trzecia zaś przedstawia t. zw. pragmatyczną część prawa karnego, t. j. proces. Otóż pierwszą księgę, zawierającą zasady t. z. części ogólnéj prawa karnego, nazywa Feuerbach filozoficzną czyli ogólną; drugą zaś księgę, obejmującą zasady t. z. części szczególnéj, nazywa częścią pozytywną czyli szczególną.

Feuerbach przeciwstawia zatém części szczególnéj, jako prawu pozytywnemu, część ogólną, jako filozoficzną; określa daléj prawo karne ogólne, jako filozofią zasad prawnych prawa karnego i nazy-

---

(1) Lehrbuch des gem. in Deutschland giltigen peinlichen Rechtes, 1801. — Wissenschaftliche Darstellung des peinlichen Rechts selbst.

wa je umiejętnością m o ż l i w y c h p r a w państwa, z ustaw karnych wynikających, podczas gdy część szczególną, czyli pozytywną, nazywa umiejętnością r z e c z y w i s t y c h praw państwa, polegających na jego ustawach karnych (1); do ź r ó d e ł p r a w a k a r n e g o z a l i c z a w k o ń c u F e u e r b a c h w p i e r w s z y m r z ę d z i e f i l o z o f i ą.

Kierunek nadany nauce prawa karnego przez Feuberbacha utrzymał się w nauce téj przez długie lata.

Jak bowiem Feuerbach filozofią Kanta, tak następnie Köstlin, Berner i Hälschner filozofią Hegla wprowadzili do nauki prawa karnego, a nie pomni tego, że innêm jest zadanie filozofii prawa karnego, a innêm zadanie nauki pozytywnego prawa karnego, połączyli wywody prawno-filozoficzne z wykładem zasad prawa pozytywnego, tworząc zamiast całości organicznéj, — chaos niezrozumiały, nie będący ani filozofią kryminalną, ani prawem pozytywném (2). Do czego jednak to amalgamowanie doprowadziło, tego dowód widzimy w dzisiejszym stanie nauki prawa karnego, w któréj każdy niemal autor nowe głosi teorye i poglądy, a o ścisłych pojęciach i zasadach powszechnie uznanych dotąd mowy być nie może.

Już wprawdzie Wächter i Osenbrüggen wystąpili z badaniami historycznemi poszczególnych materyi prawa karnego, a pierwszy oświadczył się nawet wprost przeciw twierdzeniu Feuerbacha, jakoby filozofia była źródłem prawa karnego (*Lehrbuch* 1825, str. 20), ale metody historycznéj stworzyć im się nie udało, owszem pod wpływem Köstlina, Bernera i Hälschnera kierunek filozoficzny jeszcze silniéj zapanował, a dzieła: Köstlina („Nowa rewizya zasad prawa kryn." ogłoszona w r. 1845), Bernera (*Lehrbuch*, wyd. I, 1857, jak i następne) i Hälschnera (*Gemeines deutsches Strafrecht*) są niczém innêm jak filozoficzném, t. j. idealném prawem karném, na podstawie filozofii Heglowskiéj zbudowaném.

Stanowisku i metodzie szkoły filozoficznéj odpowiadały jéj definicye przestępstwa i kary,— owych dwóch pojęć zasadniczych prawa karnego, od których określenia kierunek nauki zależy i w których się głównie odzwierciedla. To téż wywody rzeczonych trzech

---

(1) Das allgemeine peinliche Recht als Philosophie der rechtlichen Gründe des Strafrechtes und seiner Ausübung ist die Wissenschaft von den *möglichen* Rechten, des Staats aus Strafgesetzen, das positive peinliche Recht die Wissenschaft von den *wirklichen* Rechten eines bestimmten Staats.

(2) Tak Köstlin w swéj Nowéj Rewizyi (Neue Revision der Grundbegriffe des Criminalrechtes 1845, str. 16) powiada wprost: *„es muss wieder-philosophisches und positives Strafrecht und vor Allem in den sogenannten allgemeinem Theile, amalgamirt werden."*

autorów, głównych reprezentantów szkoły filozoficznéj w nauce prawa karnego o przestępstwie i karze, są tak niejasne; w rozprawach ich o bezprawiu świadomém i nieświadomém, o pojęciu i celu kary i t. d., tak są pomięszane kwestye prawno-filozoficzne z kwestyami prawa karnego, że nie podobna z tego chaosu wydobyć jasnego określenia rzeczonych dwóch zasadniczych pojęć naszéj nauki, nadających się do systemu prawa pozytywnego.

Dość przytoczyć tu np. definicyą przestępstwa i kary, podaną przez owego, tak głośnego kryminalistę, Bernera, w podręcznym wykładzie niemieckiego (a więc pozytywnego) prawa karnego; „zbrodnią—powiada on jeszcze w najnowszém wydaniu tego dzieła, — nazywamy ów gatunek czynów niemoralnych (*diejenige Species unsittlicher Handlungen*), przez który jednostka powstaje przeciw woli ogółu, naruszając prawo publiczne lub prywatne, lub też religią albo obyczaj, o ile państwo potrzebuje tychże do utrzymania swego bytu.“

Czyż to definicya przestępstwa ze stanowiska prawa karnego pozytywnego, czy ze stanowiska filozofii prawa? A jeżeli Berner dodaje następnie: „do karygodności zbrodni należy zagrożenie prawem karném“ — to z tego wynikłoby, że rozróżnić należy zbrodnie karygodne i bezkarne. co oczywiście sprzeciwia się najmocniéj pierwszéj zasadzie pozytywnego prawa karnego: „*nullum crimen sine lege poenali.*“

Podobnież i definicya kary przez Bernera podana: „kara jest—powiada on — aktem sprawiedliwości, ale zarazem działaniem zmierzającém do pewnego celu“ (1)— mogłoby znaleść miejsce w filozofii prawa karnego, ale w nauce prawa karnego jest ona niewłaściwą, bo określa zasadę prawną kary i cel jéj, ale kary w rozumieniu pozytywnego prawa karnego wcale nam nie określa.

Podobnież chromają wywody pojęć przestępstwa i kary Hälschnera, który, jak to trafnie wykazał Merkel w krytyce Hälschnerowskiego wykładu powszechnego prawa karnego niemieckiego (2); jest niejasnym wskutek owego dualizmu prawa pozytywnego a filozofii. Hälschner przeciwstawia w nauce niemieckiego prawa karnego—istotę zbrodni pojęciową jego objawom konkretnym (3) i dowodzi, że pierwsza ma być określoną niezawiśle od drugiéj. Przedstawia on najpierw to, co zdaniem jego—jest słuszne, czyli, co zdaniem jego prawem być powinno, a potém dopiéro zastanawia się nad tém,

---

(1) Ein Akt der Gerechtigkeit, gleichzeitig aber auch eine Zweckthätigkeit.

(2) Ogłoszona w czasopiśmie poświeconém umiejętności prawa karnego Liszta (t. I, str. 553).

(3) Das begriffliche Wesen des Verbrechens. — Concrete Erscheinung.

o ile prawo pozytywne jego ideałom odpowiada. Wskutek tego dualizmu w wykładzie prawa karnego, prawo obowiązujące nie znajduje jasnego wyrazu, a przedstawienie onegoż jest niejasném i niezupełném. Dzieło jego nie jest wykładem niemieckiego prawa karnego, czémby się, według tytułu, być zdawało, lecz jest wykładem jakiegoś filozoficznego, idealnego prawa karnego z uwzględnieniem kodeksu niemieckiego o tyle, że autor wykazuje, o ile prawo pozytywne niemieckie odpowiada jego podmiotowym, filozoficznym na prawo poglądom.

Pierwszym, który już w pierwszéj połowie naszego stulecia wystąpił wprost przeciw szkole filozoficznéj z żądaniem badania historycznego prawa karnego był Mittermajer (1); on pierwszy wypowiedział zdanie, że chcąc ochronić się od niewczesnych projektów reformy prawa karnego i eksperymentów ustawodawczych, należy poznać przedewszystkiém dokładnie przeszłość prawa.

W ślad za nim poszedł Biener, którego rozprawa „O metodzie historycznéj i jéj zastosowaniu do prawa karnego“ (*Neues Archiv*, X, str. 476 i n.) zasługuje tu na szczególną wzmiankę. W pracy téj wykazał on bowiem pożytek metody historycznéj w badaniach prawa karnego, a praktycznym owocem tego kierunku była znakomita jego praca o procesie inkwizycyjnym (2).

W kierunku historycznym pracowali daléj z autorów dawniejszych Luden i Wächter, jednakowoż wszelkie ich usiłowania pokrzyżował wpływ filozofii Hegla, któréj drogę do prawa karnego utorowali, jak wspomniałem Köstlin, Berner i Hälschner.

Wobec nadzwyczajnego wpływu szkoły kryminalistycznéj Hegla, kierunek historyczny nie mógł odnieść zwycięstwa, a wszelkie usiłowania przełamania wpływu szkoły filozoficznéj nie odniosły żadnego skutku i przeminęły prawie bez śladu. Dopiéro Schütze w przedmowie do znakomitéj swéj pracy o udziale koniecznym (3) wystąpił energicznie i skutecznie przeciw metodzie filozoficznéj w wykładzie prawa karnego, przeciw łączeniu kwestyi prawno-filozoficznych z umiejętnością pozytywnego prawa karnego, i wykazał dowodnie, że to właśnie mięszanie filozofii prawa z nauką prawa pozytywnego jest przyczyną, dla któréj prawo karne dotąd pozostało w tyle za prawem cywilném.

---

(1) Rozprawa: „Über die Grundfehler der Behandlung des Criminalrechtes in Lehr und Strafgesetzbüchern“ (Bonn 1819).

(2) Beiträge zu der Geschichte des Inquisitions-Processes und der Geschworenen-Gerichte. Leipzig 1827.

(3) Die notwendige Theilnahmé am Verbrechen. Leipzig 1869.

O stosunku filozofii prawa do prawa pozytywnego powiada w szczególności Schütze: umiejętność prawa karnego ma za przedmiot pojęcia prawa *pozytywnego*, gdyż chce być teoryą pozytywnego prawa karnego, nie ma się przeto zajmować pojęciami filozofii prawa. Ma badać, które pojęcia prawne — ogólnie uznane — wynikają z historyi prawa, jakim zmianom uległy pojęcia te w biegu czasu w praktyce i w ustawodawstwie, czy wreszcie pojęcia te odpowiadają dzisiejszemu zastosowaniu prawa. Zupełnie inną zaś jest dziedzina filozofii prawa karnego. Ta ma zbadać ideę prawa i porządku prawnego, zasadę prawną władzy karzącéj, ogólne pojęcia zbrodni i kary, dopuszczalność środków karnych i t. d. I ta umiejętność ma swoję historyą—historyą filozofii kryminalnéj,—ale badanie tych pytań nie wchodzi w zakres prawa pozytywnego.

W téj najzupełniéj uprawnionéj dziedzinie badania prawno-filozoficznego mają téż być rozebrane pytania, czy nie należy dawnych pojęć i zasad kryminalnych zastąpić innemi, czy nie należy konstrukcyi tychże pojęć zbudować na innéj zasadzie itd., a rezultaty tych prawno-filozoficznych badań może sobie przyswoić prawo karne pozytywne.

Podobnie, jak już nastąpiła w prawie cywilném, musi zatém i w prawie karném nastąpić separacya filozofii prawa, a nauki pozytywnego prawa karnego. Na gruncie prawa pozytywnego stanęli następnie oprócz Schützego, Binding w najnowszém swém dziele, tudzież Merkel w krytyce dzieła Hälschnerowskiego (1). Stanowisko zajmowane w nauce prawa karnego przez tychże autorów możnaby nazwać szkołą praktyczno-pozytywną (2). Stosunek swego poglądu na naukę prawa karnego do szkoły filozoficznéj i historycznéj przedstawia Binding w następujący sposób. Obie szkoły prawa karnego—powiada on,—tak filozoficzna jak i historyczna w obec prawa pozytywnego zajmują stanowisko negacyi. Obie wykazują jego wady i strony ujemne i chcą je usunąć ale odmiennemi środkami.

Pierwsza,—szkoła filozoficzna,—przez ustawodawstwo filozoficzne tj. przez skodyfikowanie prawa rozumu („*des ewig vernünftigen Rechtes*") zaczém przez oderwanie prawa od jego podstaw histo-

---

(1) Binding: Handbuch des Strafrechtes (Leipzig 1886) jakotéż w rozprawie: Strafgesetzgebung, Strafjustiz und Strafrechtswissenschaft in normalem Verhältniss zu einander—ogłoszonéj w czasopiśmie Liszta (tom I, str. 5—29). — Merkel: „über das gemeine deutsche Strafrecht von Hälschner und den Idealismus in der Strafrechtswissenschaft" (w czasopiśmie Liszta I, str. 553).

(2) „Die echte Rechtswissenschaft—powiada bowiem Binding—muss stets eine Wissenschaft des positiven praktischen Rechtes sein"—„Die Wissenschaft muss praktische Wissenschaft des positiven Strafrechtes werden".

rycznych; historyczna zaś szkoła, odwracając się od prawa obowiązującego, chce przez odkrycie klasycznych rysów prawa rzymskiego przedstawić nam prawo wzorowe (*ein Musterrecht*), wyższe nad prawo natury. Obie te szkoły nie są jednak szkołami praktycznemi, lecz akademicznemi szkołami prawa; jedna jest filozoficzno-akademiczną; druga historyczno-akademiczną.

Szkoła historyczna—powiada dalej Binding, nie dopuszcza krytyki prawa pozytywnego; szkoła zaś filozoficzna stworzyła umiejętność prawa, w której dwa do różnych zupełnie światów przynależne prawa zostały złączone w nienaturalną i bałamutną jedność;—zamiast umiejętności prawa obowiązującego stworzyła nam fałszerstwo takowego (1).

Jedynie rozumienie obowiązującego prawa, prowadzi jednak do zrozumienia jego sprzeczności, braków i luk; do tego zrozumienia zaś można dojść tylko przez badanie prawa na podstawie objawów życia, dla którego jest przeznaczoném. Ścisły badacz prawa musi wystrzegać się przed dwojakiém niebezpieczeństwem. Jest rzeczą zarówno nieznośną, jeżeli się krytykuje i przedstawia prawdy z prawa pozytywnego wysnute jako wyniki apriorystycznéj filozofii, jak jeżeli się od ścisłego badacza prawa wymaga, ażeby wnioski pewnych filozoficznych poglądów lub wytwory fantazyi prawniczéj traktował jako zasady prawa.

Podobnież zapatruje się na zadanie umiejętności prawa karnego Merkel (w czasop. Liszta I, str. 555): Ziarno prawdy—powiada on—zawierają wprawdzie wszystkie teorye filozoficzne; formy jednak, w jakich się przedstawiają u wielkich myślicieli minionego okresu umiejętności, straciły dla nas znaczenie, a dziś teorye te dalszych owoców wydać już nie są w stanie. Dzisiejsza umiejętność prawa zwraca się głównie ku faktom; kierunek jéj jest oczywiście i niewątpliwie pozytywny; zbadanie świata rzeczywistego i sił w nim czynnych jest jego zadaniem, które radykalniej niż dotąd, odłącza się od zadań subiektywnéj natury, których rozwiązanie zależy od siły usposobienia i fantazyi. Bardzo trafnie powiada dalej Merkel, że w badaniach historycznych i w rozbiorze poszczególnych kwestyi dogmatycznych prawa karnego stajemy zupełnie na gruncie pozytywnym; jak tylko jednak zwracamy

---

(1) W przedmowie do najnowszego dzieła: (*Handbuch*, str. 7) powiada: „so entseht eine Rechtswissenschaft, deren zwei ganz verschiedenen Welten angehöriges Recht zu unnatürlicher Verbindung, Vermischung und Verwirrung gebracht wird; statt einer Wissenschaft des geltenden Rechtes, eine Fälschung derselben.

się do pytań ogólniejszych, przejmujemy się innym duchem i powstaje w nas dualizm duszy pozytywnéj i filozofującéj; pierwsza opisuje i układa prawo w system; druga konstruuje idealną budowę prawa. Granica pomiędzy idealistyczną filozofią, a pozytywną umiejętnością prawa karnego nie jest dotąd należycie pociągniętą; dotąd obadwa te kierunki są złączone ku szkodzie jednego i drugiego.

Za warunek przyszłego postępu umiejętności naszéj uważa Merkel zupełne pominięcie owego świata idealnego i zestąpienie z wyżyn filozofii do świata rzeczywistego, aczkolwiek uznaje, że kierunek idealistyczny nadaje prawu karnemu większy powab.

Przeciw szkole filozoficznéj prawa karnego powstała daléj w najnowszych czasach silna reakcya i opozycya jeszcze z innéj strony, mianowicie od tak zwanéj szkoły antropologicznéj włoskiéj, która dała początek trzeciéj najnowszéj szkole prawa karnego, tak zwanéj szkole kryminalnéj pozytywnéj (włoskiej).

Zasługą szkoły kryminalnéj włoskiéj, którąby najwłaściwiej szkołą socyologiczną prawa karnego nazwać można dlatego, że pomijając filozofią prawa karnego, głównego punktu ciężkości szuka w socyologii i bada zjawiska kryminalne ze stanowiska społecznego,—jest zwrócenie uwagi na społeczne znaczenie zbrodni i kary, i na środki zapobieżenia zbrodniom, zwrócenie dalej uwagi na związek, zachodzący pomiędzy zbrodniami a innemi zjawiskami społecznemi i na środki ogólniejsze represyi przestępstw i zabezpieczenia społeczeństwa przed naruszeniem porządku prawnego.

Twórcą téj nowej szkoły kryminalnéj włoskiéj jest znakomity antropolog włoski prof. Lombroso, który początek, istotę i dążności téj nowéj swéj szkoły antropologiczno-kryminalnéj przedstawił sam zwięźle w osobnéj rozprawie (1). Głównem jego dziełem, które szkołę tę zainaugurowało, jest dzieło dwutomowe pod tytułem „*l'uomo deliquente*“ (2) „człowiek zbrodniarz.“ W dziele tém stara się Lombroso wykazać, że zbrodniarz przedstawia typowe właściwości rasowe, objawiające się w budowie czaszki i twarzy, w zaroście włosów, w szeregu objawów systemu nerwowego, charakteru, rozumu itd. Te właściwości jednak stwierdzić można tylko u pewnéj grupy

(1) W czasopiśmie Liszta I, str. 108 „über den Ursprung, das Wesen und die Besterbungen der neuen anthropologisch-kriminalistischen Schule in Italien.

(2) Dzieła tego przygotowuje się właśnie trzecie wydanie.

zbrodniarzy; nie znachodzą się one w szczególności u zbrodniarzy z afektu lub namiętności.

Lombroso upatruje więc w zbrodni fizyologiczny, tak zwany atawistyczny zarodek, oparty na popędach zwierzęcych, które przez jakiś czas przytłumione—przez wychowanie, otoczenie lub obawę kary, nagle znów wybuchają pod wpływem pewnych okoliczności, do których Lombroso zalicza klimat, pory roku, ceny i stosunki żywności, płeć, celibat, zajęcia zawodowe, naśladownictwo, napoje alkoholowe, choroby, namiętności, obłąkanie itp. „Są przypadki, powiada Lombroso—gdzie granica pomiędzy obłąkaniem a zbrodnią jest tak subtelną, iż niepodobna jéj oznaczyć, a w innych przypadkach wcale nawet téj granicy nie ma.“

Zakończenie dzieła wyż rzeczonego stanowi najważniejszy dla kryminalisty rozdział o t e r a p i i. Autor ze stanowiska szkoły naturalistycznéj uważa zbrodnię za konieczne zjawisko natury, a karę za konieczną reakcyą w obronie społeczeństwa ludzkiego. Zaleca przeto obok kar ś r o d k i p r o f i l a k t y c z n e, skuteczniejsze i ważniejsze od środków karnych przeciw zbrodniom; w szczególności zaleca usunięcie sądów przysięgłych; prędki wymiar sprawiedliwości, zatrzymanie w zakładach profilaktycznych (*Sicherungs-Anstalten*) takich zbrodniarzy nałogowych, którzy są otwartymi i wiecznymi wrogami społeczeństwa i chełpią się, że zbrodnię popełnią, zakaz alkoholiów, wykluczenie jawności rozpraw karnych, wprowadzenie zakładów pracy przymusowéj, kolonii rolniczych itp.

Co się tyczé środków karnych, proponuje Lombroso dla przestępców nieletnich k a r y c i e l e s n e i zakłady poprawcze; a co do zakładów więziennych, przemawia za systemem więzień irlandzkim.

W duchu szkoły antropologicznéj wystąpili uczeni włoscy kryminaliści: Ferri w rozprawie o granicach prawa karnego, a antropologii kryminalnéj (1), daléj Garofalo (2) i Beltrani Scalia (3). Oni to poglądy i zasady szkoły antropologicznéj przenieśli do prawa karnego i stworzyli tak zwaną szkołę pozytywną włoską (4). Zasługą téj szkoły jest, że wykazując niedostateczność dzisiejszego systemu kar, zwraca głównie uwagę na przyczyny zbrodni, bada zatém zbrodnię głębiéj, szuka jéj motywów i źródeł, a na podstawie tych badań, opartych na wynikach statystyki, psychologii itd., zaleca

---

(1) *Sui limiti fra diritto pen. ed anthr. crim.* w Lombrosa „Archivio di psichiatria crim.“ 1880.

(2) W rozprawie: „*Di' un criterio positivo della penalita*“.

(3) W piśmie: „*La riforma penitenziaria in Italia.*“

(4) Porównaj Giannella: *della nuova scuola penale positiva in Italia*. Trieste 1886.

środki profilaktyczne, w celu zapobieżenia zbrodniom zaprowadzić się mające.

O szkole swéj powiada téż Lombroso bardzo słusznie: jakibądź sąd wydany zostanie o wszystkich studyach szkoły antropologiczno-kryminalnéj, tyle jednak jest pewien, że należą one do szkoły, która—w przeciwieństwie do dawniejszych, w miejsce syllogizmu kładzie spostrzeżenie, w miejsce metafizyki—antropologią anatomiczną i psychologią, w miejsce hypotetycznéj prawa przyczynowości, sprzeciwiającéj się nauce o wolnéj woli, psychologiczną względnie organiczną konieczność objawów woli ludzkiéj w ogólności, a zbrodni w szczególności, zkąd naturalna dla społeczeństwa powstaje potrzeba obrony przeciw zbrodni.

W miejsce przesadnego sentymentalizmu na rzecz zbrodniarza kładzie usprawiedliwioną troskę o dobro ogołu, nie wpadając w przesadę wieków dawnych i średnich. A chociaż porzuca idealną-moralną odpowiedzialność człowieka jako podstawę poczytalności kryminalnéj, to jednak opiera się tém silniéj na o d p o w i e d z i a l n o ś c i f a k t y c z n é j, tj. na karygodności zbodni jako koniecznéj konsekwencyi służącego społeczeństwu ludzkiemu prawa obrony własnéj.

Stosownie do tego przy wyborze środków karnych decydujące są nie w z g l ę d y s e n t y m e n t a l n e, ani téż abstrakcyjne pojęcia sprawiedliwości, lecz jedynie odpowiedniość (*Zweckmässigkeit*) i skuteczność środków karnych stwierdzona doświadczeniem. Przy tém przywiązuje ona większą jeszcze wagę do środków profilaktycznych aniżeli do rzeczywistych kar.

Wadą naszego systemu środków karnych—powiada również Garofalo—jest to, że nie zbadano, czy ten sam system kar wywiera jednaki skutek względem wszystkich zbrodniarzy. Garofalo rozróżnia tedy obok z w y c z a j n y c h przyczyn zbrodni (brak utrzymania, wychowania, nadzoru) p r z y c z y n y wrodzone lub nabyte,—meteoryczne i fizyologiczne (pory roku, wiek, celibat, choroby, namiętności, obłąkanie); większą część dzisiejszych zbrodniarzy popychają do zbrodni—powiada Garofalo—przyczyny organiczne „istnienie naturalnych, szczególnie fizyologicznych przyczyn zbrodni dziś nie może być zaprzeczoném.“ W miejsce nauki o poczytalności, która grozi rozpadem, należy przeto ustanowić system środków p r e w e n c y j n y c h przy uwzględnieniu jakości zbrodni i zbrodniarzy. Uwzględniając tedy tę właściwość zbrodni, rozróżnia Garofalo 4 klasy zbrodni, względnie zbrodniarzy: tj. 1) zbrodnie lekkie, gdzie kara jest p r ó b ą p o p r a w c z ą; 2) zbrodnie nałogowe, gdzie społeczeństwo powinno się zabezpieczyć przed zbrodniarzem (przez najenergiczniejsze środki prewencyjne (zamknięcie na całe życie w odpowie-

dnich zakładach roboczych); 3) zbrodnie ciężkie, gdzie należy odstraszyć i zarazem zapobiedz powtórzeniu; 4) zbrodnie, gdzie kara ma jedynie tylko zapobiedz powtórzeniu. Enrico Ferri broni odpowiedzialności społecznéj—w przeciwstawieniu do etycznéj, proponuje również zaprowadzenie tak zwanych surogatów karnych (*sostitutioi penali*) tj. środków karnych prewencyjnych. Na podstawie studyów statystycznych dowodzi on wreszcie, że naturalne i socyalne otoczenie w związku z odziedziczonemi i indywidualnemi popędami rodzi z konieczności pewną ilość zbrodni; upatruje on w tém prawo, które nazywa prawem kryminalnego nasycenia (*saturazione criminosa*).

Przeciw szkole pozytywnéj włoskiéj wystąpił we Włoszech z opozycyą: Brusa znakomity kryminalista, jeden z głównych przeciwników szkoły antropologiczno-kryminalnéj; zarzuca on jéj w szczególności, że całe prawo karne sprowadza do części psychiatryi; prawo karne traci bowiem, według pojmowania onegoż przez szkołę antropologiczną, charakter nauki samoistnéj, a staje się częścią psychiatryi; zarzuca daléj, że szkoła ta zaprzecza odpowiedzialności kryminalnéj za zbrodnie i potrzebie odstraszenia, że burzy wreszcie cały system środków karnych, a w szczególności kar więziennych. Na zarzuty te odpowiada jednak Lombroso w rozprawie „*Pro schola mea*“ (w czasopiśmie Liszta III, str. 458), że zarzuty te tylko w małéj części są usprawiedliwione, albowiem zbrodniarze ze sposobności mają nadal podpadać pod ustawodawstwo kryminalne; co się zaś tyczé zbrodniarzy z urodzenia, to położenie ich zmienia się o tyle tylko, że dla skutecznéj obrony bezpieczeństwa publicznego czeka ich dożywotnie zamknięcie, któremu tylko brak nazwy więzienia kryminalnego. Środek ten o wiele skuteczniéj broni społeczeństwa przed zbrodniarzami, aniżeli dzisiejsze uwalnianie więźniów po odbytéj karze i narażanie społeczeństwa na nowe z ich strony napaści i zbrodnie. W literaturze niemieckiéj przyjęli zapatrywania szkoły włoskiéj głównie Liszt a za nim Janka.

Liszta wykład niemieckiego prawa karnego (*Lehrbuch*, II wyd. 1884) jest pierwszą książką niemiecką, uwzględniającą także socyologiczną stronę zbrodni i kary. Liszt zastanawia się najpierw już w rozprawie „*Der Zweckgedanke im Strafrecht*“ (ogłoszonéj w czasopiśmie krym. Liszta tom III, 1883, str. 1—47), a następnie w wykładzie prawa karnego w ustępie o istocie socyologii kryminalnéj, któréj zakreśla następujące zadanie: 1) przedstawienie zbrodni i zbrodniarzy (*des Verbrechertums*) i t. d, tak historyi takowych, jak i obecnego stanu; 2) skonstatowanie czynników, z których współdziałania powstaje zbrodnia; 3) podanie środków zwalczania zbrodni.

Najpewniejszą metodą socyologii kryminalnéj i środkiem jéj pomocniczym jest statystyka kryminalna.

Czynniki współdziałające w powstaniu zbrodni są—według Liszta, trojakie: *a*) czynniki fizyczne czyli naturalne, jako to: klimat, temperatura, pory roku i t. d.; *b*) czynniki społeczne, jak: oświata, dobrobyt ekonomiczny i t. d.; *c*) wreszcie czynniki indywidualne. Te ostatnie mogą być: 1) wrodzone, 2) nabyte, 3) okolicznościowe. W miarę tych ostatnich dzieli on zbrodniarzy na 3 kategorye: 1) zbrodniarze z urodzenia, *delinquenti nati* szkoły włoskiéj, t. j. tacy, którzy z wrodzonych przyczyn atawistycznych są niejako predestynowani na zbrodniarzy; 2) zbrodniarze z nałogu (*Gewohnheits-verbrecher*); 3) zbrodniarze ze sposobności (*Gelegenheits-verbrecher*); zbrodniarze nałogowi mogą znowu być niepoprawni lub tacy, po których się jeszcze poprawy spodziewać można. Z tego ugrupowania czynników zbrodni wynika także stosowność środków zwalczania zbrodni. Do zwalczenia czynników fizycznych, środków żadnych nie mamy. Sposób usunięcia czynników społecznych jest zadaniem polityki socyalnéj. Nas, kryminalistów, obchodzą czynniki indywidualne. Otóż Liszt sądzi, że zbrodniarzy pierwszéj grupy, t. j. zbrodniarzy z urodzenia, należy oddać do umyślnych zakładów dla obłąkanych zbrodniarzy (*Criminal-Irrenhäuser für verbrecherische Irre*); zwalczanie innych grup zbrodniarzy jest zadaniem socyologii kryminalnéj, a bronią w téj walce jest kara, jako funkcya socyalna przeciw anti-socyalnym działaniom. Ponieważ, pomijając zbrodniarzy z urodzenia, pozostają nam zbrodniarze nałogowi i to niepoprawni i poprawni, tudzież zbrodniarze ze sposobności, przeto celem kary być powinno: uczynić nieszkodliwymi zbrodniarzy niepoprawnych; poprawić tych, których poprawić można; odstraszyć zaś zbrodniarzy ze sposobności.

Najzupełniejszym zwolennikiem Liszta jest Janka, który szkole Liszta chce dać miano szkoły realistycznéj. Powiada on w szczególności, że za długo, zbyt długo szukano zasad prawa karnego w sferach transcendentalnych. Jest czas najwyższy, aby umiejętność porzuciła wreszcie próżne badania, ażeby ze sfer metafizycznéj spekulacyi zestąpiła na grunt realny życia (1).

---

(1) Janka w czasopiśmie *Grünhuta* XIII, str. 753 w krytyce książki Liszta: „zu lange, viel zu lange wurden die Prinzipien des Strafrechtes in transcendenten Sfären gesucht. Es ist hohe Zeit, dass die Wissenschaft endlich die leeren Grubeleien aufgebe, dass dieselbe aus den Regionen metafisiches Speculation voll herantrete auf den realen Boden des Erdenlebens, dass sie wie das Recht auch des Strafrecht ganz und ohne Rückhalt als

Z zasadami i wynikami szkoły włoskiéj zgadzają się także Benedict w rozprawie „*Noch einmal der Zweckgedanke im Strafrechte*“ (ogłoszonéj w czasopiśmie Liszta tom V), tudzież Krepelin (ibidem V) w rozprawie „*Lombroso's uomo delinquente*“, jakotéż w rozprawie „*Die Abschaffung des Strafmasses*“ (Stuttgart 1880), w któréj wychodząc z założenia, że zbrodniarzy traktować należy jako umysłowo chorych, żąda uchylenia wymiarów kary, przyjętych w dzisiejszym systemie środków karnych, a zreformowania zakładów karnych w duchu podobnym, jak szkoła antropologiczna.

I ta szkoła socyologiczna jednak przesadziła, bo czyniąc naukę prawa karnego jedynie pomocnicą socyologii pozbawia onę samoistnego charakteru umiejętności. Przesadę tę wykazał Sergiewski, który w rozprawie „*Das Verbrechen und die Strafe als Gegenstand der Rechtswissenschaft*“ (*die Aufgabe der Strafrechtswissenschaft* — ogłoszonéj w czasopiśmie Liszta I, str. 211—221) bardzo trafnie i ściśle określił stosunek socyologii kryminalnéj do umiejętności prawa karnego.

Prawo karne — powiada on — należy nie do nauk społecznych, lecz do nauk prawniczych, a ma za przedmiot zjawiska życia społecznego, które nazywamy zbrodniami i instytucyą, którą nazywamy karą. Zadaniem umiejętności prawa karnego jest mianowicie zbadanie, generalizowanie i systematyzowanie pojęć, odnoszących się do zbrodni i kary. Można jednak na przestępstwo zapatrywać się i z innego jeszcze stanowiska, t. j. badać je jako zjawisko życia społecznego, poddanego prawom tegoż życia jak inne podobne zjawiska. Badania statystyczne wykazały bowiem, że zbrodnia jest zjawiskiem społeczném, podlegającém pewnym prawom, których poznanie jest koniecznémi w interesie rozwoju i postępu ludzkości.

Nie ulega mianowicie wątpliwości, że ustrój polityczny kraju, religia, stosunki rodzinne, społeczne, ekonomiczne i t. p. wpływają na liczbę, rozkład i jakość zbrodni. Badanie zbrodni i kary z tego stanowiska jest koniecznémi i może być u m i e j ę t n i e traktowaném, a nowsza umiejętność prawa karnego w i e l e z tychże badań korzysta, tak np. korzysta z nich nauka o poczytalności, nauka o systemie środków karnych, nauka o zbrodniach nałogowych i t. d. Ten sposób badania jednakowoż ma inny zupełnie cel; zaczém z b r o d n i a i k a r a m o g ą b y ć p r z e d m i o t e m d w ó c h r ó ż n y c h s p o s o b ó w b a d a n i a: p r a w n i c z e g o i s o c y o-

---

das durch die actuellen Bedürfnisse und Ziele der menschlichen Gesellschaft bedingte und bestimmte Product des Gemeinwesens, der Staatsgemeinschaft erfasse und das sie es aus diesen actuellen und practischen Bedürfnissen und Zielen heraus begreife.“

logicznego. Otóż zachodzi pytanie, czy badanie socyologiczne zbrodni i kary ma zająć miejsce w umiejętności prawa karnego i stanowić treść tegoż obok badania prawniczego, t. j. czy ma być połączone badanie jurydyczne ze socyologiczném. Na to odpowiada Sergiewski przecząco, albowiem obiedwie metody badania mają samoistne znaczenie, a nawet połączenie ich jest niemożliwe. Trzy momenta określają bowiem i charakteryzują każdą umiejętność, t. j. przedmiot, cel i metoda. Otóż przedmiot badania jurydycznego i socyologicznego jest wprawdzie ten sam, ale różne są ich cele i metoda.

Celem badania jurydycznego zbrodni i kary jest: 1) służyć za przewodnika praktyce przy stosowaniu ogólnych w ustawie określonych reguł do szczególnych przypadków życia; 2) służyć za przewodnika ustawodawcy przy układaniu ustaw celem ich poprawy; 3) na mocy historyi pozytywnego prawa karnego znaleść klucz do należytego zrozumienia, ocenienia i ujęcia prawa obowiązującego w całości i w jego częściach.

Metoda socyologiczna przeciwnie, śledzi tylko i bada stanowisko zbrodni w szeregu innych zjawisk życia społecznego; śledzi ona i formułuje w szczególności prawa rozwoju pożycia ludzkiego (1), a wyniki przez socyologią ustalone służą innym umiejętnościom, a także prawu karnemu za podstawę dalszych badań. Podobnież i metody obudwóch badań są różne. Badanie prawnicze bierze za punkt wyjścia nie zbrodnię konkretną, lecz zbrodnię *in abstracto* (*den Gattungsbegriff*); socyologia przeciwnie wychodzi z punktu badania zbrodni konkretnéj i to zbrodni powtarzanéj, to jest z masy-cyfry. Prawnik bada np. istotę jurydyczną kradzieży, jéj znamiona, karę, historyę i t. d. Socyolog przeciwnie—bada stosunek statystyczny kradzieży do innych zbrodni, ekonomiczne znaczenie i skutki kradzieży i rozmaitych jéj gatunków, wpływ dobrobytu, wieku, stopnia i stanowiska socyalnego na kradzież i t. d.

Cel i metoda są zatém różne. Podobnie więc jak kryminalista korzysta np. z wyników nauki fizyologii, psychiatryi, psychologii i t. d., a mimo to nauki te nie są częściami umiejętności prawa karnego, tak musi on wprawdzie uwzględnić wyniki socyologicznego badania zbrodni i kary, ale nauka ta jest umiejętnością samoistną, a nie częścią nauki prawa karnego.

Socyologiczne badanie zbrodni i kary może zatém i powinno stanowić odrębną, samoistnie,

(1) „Der Sociolog sucht die Lösung der allen sociologischen Untersuchungen gemeinsamen Aufgabe nämlich die Erforschung und Formulirung der Entwickelungs-Gesetze des menschlichen Zusammenlebens."

umiejętnie traktowaną gałąź socyologii ogólnéj. Taka nowa umiejętność zajmie ważne stanowisko w szeregu umiejętności socyalnych, ale z prawem karném połączoną ona być nie może; początkiem zaś, t. j. rdzeniem téj nowéj umiejętności jest polityka kryminalna.

Streszczając uwagi swe, podaje Sergiewski w końcu następującą definicyą umiejętności prawa karnego. Prawo karne jest nauką o zbrodni i karze (*die Wissenschaft vom Verbrechen und von der Strafe*); zadaniem onegoż jest: ułożenie w system, analiza i generalizowanie pojęć zbrodni i kary; materyałem jest: ustawa karna i jéj historya; treścią nauka o istocie zbrodni, o ustawie karnéj i nauka o karze; celem: być podręcznikiem do wydawania i należytego stosowania ustaw; opiera ono swoje zasady nie na absolutnych ideach i dogmatach czystego rozumu, lecz na zasadach przez inne umiejętności pozytywne stwierdzonych, jest zatém umiejętnością pozytywną.

Stanowisko Sergiewskiego różni się od stanowiska Liszta tém, że ten ostatni antropologią kryminalną, psychologią kryminalną i statystykę kryminalną, chce wciągnąć do prawa karnego, czego Sergiewski właśnie nie chce. Zbadanie zbrodni—powiada Liszt (w rozprawie: „*Der Zweckgedanke im Strafrecht*“, str. 47), jako zjawiska socyalno-etycznego, zbadanie kary jako funkcyi społecznéj musi być należycie uwzględnioném w obrębie umiejętności naszéj (*innerhalb unserer Wissenschaft*); że bowiem istnieją antropologia kryminalna, psychologia kryminalna i statystyka kryminalna, jako odrębne, mniéj lub więcéj zdala od prawa karnego istniejące nauki, jest dowodem ciężkiego zawinienia, ciążącego na umiejętnych reprezentantach prawa karnego. „Jedynie współdziałanie nauk tych z umiejętnością prawa karnego i pod jéj przewodnictwem — powiada Liszt — może przyczynić się do skutecznego zwalczenia świata zbrodni.“

W obronie metody historycznéj wystąpił wreszcie w najnowszych czasach prof. Löning w rozprawie programowéj „O historyczném i niehistoryczném traktowaniu prawa karnego“ (*Ueber geschichtliche und ungeschichtliche Behandlung des deutschen Strafrechtes, Antrittsrede gehalten zu Jena am 29/IV, 1882* — ogłoszona w czasopiśmie Liszta III, str. 220—375). W rozprawie téj wypowiada Löning metodzie filozoficznéj otwartą wojnę; a porzucając ją w zupełności, powiada wręcz, że spekulatywne traktowanie prawa karnego, usiłowanie uzasadnienia prawa *a priori*, z zasad rozumu, do niczego nie doprowadzi i winno być porzuconém (1).

---

(1) „Jede speculative Behandlung des Rechts, jeder Versuch den Inhalt oder die Principien des Rechts durch blosses Denken aus der subjectiven Vernunft heraus,—

Prawo—powiada Löning—jest nietylko czémś istniejącém, ale jest produktem historycznym *„ein gewordenes“*; zbadaném i poznaném być może tylko ze siebie, nie z poza siebie. Chcąc poznać idee i ducha prawa istniejącego, trzeba zaznajomić się z jego źródłem i powstaniem, z jego historyą. Wszak wiadomo, że w walce szkoły historycznéj z filozoficzną, która się w początku obecnego stulecia toczyła, metoda historyczna wyszła zwycięsko; jedna tylko gałąź umiejętności prawa została w tyle, w któréj walka ta bez śladu przeminęła, w któréj filozofia dotąd góruje, a tą zaniedbaną gałęzią umiejętności prawa jest nauka prawa karnego. Szkoła filozoficzna zamiast badać prawo obowiązujące, żyjące, chciała zastąpić je prawem nowém, idealném, wymarzoném przez filozofów, prawem istniejącém w subjektywnych tylko poglądach filozofów ale nie w rzeczywistości. Każdy kryminalista chciał, ażeby ustawodawstwo jego tylko poglądy i idee sobie przyswoiło, ażeby na jego teoryach nową ustawę karną oparto i to, co sobie każdy z nich w głowie wymarzył, nazwał on prawem karném, nie bacząc, że to mrzonki filozoficzne, a nie prawo obowiązujące.

Wyrazem tego najskrajniejszego kierunku filozoficznego w umiejętności prawa karnego były słowa Tittmana wypowiedziane w jego podręczniku prawa karnego (1): „umiejętność prawa karnego—powiada on—jest umiejętnością wyłącznie filozoficzną, gdyż ma za źródło jedynie prawo rozumu a prawo pozytywne jest jéj obce. Ogół zasad pozytywnego prawa karnego, tyczących się zabezpieczenia przez ustanowienie kar, przed naruszeniem porządku prawnego, stanowi tylko agregat nauki; słusznie przeto systematyczne przedstawienie zasad pozytywnego prawa karnego, nie zwie się umiejętnością, lecz prawoznawstwem *Strafgesetzkunde.*“

Charakterystycznym jest téż fakt podniesiony przez Löninga w rozprawie powyżéj zacytowanéj, że główny zastęp filozoficznych reformatorów prawa karnego w początkach bieżącego stulecia, składał się z młodych niedoświadczonych prawników i docentów prawa, którzy nie mając żadnego praktycznego doświadczenia, chcieli reformować ustawodawstwo kryminalne na podstawie wymarzonych niepraktycznych teoryi tak, iż słusznie już wówczas wystąpił przeciw tym dążeniom jeden z poważniejszych kryminalistów z wnioskiem

---

a priori zu ergründen, oder zu konstruiren ist vom Standpunkte der Rechtswissenschaft aus durchaus zu verwerfen.“

(1) Handbuch der Strafrechts-Wissenschaft und der deutschen Strafgesetzkunde wyd. 2-e r. 1828 str. 3.

by nie dopuścić do wykładu prawa nikogo, kto poprzednio nie poznał praktyki (1):

„Zwłaszcza w wykładzie akademickim prawa karnego—powiada Löning, w zakończeniu swéj obszernéj rozprawy, poświęconéj metodzie historycznéj,—należy na to zwrócić uwagę, aby prawo karne przyszłéj generacyi uczonych i praktyków przedstawić jako powstające, jako rozwijające się i jako wyjawiające swego ducha w tym właśnie powolnym rozwoju swoim, ażeby młody prawnik zawczasu nauczył się, ducha prawa szukać w niém samém a nie po za niém. Wykład prawa karnego nie ma być wprawdzie jedynie historyą onegoż, lecz ma przedstawić prawo dzisiejsze, tak co do ducha onegoż, jak co do szczegółów jako produkt historyi nie ma bowiem innéj umiejętności prawa karnego jak umiejętność istniejącego pozytywnego prawa—nie ma umiejętności prawa pozytywnego bez podstawy historycznéj.“

Zestawiając i streszczając powyższe uwagi rozróżnić zatém możemy obecnie cztery szkoły prawa karnego: 1) szkołę filozoficzną, badającą pojęcia przestępstwa i kary jakotéż zasady prawa karnego jedynie ze stanowiska metafizycznego tj. ze stanowiska apriorystycznego, skołę przenoszącą wywody prawno-filozoficzne z filozofii prawa do prawa pozytywnego i łączącą filozofią kryminalną z prawem w jednę (oczywiście nieorganiczną) całość. Do szkoły téj zaliczyć można z pośród głośniejszych kryminalistów dzisiejszych jedynie tylko jeszcze Bernera i Hälschnera. 2) Szkołę historyczną, która punkt ciężkości badania widzi w traktowaniu historyczném prawa karnego, a któréj reprezentantem jest Löning. 3) Szkołę pozytywno-praktyczną, reprezentowaną głównie przez Schützego Bindinga i Merkla, którzy prawo pozytywne uważają za główną podstawę wszelkich badań umiejętnych, a z niego wychodząc, na niém jedynie opierają umiejętność prawa karnego, z porzuceniem wszelkich badań metafizycznych. 4) Wreszcie szkołę socyologiczną reprezentowaną przez kryminalistów włoskich, a w literaturze niemieckiéj przez Liszta, który łączy badania socyologiczne z nauką prawa karnego i rozbiera pojęcia przestępstwa i kary ze stanowiska społecznego w związku z innemi zjawiskami społecznemi, poddając je prawom wspólnym.

Jeżeli w końcu mamy objawić zdanie własne o przedstawionych powyżéj szkołach, to musimy przedewszystkiém zauważyć, że

---

(1) „Dann würden wir gewiss—powiada—mit unbrauchbaren Theorien verschont werden und es würde den wirklich guten Köpfen unmöglich sein ihren Scharfsinn zu Parodoxieen zu missbrauchen“ (*Klein* Archiv IV 3. str. 3).

od szkoły filozoficznéj żadnego postępu nauki naszéj się nie spodziewamy, owszem podzielamy zdanie Schützego, Merkla, Bindinga, Liszta, Janki i wielu innych znakomitych kryminalistów nowszych, że szkoła filozoficzna w prawie karném dziś stwarza tylko chaos i niejasność. Nie chcemy twierdzić, iżby rozbiór filozoficzny pojęć zasadniczych prawa karnego był bezużyteczny, owszem do głębszego zrozumienia prawa karnego jest on pożądany a nawet potrzebny, ale miejsce dla niego nie w nauce prawa karnego, lecz w filozofii prawa. Podobnie jak filozofia prawa wyjaśnia nam i rozbiera zasadnicze instytucye prawa prywatnego, jak instytucyą własności, małżeństwa, prawa spadkowego i t. d., tak i ona wyjaśnić powinna zasadnicze pojęcia, przestępstwa i kary; ale tak, jak dziś żaden autor wykładu prawa cywilnego nie wciągnie w zakres swego wykładu wywodów prawno-filozoficznych o jego pojęciach zasadniczych, tak i w wykładzie prawa kryminalnego wywody te muszą być pominięte, bo inaczéj sprowadza to pomieszanie pojęć prawno-filozoficznych z pojęciami prawa pozytywnego, zamęt nauki ku szkodzie tak filozofii prawa karnego, jak i nauki prawa karnego pozytywnego. Zwłaszcza zaś niebezpieczném jest łączenie to wywodów filozoficznych z prawem pozytywném w wykładach uniwersyteckich prawa karnego, bo bałamuci młodego prawnika, który wobec takiéj metody przeocza granicę filozofii a prawa i nie umié rozróżnić pojęć filozoficznych przestępstwa i kary od pojęć prawa pozytywnego.

Wywody filozoficzne Kanta, Hegla, Stahla, Fichtego i innych filozofów o przestępstwie i karze są bardzo interesujące i niezaprzeczenie przyczyniły się do postępu nauki, ale nie w nauce prawa karnego jest dla nich miejsce. Filozofia prawa jest ich dziedziną, żaden téż z tych autorów nie pisał wykładu prawa karnego, lecz zamieścili oni słusznie wywody swoje w dziełach o filozofii prawa (1). Kryminaliści dopiéro popełnili błąd, łącząc i mieszając niewłaściwie filozofią z prawem; wyjęli oni niewłaściwie z filozofii prawa istotną jéj część o podstawie państwowego prawa karania, o bezprawiu cywilném i karném, o celu i zasadzie prawnéj kary i t. d. i przyczepili ją do wykładu prawa karnego, nadając mu przez to z góry kierunek fałszywy i błędny. Słusznie przeto powiada Schütze, że szkole filozoficznéj w prawie karném należy wypowiedzieć wojnę, by prawu karnemu dać możność rozwoju i postępu we własnéj dzie-

(1) W ostatnich latach zajął się rozbiorem pojęcia zbrodni także znakomity romanista Ihering, który jednak słuszne pogląd swój na zbrodnię zamieścił w dziele prawno-filozoficzném: „*Der Zweck im Recht.*“ Lipsk, 1877, str. 474—492.

dzinie—*suum cuique* (1). Wszak i Geyer, zwolennik szkoły filozoficznéj, przyznaje we wstępie filozoficznym do umiejętności prawa (2), „że umiejętność prawa słusznie zna tylko prawo pozytywne; filozofia zaś zająć się ma badaniem pojęcia prawa (3), t. j. tego, co nie jest prawem, lecz prawem być powinno.“ Jeżeli zaś nowsi filozofowie prawa pomijają rozbiór prawno-filozoficzny pojęć prawa karnego, to za to pokutować nie może nauka prawa karnego.

Historyczna daléj metoda badania jest wprawdzie bardzo potrzebną do poznania obecnych instytucyi prawa, które jak słusznie zauważył Löning, nie są pojęciami sztucznie—subiektywnie stworzonemi lub dowolnie wyrozumowanemi, lecz produktami pracy umysłowéj całych wieków i tylko jako rezultaty téj pracy, praktyki i ustawodawstwa zgłębione być mogą, jednakowoż metoda ta nie powinna stać się jednostronną, nie powinna, oglądając się wyłącznie na przeszłość, zapomnieć o teraźniejszości, o życiu.

Co się tycze szkoły socyologicznéj, to przyznać należy, że szkoła ta stworzyła nowe tory dla nauki prawa karnego, nadała nauce szerszy pogląd; widnokrąg nauki się rozszerzył, a pomijane dotąd znaczenie i doniosłość zbrodni, jako objawu społecznego, a kary, jako instytucyi socyalnéj, zyskują uznanie i uwzględnienie; jednakowoż ustrzedz się należy przesady. Stosunek socyologii kryminalnéj do prawa karnego skreślony tak, jak go przedstawia Sergiewski, jest w przekonaniu naszém najwłaściwszy, bo uwzględnia zarówno właściwość prawa, jak i socyologii.

Metoda pozytywno-praktyczna, reprezentowana przez Schützego, Bindinga, Merkla, z uwzględnieniem socyalnéj strony zbrodni i kary, wydaje się nam zatém metodą najodpowiedniejszą, jasną i prowadzącą do wszechstronnego zbadania i przedstawienia zagadnień nauki naszéj. Uważamy ją za najwłaściwszą dlatego, bo badając prawo obowiązujące, żyjące, ze stanowiska objawów życia, uwzględnia ona zarówno filozofią jak historyą, jak i socyologią, uznaje je bowiem za nauki ważne i potrzebne; nie chce tylko zezwolić na to, aby prawo karne było polem walki teoryi filozoficznych, lub polem eksperymentów teoryi socyalnych.

Nauka prawa karnego ma być umiejętnością pozytywno-samoistną; ma nam swoje zasady i pojęcia wyłożyć niezawiśle od teo-

---

(1) „Der Rechtsphilosophie das Ihre, aber dem positivem Rechte das Seine.“

(2) Philosophische Einleitung in die Rechtswissenschaft, w Encyklopedyi prawa Holtzendorfa I, str. 6.

(3) „Des Rechtsbegriffes.“ — Zobacz także Geyera: Geschichte und System der Rechtsphilosophie. Insbruck 1863, str. 5, — o stosunku filozofii prawa do prawa pozytywnego.

ryi filozoficznych, ma istnieć na własnych podstawach; rezultaty umiejętności innych, jak socyologii kryminalnéj, fizyologii, psychologii i statystyki kryminalnéj ma wprawdzie uwzględnić podobnie, jak uwzględniła dotąd wyniki medycyny sądowéj i psychiatryi, nie może się jednak wdawać w walki teoryi filozoficznych lub socyalnych, dotąd nierozegrane, ani téż brać udziału w sporach dotąd nie rozstrzygniętych. Jedynie wyniki pozytywne nauk innych mogą być zużytkowane w nauce prawa pozytywnéj, jaką jest umiejętność prawa karnego.

Prof. Dr. Józef Rosenblatt.





Anna z Krajewskich Nakwaska.

II.

W r. 1821 wyszły w Warszawie pierwsze powieści Nakwaskiéj we dwóch tomach po francusku napisane p. t. „*Trois nouvelles publiées par une Polonaise*“ i tom drugi p. t. „*Suite des trois nouvelles publiées par une Polonaise.*“ Odtąd głównie jako powieściopisarka miała ona zająć miejsce w naszéj literaturze.

Romansopisarstwo było u nas w owych czasach nader jeszcze ubogie. Z dawniejszych nieco czasów posiadaliśmy satyryczno-dydaktyczne utwory Krasickiego, tudzież polityczne broszury w formie romansów Jezierskiego i Krajewskiego. W ostatnich latach przybyła do tego „Malwina“ (1816), powitana jako pierwszy właściwy romans polski, bo jéj przedmiotem była tylko historya dwóch kochających się serc, a bezpośrednio przed Nakwaską w r. 1820 wystąpił późniejszy autor „Pojaty“, Bernatowicz ze swoją również sentymentalną powieścią: „Nierozsądne śluby“, która podobnie jak „Malwina“ z zapałem przez publiczność została przyjęta. Pierwszy, bujniejszy nieco rozkwit powieściopisarstwa naszego, mianowicie w rodzaju historycznym, w którym wcale zaszczytnie zapisały się imiona Niemcewicza, Bernatowicza, Bronikowskiego, Skarbka i Wężyka, przypada dopiero w kilka lat później, mianowicie głównie na czas między 1824 a 1830 rokiem.

Nakwaskiéj pierwszy pochop do pisania powieści dała bezwątpienia „Malwina“. Książka ta, takiém powodzeniem uwieńczona a napisana przez kobietę, dała jéj zapewne przykład i ośmieliła ją do zużytkowania swych umysłowych zdolności na tém polu. Tém godniejszą uwagi jest rzeczą, że Nakwaska nie stała się naśladowczynią swojego

wzoru, i że zaraz w pierwszych swoich powieściach poszła odmiennym i pewne cechy oryginalności mającym torem. Z sześciu powieści składających dwa tomy tych „Nouvelles“, trzy są na tle dawniejszéj przeszłości osnute, trzy zaś wzięte z czasów współczesnych i, chociaż autorka nie o wszystkich to wyraźnie powiada, bezwątpienia wszystkie z rzeczywistych wydarzeń. Już sama ta okoliczność daje nam do poznania, że w twórczości Nakwaskiéj znajdziemy pewien rys realny i skłonność do opierania się na rzeczywistości, czy to historycznéj, czy téż własném doświadczeniem obserwowanéj. Również możemy i to także jako pewną jéj zasługę i cechę charakterystyczną podnieść, że ona pierwsza, chociaż w szczupłych rozmiarach tworzyła historyczne powieści. W literaturze własnéj nie miała do tego żadnego przykładu; jak wspomnieliśmy wyżéj, początkowi twórcy tego rodzaju powieści a naśladowcy Walter-Scotta zjawili się dopiero nieco późniéj. Tylko francuskie romanse historyczne a następnie i Walter-Scott, znany przez nią w przekładach francuskich, mogły na nią w tym kierunku działać.

Pierwsza z tych historycznych powieści ma tytuł: „Odkrycie wód mineralnych w Krynicy albo August i Halina.“ Rzecz dzieje się w pierwszych latach panowania Zygmunta Augusta. Bohater powieści młody August jest synem dumnego magnata Sowińskiego osiadłego na starożytnym zamku Nowajowa niedaleko Nowego Sącza, Halina zaś córką starosty Grybowskiego, który w chwili, kiedy powieść się zaczyna, ukrywa się nikomu nieznany w lasach Karpackich przed prześladowaniem (?) królowy Bony, nienawidzącéj go jako stronnika i przyjaciela Barbary Radziwiłłówny. August poznaje Halinę w stroju wieśniaczki i jest tego mniemania, że ona należy do stanu, którego suknię przywdziała. Mimo to zajął się żywo piękną dziewczyną, która nawzajem prawdziwą i gorącą miłość dla niego powzięła. Ale młody panek, na którego nauki i przykład jego ojca także działały, nie miał szlachetnych dla Haliny zamiarów; przestał się z nią widywać, zapomniał o niéj, i niedługo zaczął się starać o rękę bogatéj dziedziczki z sąsiedniego Szymbarku. W tém nastąpiła nagle zmiana sytuacyi. Królowa Bona wyjechała z Polski, Zygmunt August powołał starego ojca Haliny do swego boku i przez wdzięczność za jego poświęcenie się dla Barbary mianował go kanclerzem Litewskim. August Sowiński poznawszy prawdziwy stan swéj kochanki, nawraca się do niéj co prędzéj i ofiaruje jéj rękę. Ale zapóźno i napróżno. Halina odmawia jego prośbie, i czując, że drugi raz w życiu nie pokocha już nikogo, wstępuje do klasztoru.

Z tą historyą nieszczęśliwéj miłości Haliny połączona jest także ściśle powieść, być może iż oparta na jakiéj miejscowéj legendzie,

o odkryciu leczniczych źródeł Krynicy. Ojciec Haliny był bowiem pierwszym, który na zbawiennych skutkach téj wody się poznał, i dla niego to nosiła ją Halina ze źródła, i w dzikiéj ustroni podtrzymywała nią zwątlałe jego zdrowie, a potém gdy pewnego razu i August w niebezpieczną wpadł chorobę, tą kryniczną wodą, którą przynosiła mu do zamku, od niechybnéj śmierci go ocaliła. On jednak niewdzięczny, jak wiemy, w dumie swojéj i o tém zapomniał, że winien jéj był życie.

Na podaniu zawartém w jakiejś staréj książce, którą znalazła między papierami familijnemi, oparła Nakwaska drugą z tych powieści historycznych: „Evrard de Felkersamb albo rycerz Zakonu Niemieckiego, fragment ze staréj kroniki.“ Czy w istocie takie podanie znalazła w jakiem starem *Silva rerum*, czy téż jest ono jéj wymysłem, tego nie wiemy; z powieści saméj dowiadujemy się jednak, że ta legenda odnosi się do pierwszych przodków tych rodzin polskich, które herbem Prus się pieczętowały, a do których także i rodzina Nakwaskich należała (1).

Tymi protoplastami Prusów mieli być ów bohater powieści Evrard de Felkersamb i jego przyjaciel Otton de Rotenstein, obaj rycerze zakonu Niemieckiego. Jakim sposobem się to stało, że ci dwaj Krzyżacy przenieśli się do Polski i byli założycielami polskich rodów, to właśnie stanowi treść niniejszéj powieści.

Rzecz dzieje się w końcu XIV wieku, w czasie kiedy Jadwiga wstępuje na tron a potém rękę oddaje Jagielle. Dwudziestopięcioletni rycerz Evrard, poważnego i surowego usposobienia, dla którego kochanką była dotąd jedynie jego włócznia, spostrzega w Marienburgu w czasie pewnéj kościelnéj uroczystości piękną dziewicę, któréj nazwisko i stan dla wszystkich są nie znane. Niedługo potém toż samo urocze zjawisko pojawia mu się w chacie wieśniaczéj po za miastem, co jeszcze bardziéj gmatwa jego wyobrażenia o pięknéj nieznajoméj, któréj rysy od pierwszego widoku głęboko w jego sercu utkwiły. Rok cały upłynął, Evrard choć pozbawiony wszelkiéj nadziei, pozostał wierny swemu ideałowi. Nareszcie po roku, przy podobnéjże uroczystości kościelnéj zobaczył znowu swoję nieznajomą i poznał osłaniającą ją dotąd tajemnicę. Piękna dziewica była córką bogatéj dziedziczki Maryi de Schönau, która niegdyś gdy mąż jéj Rudolf wybierał się na srogą wojnę z Litwinami, ażeby ubłagać u Boga szczęśliwy jego powrót, uczyniła ślub, że przez szesnaście lat

(1) Może jedynem jéj źródłem historycznem było kilkanaście słów Długosza powtórzonych w Herbarzu Paprockiego: „Prutenorum antiquorum genus ex tribus principibus, qui in Poloniam ex Prussia facinore commisso fugientes propagaverunt.“

nie będzie widziała swojéj córki i zdaleka od siebie w chacie wieśniaczéj chować ją będzie. Szesnaście lat upłynęło teraz właśnie i biedna matka mogła już wziąć swoję Annę do rodzinnego zamku. Pomimo jéj poświęcenia jednak mąż nie wrócił z owéj wyprawy. Żaden z towarzyszy nie umiał powiedziéć, co się z nim stało, nikt nie wiedział, żeby zginął, ale nikt także, gdzieby się mógł obracać. Zapewne żył jeszcze gdzieś, i mógł być powrócony stroskanéj żonie i córce. Evrard, który zaproszony razem z wielkim mistrzem i swym przyjacielem Ottonem na zamek pani z Schönau, słyszał to opowiadanie, postanowił odszukać straconego jéj męża w nadziei, że jeśli poświęci się dla matki, będzie to najpewniejsza droga do serca pięknéj Anny. Za dwa lata przyrzekł im powrócić z Rudolfem albo nie wrócić wcale. Na odjezdném, na pamiątkę i zadatek wdzięczności otrzymał od Anny wrzeciono z drzewa cedrowego oprawne w złoto, które niegdyś Rudolf ofiarował był swojéj żonie.

Jak prawdziwy rycerz błędny, udał się Evrard na Litwę. Nim dotarł do Wilna, w głębi pewnego święconego gaju zobaczył opustoszałą wieżę, która niezwykłą swą powierzchownością zwróciła jego uwagę na siebie. Stary jeden Litwin objaśnił go, że było to niegdyś mieszkanie księżniczki Zimmy, krewnéj w. księcia Jagiełły, która tu wśród lasów, jak Amazonka lub mitologiczna Diana, przepędzała czas na ściganiu dzikiego zwierza. W wnętrzu tajemniczéj wieży przerażający widok uderzył jego oczy; u stóp ołtarza leżał trup okryty szczątkami bogatego stroju, a dokoła niego roiły się kłęby wężów. Ze zgrozą opuścił to miejsce uniosłszy z niego perłowy naramiennik, który tam leżał na ziemi wraz z wielu innemi kosztownościami i złotemi ozdobami. Poszukiwania jego na Litwie były nadaremne pomimo pomocy udzielonéj mu przez Jagiełłę, razem więc z tym księciem wybrał się smutny i zrozpaczony do Krakowa, dokąd Jagiełło właśnie jechał na swój ślub z Jadwigą. Evrard przytomny był wspaniałym uroczystościom zaślubin i koronacyi nowego króla, w czasie czego niespodziewanie spotkał w Krakowie i swojego przyjaciela Ottona, który choć w Marienburgu wzdychał do pięknéj Anny, tutaj czuł się znów oczarowany wdziękami nadobnych Polek. Po skończeniu uroczystości razem z księciem Mazowieckim Ziemowitem, który podobnie jak Evrard nie otrzymawszy upragnionéj ręki Jadwigi, ciężką miał ranę na sercu, a z którym nasz rycerz w Krakowie się poznał i przez podobieństwo usposobienia i losów prędko zaprzyjaźnił, wybrał się w drogę z powrotem, nie wiedząc, jak w Marienburgu spojrzy w oczy Annie i jéj matce, skoro danego im przyrzeczenia nie dotrzymał i bez Rudolfa powraca. Już niedaleko Płocka, siedziby Ziemowita, nagła burza zmusiła naszych podróżnych zatrzymać

się na noc w klasztorze Czerwińskim. Evrard dostał nocleg w celi jednego z zakonników i gdy zdejmując suknie podróżne i zbroję, wyjął z zanadrza cedrowe wrzeciono Anny i naramiennik znaleziony w wieży Zimmy, zakonnik spostrzegłszy te przedmioty z krzykiem i wzruszeniem wielkiém zapytał go, skąd przyszedł do ich posiadania. Evrard objaśnił go i nawzajem wkrótce się dowiedział, że ten mnich jest właśnie szukanym przez niego Rudolfem. Nie zginął on na wojnie ani nie dostał się do niewoli, lecz na Litwie zatrzymały go wdzięki owéj leśnéj amazonki, księżniczki Zimmy. Dla niéj zapomniał o żonie i zaślepiony namiętnością, którą dzika piękność i wyrachowany opór Litwinki w nim do szaleństwa podniecały, odprzysiągł się nawet wiary swych ojców. Straszne dopiero i cudowne wydarzenie wybawiły go z jéj rąk. Gdy Zimma zamierzała właśnie przed ołtarzem na swojéj wieży krwawą ofiarę z niewinnego dziecka złożyć pogańskiemu bóstwu, zerwała się okropna burza, padł piorun, zdruzgotał bałwana i zniszczył kamienne schody dokoła niego, z pod których w jednéj chwili niezliczone mnóstwo żmij i wężów rzuciło się na Zimmę. Od ich ukąszeń zginęła dzika księżniczka, Rudolf uciekł z tego miejsca szczęśliwie i pokutując za swoje grzechy i błędy, wstąpił do klasztoru, w którym go teraz Evrard znalazł. Nakłoniony przez Evrarda do powrotu do żony i uwolniony przez przełożonego od ślubów, ruszył niebawem w drogę z uszczęśliwionym tym wypadkiem rycerzem.

Ale nie tu jeszcze koniec historyi. Stary wielki-mistrz, pod którego opieką były pani z Schönau i jéj córka, umarł, a następca jego zapłonął ogniem nieprawéj miłości do pięknéj jeszcze matki. Napotkawszy z jéj strony na opór i pogardę, uwięził obie kobiety w podziemiach Marienburskiego zamku. O tém wszystkiém dowiedzieli się nasi podróżni od Ottona, który jeszcze przed bramami Marienburga ich spotkał. On także podał im plan, jakby nieszczęśliwe niewolnice z więzienia uwolnić, plan wywołujący bezwątpienia w powieści wielce melodramatyczny efekt a polegający na tém, że Otton udał chorobę, potém śmierć, i jako nieboszczyk dał się zanieść w trumnie do katakumby sąsiadującéj z więzieniem Anny i jéj matki. Z jakąż grozą i przestrachem zobaczyły biedne kobiety, które tylko kratą od grobowca były przedzielone, że rycerz, którego pochowano, nagle blady ze zmęczenia i wzruszeń z trumny się podnosi. Przestrach nie trwał jednak długo. Otton wytłómaczył im o co chodzi, przepiłował kratę i uprowadził je szczęśliwie na miejsce, gdzie ich czekali Evrard i Rudolf. Aby zejść zemsty wielkiego-mistrza, musieli wszyscy opuścić kraj jego władzy podległy i przenieśli się na Mazowsze, gdzie książę Ziemowit z otwartemi ramionami ich przyjął.

Skoro i Otto ożenił się tutaj niedługo z piękną jakąś Mazurką, powstały dwie nowe rodziny polskie, które na pamiątkę swego pochodzenia przybrały przezwisko Prusów.

Treści, nadzwyczajnych wydarzeń, pewnego zaciekawiającego powikłania i rozmaitości, jak widzimy, podostatkiem jest w téj powieści. Nakwaska, podając to wszystko czytelnikowi w zwięzłém opowiadaniu, bez udramatyzowania rzeczy, bez plastycznego przedstawienia, bez dyalogów, charakteryzujących osoby i malujących nawet drobniejsze szczegóły wydarzeń, w sześćdziesięciu kartkach całą powieść zamknęła. Dzisiejszy jaki romansopisarz, zwłaszcza z bujniejszą od Nakwaskiéj fantazyą i z większa znajomością przeszłości, niż ona ją miéć mogła, z tegoż samego materyału byłby w stanie bez wielkiéj trudności kilka sporych tomów napisać. Rzecz sama w zdolnych rękach na tém wykończeniu i rozszerzeniu ram niewątpliwieby nie mało zyskała, podczas gdy z pod pióra Nakwaskiéj wychodzi dosyć blado, bez silniejszego kolorytu i bez wzruszających efektów. Na pochwałę jéj można jednak powiedziéć, że oprócz dość ruchliwéj wyobraźni, znajdujemy w jéj powieści kilka udatnych obrazków z natury (jak np. opis Krakowa) i pewne usiłowania do nadania postaciom rysów charakterystycznych. Choć słabo i szkicowo pokazuje się to szczególnie na figurach Evrarda i Ottona, z których pierwszy miał być wzorem niezłomnego i wiernego zawsze swemu ideałowi kochanka, a drugi poczciwym w gruncie, ale i roztrzepanym lekkoduchem, zapalającym się od każdego niewieściego spojrzenia, jakotéż na postaci Zimmy, która w istocie ma coś w sobie, co przypomina owe straszne piękności, kruszące u swoich stóp cnotę i szlachetność męską.

„Elżbieta Kazanowska“ jest trzeciém wreszcie z tych historycznych opowiadań i składa się właściwie z dwóch powieści wsuniętych jedna w drugą. Młoda hrabina Opalińska niedługo po swém zamążpójściu przenosi się z mężem do Warszawy, staje się tam celem zabiegów króla Stanisława Augusta, i dochodzi do téj krytycznéj chwili, gdzie słabość jéj ma już uledz gorącym zapałom ukoronowanego wielbiciela. Wtedy przypomina sobie, że matka jéj na podarek ślubny dała jej jakiś stary rękopis, który przez kilka pokoleń przechodził w rodzinie z rąk do rąk, z tém upomnieniem, ażeby otworzyła go, kiedy znajdzie się w położeniu trudném i wątpliwém, a zaczerpnie z niego dla siebie naukę i przestrogę. Rękopis ów zawierał w sobie historyą znanéj z dziejów Elżbiety Kazanowskiéj, późniejszéj żony Hieronima Radziejowskiego, i opowiadał, jak Elżbieta przez to, że pokochała króla, ściągnęła na siebie wielkie nieszczęścia, a na kraj cały straszną wojnę. Morał, jaki młoda Opalińska wyciągnęła

sobie z téj historyi, ubarwionéj w opowiadaniu Nakwaskiéj różnemi romantycznemi wydarzeniami i sentymentalnemi uczuciami, podziałał na nią skutecznie i zbawiennie; usunęła się od dworu z Warszawy i w ciszy wiejskiéj, przy boku męża znalazła spokój i to zadowolnienie, że zwyciężyła w sobie niebezpieczną namiętność.

Romans Jana Kazimierza z Radziejowską wygląda w téj powieści rzeczywiście idealniéj, niż był nim naprawdę, a sentymentalno-rycerskie i podniosłe uczucia odgrywają w nim najważniejszą rolę. Pomimo to, tak w téj, jak w innych powieściach Nakwaskiéj nie mamy wcale tego nadmiaru sentymentalności, jaki był wówczas w modzie i w zagranicznéj literaturze i w naszéj np. w Malwinie silnie wystąpił. Wzdychających bez końca kochanków i powierzających księżycowi swoje żale kochanek Nakwaska nie ma wcale. Zbliża się ona przez to do natury i prawdy, patrzy na świat trzeźwo, a czasem chłodno, tak, że nawet i pesymistyczne albo ujemne więcéj rysy nie są obce jéj pióru. Taki August Sowiński z pierwszéj powieści jest najzupełniejszym kontrastem ulubionego wówczas romansowego bohatera: nie kocha on naprawdę dziewczyny, która mu się podoba, bez żadnego względu poświęca ją dla rachuby i stanowiska i gotów powrócić do niéj, skoro w niéj poznał bogatą dziedziczkę. Otto Rotenstein znowu to także całkiém zwykły charakter, nie bawiący się w górnolotne sentymenta; choć ma lepsze serce od Augusta, ale płoche i zmienne, szukające co chwila świeżych dla siebie przedmiotów.

Takich rysów prawdziwych w charakterach i w poglądach na życie społeczne znajdziemy, jak z natury rzeczy wynika, jeszcze więcéj w powieściach ze współczesnéj epoki i z rzeczywistych wydarzeń przez Nakwaską branych. Co więcéj, można powiedzieć, że znajdziemy postacie całe, którym brak tylko dostatecznego wykończenia i pogłębienia, ażeby urosły do wysokości typów. Wcale dobrym szkicem takiéj postaci jest np. pan Gatignac w powiastce „Żyd Abraham albo jeden dzień z podróży pana Gatignaca.“ Jest-to dawny kapitan gwardyi Ludwika XVI, „*bel esprit*“ przytém i emigrant, jeden z tych emigrantów, jakich skoro mogła Nakwaska widzieć w Warszawie za czasów pruskich i z jakich zapewne i tę postać skopiowała. Patrząc na wszystko powierzchownie, jak lekkomyślny Francuz, a przytem zarozumiały ze swéj narodowości i wysokiéj cywilizacyi, wszystkie inne narody uznawał za dzikich barbarzyńców, i z pojedyńczych wypadków wysnuwał ogólne a zawsze dla nich niekorzystne poglądy i wnioski. Wracając z Rosyi do ojczyzny w r. 1816 w przejeździe przez Polskę zajechał pewnego razu do domu pana Mileskiego. Jakże się zdziwił i zgorszył, gdy w czasie

obiadu wszedł niespodzianie do sali stary żyd, z długą, strzępiastą brodą, w zużytych sukniach i pozdrowiwszy poufale obecnych, zasiadł przy stojącym obok stoliku, na który mu wszystkie potrawy z obiadu kolejno podawano. Pan Gatignac nie mógł zrozumiéć, dlaczego się to dzieje, lecz mimo to, ponieważ na nieszczęście zwykł był swoje spostrzeżenia nad ludźmi i krajami zapisywać, ażeby potém niemi swoich ziomków o stanie barbarzyńskich narodów oświecać, nie omieszkał i tym razem zapisać w swoim pamiętniku, że „w tym kraju tak pełno jest żydów, że obywatele muszą ich do swego stołu przyjmować.“ Gospodarz wytłómaczył mu, dlaczego się tak dzieje, że ten stary żyd Abraham, gdy Mileski był biédny i w ostatecznéj potrzebie, dopomógł mu radą i czynem; że z dalekiéj Litwy, gdy bez grosza i chory powracał do majątku ojczystego, który krewni, jako schedę po zaginionym gdzieś bez śladu nieboszczyku, mieli nadzieję między siebie rozgrabić, na własnym wózku przywiózł go do rodzinnego domu, i potém w nagrodę swoich usług nic nie chciał przyjąć i nic nie żądał, tylko tego, ażeby z nim żył zawsze tak po przyjacielsku, jak podczas téj podróży, którą razem odbywali. Pan Gatignac wysłuchał tego wszystkiego, przyznał, że to historya bardzo ciekawa, ale zarazem oświadczył, że jego uwaga o mnogości żydów i dziwnym obyczaju polskim, ponieważ ją już raz napisał, w jego pamiętniku pozostanie....

Albo ten sympatyczny żyd Abraham, poświęcający się, bezinteresowny, pragnący tylko moralnéj nagrody w przyjacielskim postępowaniu człowieka z wyższéj klasy, która widać była potrzebą dla jego szlachetnego umysłu, czyż to nie oryginalny i świeży bardzo na owe czasy pomysł, może po raz pierwszy pod piórem Nakwaskiéj w naszéj literaturze się pojawiający? Wreszcie i sam pan Mileski, po śmierci ojca zawieziony przez matkę, Francuskę z rodu, kiedy powtórnie poszła za mąż za jenerała rosyjskiego, w dalekie strony Rosyi, pozbawiony prawie majątku, który równocześnie przeszedł pod panowanie pruskie, oddany do wojska i z pułkiem swoim posyłany raz w stepy Orenburskie, to znów na Kaukaz, to także wierna podobizna częstych oryginałów w tych czasach katastrof politycznych i nieszczęść ogólnych, które rzucały ludźmi na drugie krańce świata i z majętnych obywateli robiły nędzarzy bez kawałka chleba.

W téj saméj epoce, na tle wojen napoleońskich w Hiszpanii i w Rosyi, rozgrywa się także rzecz powiastki: „Isaurina i Kazimiera.“ Walka dwóch serc kobiecych o miłość mężczyzny jest tu jednak głównym tematem. Oba te serca poświęcają się dla młodego oficera Tadeusza, każde na swój sposób. Hiszpanka Isaurina, dziecko

natury, jak większa część jéj rodaczek, namiętna i kochająca do szału, uwalnia go od pewnéj śmierci, gdy jako jeniec wojenny wpadł w ręce Hiszpanów, wyrzekając się całéj rodziny, idzie za niego, bez żalu porzuca z nim swą ojczyznę i w obce przenosi się strony, towarzyszy mu na straszną i srogą wojnę w Rosyi, narażając się na głód, mrozy i śmierć każdéj chwili, cierpi przy tém wszystkiém potajemnie, widząc, że nad sercem ukochanego nie zdoła samowładnie zapanować z braku tych przymiotów, które daje staranne wychowanie i właściwa kobietom delikatność uczuć, i umiera wreszcie zgnębiona moralnemi i fizycznemi cierpieniami. Jéj rywalka, Polka, Kazimiera, przy któréj w końcu zostaje zwycięstwo, bo po śmierci Isauriny poślubia Tadeusza, walczy z nią szlachetną jedynie bronią, bo większém może jeszcze cichem poświęceniem. Zapomina urazy do Tadeusza, który będąc wprzódy jéj narzeczonym, wprawdzie wskutek nieporozumienia spowodowanego przez trzecie osoby, żeni się mimo to z Hiszpanką, staje się najlepszą przyjaciółką jego i jéj żony, opiekuje się nią na każdym kroku, uzupełnia jéj wykształcenie i rozwija jéj talenta, ażeby mogła stanąć na równi z innemi kobiétami tego stanu, do którego jéj mąż należał i przez to więcéj jego serce sobie zjednała, czuwa nad nią i nad jéj małém dzieckiem przez wysłanych ludzi w czasie téj strasznéj kampanii, na którą się Isaurina niebacznie rzuciła, i przez te starania ratuje w istocie od śmierci. Wszystko to czyni, żywiąc ciągle w duszy równą miłość do Tadeusza, bez nadziei, ażeby kiedyś mogła do niego należéć, i owszem robiąc zawsze tak, aby go jak najsilniéj do żony przykuć i oboje dla siebie jak najdłużéj utrzymać.

Charakterystyczną to jest rzeczą dla talentu Nakwaskiéj i dla jéj sposobu patrzenia na świat, że z tego przedmiotu tak wielkich poświęceń nie zrobiła bynajmniéj bohatera będącego zbiorem wszelkich doskonałości. Tadeusz jest dobrym i walecznym żołnierzem— to jego najlepszy a może i jedyny przymiot. Zresztą to, o co w tym człowieku obu kobiétom najwięcéj chodziło, dlaczego się poświęcały z duszą i ciałem, jego serce jedném słowem, nie było ani lepsze, ani gorsze od ogółu serc ówczesnych zalotnych, a przytém wcale chłodno na miłość zapatrujących się młodzieńców. „Tadeusz Dareski (powiada autorka) na miłość, związki małżeńskie i zjednoczenie się serc zapatrywał się, jak największa część młodych ludzi dziewiętnastego wieku. Pierwszą uważał za rozrywkę zdolną wypełnić wolne chwile żołnierza, który nie powinienby nigdy doznawać ani zawodu, ani odmowy; sądził, że człowiek dobrze urodzony winien był to swojemu nazwisku i swéj rodzinie, ażeby połączyć swój los z losem kobiéty, któréj stan, urodzenie i posag przyczyniałyby się do pod-

niesienia jego stanowiska w świecie i majątku; co się tyczy zjednoczenia serc, w to nie wierzył, a słowa: uczucie, wierność, albo stałość były dla niego wyrażeniami bez znaczenia i pożytku.“ Lekkomyślnie porzuciwszy dawną narzeczoną, bez głębszego przekonania i istotnéj miłości poślubiwszy drugą kobiétę, człowiek ten skazał obie na bolesne przejścia i rozliczne cierpienia, lgnąc więcéj raz do jednéj, drugi raz do drugiéj, i sam przytém nic głębiéj nie czując, zachowując się wobec ich cierpień prawie biernie i apatycznie. Historye takie i w podobny sposób często się powtarzają; zasługą jest powieściopisarza, jeżeli z rzeczywistości zdoła pochwycić prawdę.

Innym znowu typem téj saméj epoki i z tych, któreśmy dotychczas poznali, najlepiéj przez autorkę wykończonym jest bohater ostatniéj już z tego zbioru powieści p. t. „Stanisław albo dziwak poprawiony.“ Potomek możnéj rodziny Orańskich wychował on się w tych nieszczęśliwych czasach, kiedy po upadku kraju „utraciwszy nadzieję pojawienia się znowu kiedy na wielkiéj widowni świata, znakomite i bogate rodziny myślały tylko o tém, ażeby dzieci swoje przygotować do zajęcia świetnego w towarzystwie stanowiska; wtedy to przyjęto powszechnie naukę obcych języków za podstawę powierzchownego i błyszczącego na pozór wychowania; wtedy to ujrzano te roje młodych lekkoduchów bez zajęcia zapełniających Warszawę swojém próżniactwem i zbytkami.“ Zgodnie z duchem czasu i panującym zwyczajem i naszego bohatera „prawie od urodzenia otoczono zagranicznymi nauczycielami; mówił on kilkoma językami, tylko swój własny był mu prawie nieznany; zawsze odkładano u niego naukę języka polskiego aż do czasu, kiedy już nabędzie doskonałéj wymowy w innych językach, których się uczył.“ Młody Stanisław, u którego ten kierunek wykształcenia popierała szczególnie matka, ślepa niewolnica mody i zwyczajów wielkiego świata, sądził téż, „że dosyć umiéć po polsku, jeżeli w tym języku zdolnym jest ułożyć kilka słów, ażeby ojca prosić o pieniądze na swoje małe przyjemności.“ Dla dokończenia téj edukacyi, mającéj mu zapewnić świetne stanowisko w świecie, wysłano go na uniwersytet za granicę, a że to były właśnie tak zwane „pruskie czasy“ i niemczyzna wszędzie była górą, wybrano na to uniwersytet w Jenie. Po paru latach pobytu powrócił Stanisław do oczekujących tego dnia z upragnieniem rodziców, ale nie takim, jakim go powitać pragnęli ojciec albo matka—nie Polakiem i nie zfrancuziałym trochę paniczem, tylko szorstkim i rubasznym burszem niemieckim, który w knajpie między kolegami zapomniał o ojczyźnie i nauczył się pogardy dla wszystkiego, co mu ją przypominało. Już sam jego dziwny i przesadny burszowski kostyum raził oczy jego rodziców; gorzéj

jeszcze zostało dotknięte ich serce, gdy na ich gorące uściski odpowiedział sztywném i chłodném powitaniem, jakby dla zadosyć uczynienia jedynie formalności. Rozmowa przy suto zastawionym stole szła leniwo i ociężale, choć ze Stanisławem siedzieli utęsknieni rodzice i między innymi na ten uroczysty dzień zaproszonymi gośćmi, także młodziutka, śliczna Łucya, przeznaczona mu przez nich, choć dotąd jeszcze nie głośno, za przyszłą żonę. Uczucia rodzinne i narodowe w nim wystygły, umysł zrobił się ciężkim i pedanckim, a serce nie zdolne zabić żywiéj na widok choćby takich wdzięków. „Zapalony wielbiciel Kanta i jego nauki, znajdował przyjemność tylko w towarzystwie takich, którzy, jak on, mogli prowadzić dysputy na ten temat. Jakiś wstręt i szczególna obawa przed kobiétami z klasy nieco wyższéj, zupełna pogarda dla przedmiotów, które stanowiły ich rozmowę, nadawały tym kilku słowom, które widział się zmuszonym do nich czasem zwrócić, jakiś pozór zakłopotania, lekceważenia lub wyższości.“ Dystyngowane towarzystwo kobiece dla niego było za nudne i za wiele kosztujące przymusu — milczący i w złym humorze siedział tam, gdzie mu powinno było być tak dobrze i wesoło. Nie dziw, że rodzice widząc to, posmutnieli, a Łucya zaczęła patrzyć na niego jak na raroga. Nakoniec tego przymusu było mu za wiele. Z zimną krwią wyjął z poza buta swoję fajkę, zapalił ją, i zbliżając się po raz pierwszy do młodéj panienki, krzykliwym głosem, bo zniecierpliwiony, odezwał się do niéj, czy nie ma jakiego kuzyna lub znajomego, z którym mógłby się bić, bo już całe ośm dni się nie bił, a przywiózł z sobą znakomite rapiry. Na taką apostrofę, Łucya przelękła się, rzuciła robótkę i mówiąc do siebie: Ależ on szalony, ten kochany kuzynek, — wybiegła za matką i w téj chwili z nią odjechała.

Podobne sceny częściéj i przy innych gościach się powtarzały, tak, że wkrótce przyjęła się w całéj okolicy nazwa, którą pierwsza Łucya Stanisławowi nadała: niemiecki filozof. Ale on z tego nic sobie nie robił, owszem, jakby szukał sposobności imponowania ludziom swoją wyższością i drażnienia ich arogancyą. „Z lekceważeniem mówił o rolnictwie, praktykowaném w Polsce przed najpierwszym agronomem z całéj okolicy; z pogardą o teatrze warszawskim, którego nigdy nie widział, przed paniami, unoszącemi się nad nim bez końca; a kiedy nakoniec zaczął cytować Kanta, Fichtego i Jacobiego, jako największych ludzi, których ten wiek wydał“, to tego było już za wiele sąsiadom jego ojca, którzy nie znali w tym czasie większych ludzi nad wojowników walczących właśnie z Napoleonem w Egipcie, i dla samego ojca Stanisława, „któremu duma narodowa

nie pozwalała żadnego wielkiego człowieka stawiać wyżéj nad nieśmiertelnego Kościuszkę.“

Takim, jakim był, nie mógł przeto Stanisław pozostać; potrzeba go było przerobić, i w tym celu, obierając znowu drogę niestosowną, posłano go do Paryża. Tam „niedługo niezgrabny i sztywny student niemiecki przeobraził się w cudacznego Paryżanina, tak samo nienaturalnego, a może jeszcze śmieszniejszego.“ Ze wspomnieniami kilku łatwych zdobyczy buduarowych powrócił Stanisław z Francyi i wszedł jako nader pożądana osobistość, w wielki świat warszawski. W Warszawie w najlepsze kwitnęły jeszcze wtedy owe błogie czasy pruskie, gdzie to „nie myślano o niczém inném tylko, jakby sobie upiększyć życie, naśladując o ile się dało zbytek, zabawy i zwyczaje cudzoziemskie.“ Pierwszą gwiazdą na tamtejszym horyzoncie była właśnie owa niedoszła niegdyś narzeczona Stanisława, Łucya, która tymczasem weszła w konwenansowe małżeństwo z bogatym hrabią Robertem. Stanisław zwrócił do niéj swe zabiegi i oni, co niegdyś tak obojętnie, z wzajemném dla siebie lekceważeniem się z sobą rozeszli, teraz przez próżność, gdy ona, jako pierwsza elegantka, błyszczała po salonach, a on, jako czystéj wody Paryżanin, na rękach przez podobnych sobie był noszony, zbliżyli się ku sobie i w ścisłe, bardzo ścisłe weszli z sobą związki. Zaczęło się dla obojga szczęśliwe życie, lekkie, rozkoszne, którego zabawy i najwymyślniejsze rozrywki jedyną były treścią. Hrabia Robert jednak, który zdawał się nic nie widziéć i nie wiedziéć, spostrzegł, co się dzieje koło niego, i podał się o rozwód. Stanisławowi należało ofiarować teraz swoję rękę Łucyi, ale tego bynajmniéj on sobie nie życzył. Delikatnie rozplątał węzły łączące go z nią, a Łucya nie rozpaczając długo, wyszła wkrótce za mąż za jednego z generałów francuskich.

Właśnie w tym czasie zaszła wielka zmiana w losach kraju: miejsce Prusaków zajęli w Warszawie Francuzi. Wszystko, co żyło, zelektryzowane nowemi nadziejami rzuciło się pod sztandary lub do służby cywilnéj. Stanisław, który nigdy nie miał pojęcia, co to jest patryotyzm, i młodość spędził na romansach i uciechach, który nie wyrobił sobie ani przychylności, ani szacunku między ziomkami, nie czuł ochoty iść pod broń, a z wielkiém swojém zdziwieniem w służbie cywilnej nie mógł dla siebie znaleść miejsca. Wszyscy usuwali się od niego, uczuł się samotnym na świecie i obcym dla wszystkich. Nie pozostawało mu nic, jak pojechać do swoich dóbr i zakopać się na wsi. Okropna to była zima, którą nasz światowiec musiał przepędzić w swym dworze w towarzystwie jedynie swych służących, proboszcza i dwóch lub trzech sąsiadów, którzy o niczém inném nie

byli zdolni rozmawiać, tylko o tém, że mrozy bardzo wielkie, a zwierzyny bardzo mało. Nieograniczona nuda opanowała Stanisława, ołowiany smutek nad nim zaciężył. Ale miala to być tylko chwilowa pokuta za jego lekkomyślne życie bez celu. Czego się bowiem najmniéj spodziewał, znalazła się w niedalekiém jego sąsiedztwie młoda kobiéta, niegdyś biédna jego kuzynka Teresa, a dzisiaj wdowa po bogatym generale. Przed laty ciotka Stanisława pragnęła ich skojarzyć, ale tym planom poczciwéj kobiéty stanęła wpoprzek duma pani Orańskiéj, która dla swego syna świetniejszego wymagała losu. Teraz spotkali się z sobą niespodzianie: on nawpół przeżyty i znudzony, rozczarowany do świata nadużyciem jego przyjemności, ona z całą młodzieńczą świeżością uczucia, rozsądna, pełna taktu i delikatności. Łatwo się domyślić, że w tym stanie rzeczy Teresa stała się aniołem pocieszycielem Stanisława, który rozciągnął nad nim swoję opiekę i przez niewidoczny wpływ moralny zmienił jego wyobrażenia i oczyścił serce. Stanisław pozbył się swego salonowego a razem i śmiesznego tonu, zaczął się poważniéj zapatrywać na życie i ludzi, przestał widziéć w kobiétach tylko fałsz i udanie i ożeniwszy się z Teresą, „stał się poważanym obywatelem, czułym mężem i doskonałym ojcem.“

III.

Przez dziesięć lat następnych, po wydaniu tych francuskich „Nouvelles“, Nakwaska zupełnie nic nie drukuje a nawet nie pisze. Dopiéro w roku 1831 krwawe i groźne ówczesne wypadki podnoszą uczucie i podniecają wyobraźnię w téj już wówczas pięćdziesięcioletniéj kobiécie i na ich tle kreśli ona i niebawem wydaje na widok publiczny „pierwszą swą pracę w ojczystym języku“, powieść p. t. „Aniela czyli ślubna obrączka.“ Ponurym obrazem chwil poprzedzających wybuch rozpoczyna się to opowiadanie. Tajemny sykofanta Miętowski, aby usunąć sobie z drogi nienawistnego rywala Zdzisława Romańskiego, który kochał się w pięknéj i szlachetnéj dziewicy Anieli Rożewskiéj, denuncyuje go i oddaje do więzienia, a sam żeni się z Anielą nieznającą ani jego charakteru, ani tajnego zajęcia. Jego tryumf nie trwa jednak długo, bo zaraz z początkiem wybuchu, lękając się zemsty ludu, zmuszony jest w łeb sobie wypalić. Aniela zostaje nagle wdową; przeszłość męża odkrywa się teraz przed jéj oczami, i choć Zdzisław, uwolniony tymczasem z więzienia, ofiaruje jéj swą rękę i o jéj przyjęcie usilnie błaga, ona nazbyt wyegzaltowaném uczuciem wiedziona, nie przyjmuje téj ofiary z téj racyi, że nosila jakiś czas hańbiące ją dzisiaj nazwisko. Potrzeba

było aż ostateczności, aż tego nieszczęścia, że Zdzisław ranny w bitwie nie pozwala sobie zrobić amputacyi, która jedynie ocalić go mogła, jak tylko pod tym warunkiem, jeśli Aniela na jego prośby się zgodzi. Aniela musiała ustąpić i na szpitalném łóżku, odbył się jéj obrzęd ślubny z nieszczęśliwym Zdzisławem, a bezpośrednio potém i amputacya jego ręki. Obrączkę ślubną, która ich połączyła, Aniela złożyła w ofierze na cele ogólne, a „piękny jéj pomysł znalazł wielu naśladowców.“ Zdzisław przyszedł niedługo do zdrowia, i na ostatniéj karcie téj powieści napisanéj jeszcze przed ukończeniem wypadków, rozstajemy się z młodą parą, rokującą sobie najpiękniejsze na przyszłość nadzieje.

Na tle tych samych wypadków historycznych, lubo już wtenczas, kiedy ich rezultat był całemu światu wiadomy, bo w r. 1832, powstała inna powieść Nakwaskiéj, nazwana przez nią „obrazem romantycznym“ p. t. „Powstaniec....“, a wydana dopiéro w kilkanaście lat później, w r. 1845, w Lipsku, pod pseudonymem Pani T...skiéj. Rozmiary téj powieści o wiele szersze, rozmaitość w niéj większa, staranniejsze także wykończenie, zarówno w opowiadaniu, jak i w kreśleniu charakterów. Widać na niéj, że autorka nie pisała jéj pod wrażeniem bezpośrednio podniecających ją wypadków, że dłuższy namysł i ogarnięcie całości tych wydarzeń, pozwoliły jéj na silniejszych podstawach rzecz swoję oprzéć i wybitniejsze nadać jéj rysy. Z Warszawy, gdzie się powieść rozpoczyna, z domu pana Koprowicza przenosimy się na Litwę, na zamek bliskiego jego krewnego Olbrachta, żyjącego od dawnych lat zdala od świata, otoczonego miłością poddanych, którzy widzieli w nim najlepszego ojca i opiekuna. Ówczesne wypadki pobudzają do czynu i starego samotnika-patryarchę. Jego siedziba staje się punktem środkowym nowych usiłowań. Tutaj także spotykają się z sobą młody Wielkopolanin Leon Zborowski, losem wojny w te strony zaniesiony, i ukochana przez niego Zofia, córka Koprowicza z Warszawy, która, niby nowa Amazonka, rzuciła się w wir krwawych wypadków, i wszelkie trudy i niebezpieczeństwa z kochankiem podzielała. Obojgu udało się z nich wyjść szczęśliwie, chociaż usiłowania Olbrachta i Leona spełzły na niczem. Cali i zdrowi wrócili do Warszawy, gdzie nowe a różne czekały na nich ciosy. Umarła niedługo siostra Zofii, Helena, będąca zupełnym jéj kontrastem; o tyle melancholijna, uczuciowa i wszystko w sobie tłumiąca, o ile Zofia była energiczną, żywą i otwartą. Helena pokochała niegdyś bez wzajemności Leona, dzisiaj narzeczonego swéj siostry, a miłość ta bez nadziei tajona w głębi duszy, wrażenia odbierane z codziennych smutnych wypadków, wreszcie trudy, jakie podejmowała pielęgnując w szpitalu chorych na cholerę, wpędziły

ją zawczasu do grobu. Późniéj nieszczęścia ogólne coraz większym bólem napawały tę rodzinę, aż wreszcie rozproszyły ją i wygnały zagranicę. Tam dopiéro odetchnęli po niejakim czasie, szczęśliwi przynajmniéj o tyle, że wszyscy znaleźli się z sobą, i uniknęli śmierci lub więzienia.

Wątek do téj powieści miała wziąć autorka, nie tylko co do historycznego przebiegu wypadków, z wydarzeń rzeczywistych i prawdziwych. W przedmowie zapewnia czytelników, że „jedynie osoby (czyli jak należy rozumiéć: nazwiska osób) są w piśmie mojém zmyślone; działanie zaś onych, wypadki historyczne, równie jak i towarzyskie, drobne zdarzenia, aż do rozmów, potwarzy, plotek, wszystko to aż nadto było istotne“ — a nie mamy najmniejszego powodu temu zapewnieniu nie wierzyć. Wogóle Nakwaska dobrą była obserwatorką i nie rozminęła się z prawdą, pisząc w swoich „Wspomnieniach“ znane już czytelnikowi słowa, że od dzieciństwa usposobioną byla do uważania i do zapisywania sobie w pamięci „tak ważnych jako i drobnych codziennego życia wypadków.“ Ten dar natury dopomógł także nie mało jéj artystycznym celom. Uważając wszystko dokoła siebie jak było, musiała widziéć złe i dobre rzeczy, ujemne i dodatnie ludzkie charaktery, i tym sposobem zdolniejszą była do rozdzielania światła i cienia, które utworom sztuki dodają tyle plastyczności, rozmaitości, a przeto także i życiowéj prawdy. Nawet w powieściach tego rodzaju jak „Aniela“ i „Powstaniec“, gdzie tak łatwo entuzyazm, miłość przedmiotu, który się obrabia i podniesione uczucie, z jakiém się pisze, mogą sprowadzić pewną jednostronność optymistyczną w zapatrywaniu, zachowała ona bystry pogląd i trzeźwość umysłu. Społeczeństwo, które kreśli w tak wyjątkowych chwilach, podniecających u ogółu wyższe, szlachetniejsze i dalekie od egoizmu uczucia, nie składa się w jéj opowiadaniu z samych bohaterów lub ludzi poświęcających się bezwzględnie. Zwykłe słabości i wady ludzkie i wtenczas, jak kiedyindziéj władają sercami i wychodzą na jaw, a obok szlachetnych są podli, obok walecznych są tchórze, obok ofiar gotowych na wszystko są zimne samoluby. Nie dziwimy się przeto, owszem uważalibyśmy to za błąd psychologiczny i artystyczny, gdyby tak nie było, że w obu tych powieściach, związanych tak silnie z politycznemi wypadkami, obok jasnych i szlachetnych postaci Zdzisława i Anieli, starego Olbrachta i jego córek, Leona i wielu jeszcze innych znajdujemy charaktery ujemne lub wstrętne, takiego sykofantę Miętowskiego lub podstarzałą a lekkomyślną elegantkę Laurę, któraby chciała jak najprędzéj uciec z Warszawy, bo w tych ciężkich czasach nie było w niéj balów; albo w drugiéj powieści podobną do niéj, tylko złośliwą Wandę, córkę

pana prezesa Moderanckiego i godnego jéj ojca, który w duszy potępiał wszystko, choć musiał nieraz inaczéj udawać, i którego kapelusz „można było za polityczny termometr uważać“, bo „pewnie nie zgorzéj się powodziło, kiedy on go całkiém zdejmował z głowy; przeciwnie zaś, nie kłaniał się nikomu albo bardzo lekko, kiedy smutek.... (dokoła) spostrzegać się dawał.“

Odtąd stale i częściéj niż dawniéj zajmuje się Nakwaska piórem. Pisze powieści na tle historycznych wydarzeń lub podań, z własnych wspomnień i obserwacyi układa obrazki i opowiadania, spisuje te wypadki rzeczywiste i opisuje tych ludzi, na których własnemi oczami kiedyś patrzyła, kreśli opisy podróży przez siebie odbywanych, a wreszcie w celach pedagogiczno-dydaktycznych pisze powiastki dla dzieci i dla ludu.

Pomówmy najprzód o tych ostatnich, któremi Nakwaska znakomicie nieraz pomnażała nieliczne jeszcze wówczas i nie obfite płody tego rodzaju piśmiennictwa.

„Odwiedziny babuni czyli powieści dla zabawy grzecznych dzieci, napisane przez Annę Nak....“ (Warszawa 1833), są z wielu względów bardzo dobrą książeczką dla dzieci, wyższą od niejednéj z tych, któremi starsi młodsze pokolenia zabawiać i nauczać pragną. Nie ma w niéj jakiegoś sztucznego, wyłącznie na ten cel, *ad usum delphini*, przez autora stworzonego świata, z jakim się w téj gałęzi literatury dosyć często spotyka. Autorka sama także nie moralizuje wiecznie i nie gdera; jako babunia, czule kochająca swe wnuczęta, kocha ona w nich wszystko, nawet ich słabości i małe grzeszki, a jeśli doświadczenie i rozsądek każą jéj te wady wypleniać i karcić, to ona to robi nie w sposób chłodnego i z góry przemawiającego pedanta, ale łagodnie, z miłością, jakby od niechcenia, czując, że na te mdłe jeszcze roślinki nie można zbyt silnego wywierać nacisku, ale powoli i delikatnie naginać je potrzeba.

Pomimo tych zalet wewnętrznych i niemałego talentu pisarskiego „Powieści Babuni“ zdają mi się mieć jedną bardzo wielką wadę. Z czterech powiastek, należących do tego zbioru, trzy przedstawiają nam różne wady dziecinne, których jedynym powodem jest złe wychowanie i co więcéj zły przykład, dane tym dzieciom przez rodziców. „Antosia czyli wychowanka saméj siebie“ jest córką dwóch brzydkich skąpców, którzy dla chciwości grosza nie chcą dać przyzwoitego wychowania córce swéj i młodszemu od niéj bratu. Oboje dzieci rosną dzikie i zaniedbane, i kto wié coby się z nich było zrobiło, gdyby nie rozsądek Antosi, która w staraniu o przyszłość musiała zastąpić rodziców, i po wielu a wielu prośbach uzyskała nakoniec tyle, że ojciec dał jéj jakiś mały fundusik, przy po-

mocy którego odwiozła brata do szkół, sama umieściła się na pensyi, i z wielką biédą i własną pracą przez parę lat na wykształcenie obojga łożyć mogła.

Gorzéj jeszcze działo się u państwa Słowieckich (w drugiéj powiastce Oleś i Marynia). Ojcu, znakomitemu urzędnikowi, zatrudnienia publiczne nie dozwalały wglądać w wychowanie dzieci. Matka „tak wiele zajmowała się towarzystwem, strojami i zabawami wielkiego świata“, że również na to nie miała czasu. Dzieci zostawione samym sobie, rosły jak chciały. „Marynia była niewypowiedzianie leniwą, niczego jéj się uczyć nie chciało, oprócz tańca.“ Oleś zaś „tak rozstrzepany, że o niczém jak o figlach myślał (*sic*), a wracając do domu ze szkoły, jedynie tylko wieczorną zabawą, teatrem (gdzie ich matka często z sobą brała), balikiem, albo spacerem miał głowę zajętą.“ Potrzeba było dopiéro nieszczęścia, ażeby poprawić — kogo?... przedewszystkiém tych nierozsądnych rodziców. Pan Słowiecki wskutek zmian zaszłych w kraju, stracił urząd, a że przez życie wystawne nic więcéj prócz długów nie miał, musiał, wziąwszy małą dzierżawę na wsi, jąć się ciężkiéj pracy. Na wsi znowu dzieci ani czasu, bo trzeba było co innego robić, ani sposobności do wykształcenia nie miały. Szczęściem ich ciotka hrabina, kobiéta bardzo rozsądna, która już dawniéj, lubo bez skutku, zbawienne rady rodzicom dawała, przyszła im z pomocą, i na swój koszt Olesia i Marynię kształcić do miasta oddała.

Co do joty taką samę matkę miała i Elżusia (powieść czwarta). Jako „jeszcze powabna i młoda, a przytém majętna wdowa lubiła się bawić, tańcować i stroić..... Córeczka więc, wstępując w ślady mamuni, lubiła jeszcze bardziéj jak ona zabawy, stroje i tańce; a lubo dopiéro jedenastoletnia panienka, wzdychała tylko do owego czasu, gdzieby jéj chwile, tak jak chwile życia jéj matki, różnością tylko uciech odznaczone być miały.“ Tak dzięki płochéj matce, Elżusia w jedenastu latach była już kokietką i pełną próżności elegantką. Szczęściem, że jeszcze na czas ciężkie upokorzenie i zawód, jakich doznała na jednym świetnym baliku dziecinnym, z tych wad ją wyleczyły, tak, że była odtąd jedną z najgrzeczniejszych i najlepiéj uczących się panienek w Warszawie.

Sensu moralnego tym trzem powiastkom nie brak, ale droga, po któréj się do niego dochodzi niestosowna i fałszywa. Tak jak są opowiedziane mogłyby przewrócić niejedną główkę dziecięcą; bo proszę tylko zauważyć, co za naukę mogłoby wyciągnąć rozsądniejsze i więcéj zastanawiające się dziecko z tego, gdyby się dowiedziało, że głównym i jedynym powodem jego wad mogą być starsi i to jeszcze rodzice. Wszelka powaga i wiara w nieomylność prze-

wodników, którą dziecko miéć musi, jeśli ma ulegać i dać się kierować, zostałaby mocno na szwank wystawiona a nawet musiałaby upaść. A to do zadań pedagogicznych wcale podobno nie należy.

Niefortunną również, lubo z innego powodu, jest ostatnia z tych powiastek: „Łakomy Wilhelm“. Boć przecie nie można szczęśliwym nazwać tego pomysłu, że jakiś mały łakomiec poprawił się ze swéj wady przez to, że słyszał, jak inny podobny obżartuch będąc niegdyś młodym jeszcze kominarczykiem i dostawszy się przez komin do pustego pokoju pewnego doktora, z łakomstwa zjadł, nie domyślając się co robi, preparat anatomiczny z ciała małego dziecka. Chociaż wydarzenie takie miało się w istocie gdzieś wydarzyć, fakt sam jest więcéj niż nie estetyczny, jest obrzydliwy, a podobnemi obrazami nie należałoby zatruwać czystéj imaginacyi dziecka.

Nierównie wyżéj od „Odwiedzin Babuni“ stoją: „Niedzielne wieczory starego stolarza. Powieści dla rzemieślników“ w dziesięć lat późniéj r. 1843 w Lesznie i Gnieźnie wydane.

Jak w ogóle o Nakwaskiéj można powiedziéć, że znała świat, a zatém posiadała pierwszy i najważniejszy warunek, ażeby go módz malować, tak i w szczególności można twierdzić, że znała lud i tę klasę rzemieślniczą, która po małych szczególnie miasteczkach typowych nieraz dostarcza postaci. Przebywając często na wsi, bo każde lato prawie tam przepędzała, mieszkając w szlacheckim dworze jako pani i gospodyni, musiała z saméj już konieczności stykać się zbliska i osobiście z ludźmi tego stanu. Nic dziwnego, że poznała ich równie dobrze jak te damy wielkiego świata, z któremi żyła w Warszawie, albo jak tych cywilnych i wojskowych dandysów, którzy się koło niéj kręcili, ubiegali o jéj względy albo powiernicą swoich tajemnic robili.

Nakwaska przemawia do ludu językiem dla niego zrozumiałym, mówi mu o rzeczach, które on zna i z któremi codzień u siebie się spotyka; nie prawi mu na wysoką nutę kazań i morałów, ale ze stanowiska praktycznego, w sposób obrazowy i jasny złe skutki różnych nałogów, istniejących w téj sferze, i ciemnoty przedstawia. Przystępuje do niego nie jako człowiek z obcego świata, ale jako znająca dobrze i z różnych stron ten mniejszy światek, w którym lud żyje; przystępuje do niego przytém z przychylném i współczującém sercem, jak to zauważyła jeszcze El. Ziemięcka pisząc recenzyą o téj książce (w „Pielgrzymie“ z r. 1844 T. II): „myśl pomocy i połączenia stanów przez miłość i prawość unosi się ponad całém dziełkiem.“

Idealnym pośrednikiem między autorką a czytelnikami, podobnie jak babunia w powieściach dla dzieci, jest w „Niedzielnych wie-

czorach“ stary stolarz Maciej Chlebowski w mieście Turku pod Kaliszem. On to opowiadał dla nauki i pożytku swych wnuków rozmaite „upłynionych lat przygody“, zasiadłszy w wygodném krześle własnéj roboty „przy piecyku palącym się jaskrawo, około którego siedziały wnuczęta z natężoną uwagą, otwartemi uszami i oczami, a pełnemi pieczonych kartofli ustami.“ Ten sposób inscenowania powieści nie był wynalazkiem Nakwaskiéj. U nas podobno pierwsza użyła go ks. Czartoryska w niezapomnianym jeszcze dotąd „Pielgrzymie w Dobromilu“, a że to sposób dobry i skuteczny dowodem między innemi i „Wieczory pod Lipą“, którym to wprowadzenie żyjących ludzi w opowiadanie minionéj przeszłości tyle życia i powiew nawet poetycznego jakiegoś uroku dodaje.

Z przygody „Ślusarza z Jodłowa“, którą najprzód stary Maciej wnukom opowiedział, wynika trochę już zpowszedniały morał, że cnota w końcu zwycięża a występek odnosi karę. Tak się stało i tutaj, kiedy przewrotny chłopak od kredensu Grześ posądził o kradzież, którą sam wykonać zamierzał, poczciwego ale nie bardzo poradnego ślusarza Goździckiego. We „Wsławionym malarzu“, powiastce osnutéj na „prawdziwém wydarzeniu“, uwidocznia się, choć w niektórych szczegółach na owe zwłaszcza czasy nie zupełnie prawdziwych, ta myśl wzajemnéj pomocy i miłości między stanami, którą już Ziemięcka Nakwaskiéj za jedną z większych zalet poczytywała. Dziesięcioletni syn biednego ekonoma, który pokazywał zdolności i ochotę wielką do rysunków, znajduje protektorów w osobie baronowstwa Trawińskich i wykształciwszy się ich kosztem, zostaje sławnym malarzem, który z panami przebywa, w powozie jeździ i dukatami płaci. Dobry to przykład z jednéj strony dla tych co mają pieniądze, aby talenta w kraju wspierali; z drugiéj strony dla tych co mają talent, aby nie żałowali pracy, a dojdą do stanowiska w świecie i dostatku. Jak wiele jeszcze nad tymi maluczkimi trzeba pracować, jak wiele im pomagać, aby się podnieśli z moralnego poniżenia i do prawdziwego poczucia człowieczeństwa przyszli, o tém wiedziała bardzo dobrze nasza autorka i bardzo jéj to na sercu leżało. Nie idealizując rzeczy niepotrzebnie, nie łudząc siebie i innych, co nikomu korzyści a wszystkim szkodę tylko przynosi, nie wzdrygała się podnieść zasłony nad tém, co w życiu ludu ujemną i ciemną, bardzo ciemną stronę stanowi. Takim patologicznym okazem stanu klas niższych jest czternastoletnia dziewczyna wiejska Aneczka w powiastce „Nie żartuj z ogniem, czyli pani burmistrzowa.“ Wyrosła ona do tych lat jak rosną chwasty w polu albo drzewa w lesie—dziko, bez niczyjego przyczynienia się, aby jakiekolwiek światełko w jéj duszy zapalić: „żadnych gruntownych zasad ani moralnego wycho-

wania w dzieciństwie nie otrzymała, o nauce religijnéj nic nie wiedziała, zgoła tak wzrosła i do lat przyszła, jak niestety! większa część wiejskich dzieci rosną (*sic*) i do lat przychodzą (*sic*), mało albo nic wcale od zwierząt, które pasą i hodują, różniące się.“ I cóż się stało? Z głupoty, z bezmyślności, dla dogodzenia najnierozsądniejszéj chwilowéj zemście, po dwakroć ta dziewczyna podpala zabudowania dworskie, nie przeczuwając nawet jak wielkie złe popełnia. Jako niepoprawna podpalaczka dostaje się do kryminału na lat kilka, a właściwie jako ofiara ciemnoty i moralnego zaniedbania. Wiele takich ofiar, sprowadziwszy na siebie i na drugich nieszczęść bez liku, ginie nie powrotnie w murach kryminałów, w rynsztokach miejskich albo pod wiejskiemi płotami, bo raz potępione przez sprawiedliwość ludzką, choćby miały nawet w sobie dość siły do podniesienia się, zamkniętą zwykle mają drogę do powrotu na łono społeczeństwa. Aneczkę nasza autorka wyratowała szczęśliwie z téj toni, chcąc pokazać, że trzeba tylko miłości chrześciańskiéj i dobrego serca u ludzi, aby nawet z byłego kryminalisty zrobić porządnego człowieka. Kiedy Aneczka wypuszczona z więzienia stała na ulicy, nie wiedząc co począć z sobą i gotowa okropne swoje położenie w nurtach Wisły zakończyć, szczęśliwym trafem spotkał ją tam poczciwy jakiś i litościwy ksiądz staruszek, przemówił do niéj, wziął ją do siebie, oświecił jéj umysł, dał jéj pojęcie o moralności i zrobił z niéj niedługo innego człowieka. Przeszłość smutna Aneczki pod dachem zacnego kapłana utonęła w tajemnicy; znalazł się potém jakiś mały urzędnik, któremu dziewczyna się spodobała, oświadczył się o nią księdzu a otrzymawszy posadę burmistrza w pobliskiém miasteczku, ożenił się z nią. Była podpalaczka i kryminalistka, którą ciemnota popchnęła do występku i o hańbę przyprawiła, kiedy dobrzy ludzie zajęli się nią i trochę oświecili, została panią burmistrzową i najcnotliwszą żoną i matką.

Obok ciemnoty drugim rakiem toczącym najzdrowsze soki wiejskiego i miejskiego ludu, to niezawodnie pijaństwo. Nie ma książki poświęconéj dla ludu, nie ma teatralnéj sztuki ludowéj, w którejby nie występowała wstrętna ale ciągle jeszcze prawdziwa i niezbędna postać pijaka. Nakwaska nie mogła jéj także pominąć i wprowadziła ją w ostatniej powieści starego Macieja: „Kuźnia przy bitéj drodze.“ Zgodnie z psychologią i codziennem doświadczeniem przeprowadziła ona rzecz tak, że pierwszym początkiem pijaństwa jest przyzwyczajenie zwolna postępujące, a najsilniejszą jego podnietą towarzystwo amatorów trunku. Kowal Marcin był długo „majstrem umiejętnym a nawet pracowitym“, ale na nieszczęście już od młodu lubił „w święto parę godzin w karczmie posiedzieć i czasem

sobie trochę podochocić!... Wyszedłszy z czeladnika na majstra, coraz ściśléj ten zwyczaj zachowywał; już nie w niedzielę i święta, ale często i w dzień roboczy, siedział Marcin Kowal za stołem, zapijał to piwo, to wódkę do szarego zmroku, a biedna żona jego ledwie co go z dziećmi do karczmy przyszedłszy, z niéj na wieczerzę wyciągnąć zdołała.“ Nieszczęsny nałóg Kowala wzrósł jeszcze bardziéj, kiedy niespodzianie przyszedł do nich pewnego razu jakiś dziad, jak się późniéj pokazało brat żony Marcina, stary wojak, co się bił z Napoleonem po wszystkich kątach świata. W swoich łachmanach dziadowskich przyniósł on dużo różnéj złotéj i srebrnéj monety, co było rzeczą bardzo pożądaną i upadające gospodarstwo Kowalów podnieść mogło, ale niestety! przyniósł także i wybredny smak do gorących napojów. Piwo i wódka krajowa były dla niego za słabe, w gorących krajach przyzwyczaił się do araku, i szwagra, wkrótce pić go nauczył. Zaczęła się teraz dopiéro pijatyka na umór—dukaty i ruble wychodziły na arak, Kowal o kuźni, o dzieciach, żonie i o swojém zdrowiu ani pomyślał. Ale do czasu dzban wodę nosi; kiedy się raz „jak nierozsądne bydlęta popili,“ stary wojak uczuł w sobie jakieś straszne boleści, wybiegł ze szwagrem na pole, i tam jęcząc „po ziemi tarzać się zaczął.“ Było to „zapalenie wewnętrzne spirytusu,“ które zabiło starego pijaka. Kowal, który widział okropne symptomaty choroby i cierpienia umierającego, z przerażenia uciekł do lasu, gdzie go dopiero nadedniem „w zupełném obłąkaniu zmysłów“ znaleziono.“ Rok cały leczył się w szpitalu, wrócił do domu zdrowy i co więcéj poprawiony ze swego nałogu. Za resztę pieniędzy, nie przepitych przez brata, Kowalka kupiła gdzieindziéj kuźnię zdaleka od karczem, i tam przy pracy dorobili się znowu znacznego mienia.

Musimy tutaj zrobić jednę uwagę. W pracach literackich Nakwaskiéj nie widać nigdzie cofania się albo, coby naturalniejszém było, postępu. Jak się przedstawiła światu w pierwszych swoich francuskich powieściach, taką pozostała już ciągle do końca swego zawodu. Talent jéj ani się nie rozwinął ani nie podniósł, sposób pisania i technika pisarska pozostały téż same; nie odmienił się zarówno ani rodzaj pomysłów ani téż sztuka, z jaką je wykonywała. Przyczyna tego, niezwykłego zresztą zjawiska, była bardzo prosta i naturalna. Ta ciągła tożsamość autorki i jednakowa wartość jéj prac wyniknęły bezwątpienia z tego, że Nakwaska wzięła się do pióra w wieku już dobrze dojrzałym, w téj epoce życia, w któréj ani zdolności umysłowe, ani pogląd na świat, ani uczucia nie podlegają przeobrażaniom, jedyna odmiana w nich możliwa jest chyba ta, że słabną i martwieją z nadejściem późniejszych lat starości. Wszystkie prace Nakwaskiéj są to więc płody jednéj pory życia, a jako takie wy-

bitnych różnic na sobie nosić nie mogą. Przez te dwadzieścia pięć lat wprawdzie, przez które nasza autorka trzymała pióro, w druku i kierunku naszéj literatury zaszły ogromne zmiany i przewroty, zwłaszcza między 1820 a 30 wielka rewolucya romantyczna, która zamknęła starą epokę i na nieznane dotychczas tory i umysły i piśmiennictwo popchnęła, ale na osobie Nakwaskiéj i na jéj talencie nie zrobiła ona wyraźnego wpływu i przełomu. Z właściwą sobie giętkością umysłu uległa ona teoretycznie urokowi nowéj poezyi— gdy się ta pojawiła, Nakwaska żyjąca w Warszawie w ciągłém otoczeniu klasyków i w ich towarzystwie nader bliskiem, bardzo prędko przylgnęła całém sercem do tych nowych poetów, którzy przeciwny i wrogi obóz stanowili. Już w roku 1831 w powieści „Aniela" wspomina ona o „uroczych pieśniach Mickiewicza", na co pewnie oburzył się niejeden z klasyków bywających na literackich zebraniach w jéj salonie. Ale za sercem nie mógł już widać podążyć wtedy jéj umysł i talent—pomimo że dokoła niéj wszystko w literaturze się odmieniało, ona zachowała jak dawniéj ten sam sposób tworzenia, ten sam styl i koloryt w swych utworach. Sława autorska Nakwaskiéj straciła na tém nie mało. Gdyby wcześniéj była zaczęła pisać, gdyby czynniejszą była, w tych pustych w jéj bibliografii latach między 1821 a 31 rokiem, w czasie kiedy jeszcze występowali pokrewni jéj duchem, choć nieraz wyżsi talentem, romansopisarze historyczni, byłaby zapewne, dobiwszy się uznania, kiedy na to była pora, urosła na większą w literaturze osobistość niżeli jest nią dzisiaj. Kiedy ta pora niezużytkowana przez nią przeminęła, przy nowych talentach, przy silniejszym mianowicie rozwoju powieściopisarstwa od wystąpienia Kraszewskiego, to co ona dać mogła, musiało się wydać spóźnioném i nie robiąc wrażenia, chłodniejszego doznawać przyjęcia.

To powiedziawszy możemy przystąpić do przejrzenia reszty jéj powieści z téj późniejszéj epoki.

„Młodość Kopernika", drukowana w noworoczniku Warszawskim „Jutrzenka" na r. 1834, ma pewien poetyczny urok w alegoryi, jaką autorka wysnuła z pewnego, widocznie przez nią samę zmyślonego wydarzenia z młodości Kopernika. Przyszły wielki astronom przed odjazdem do Bononii jedzie z Krakowa do Torunia, aby tam rodzicielskie błogosławieństwo otrzymać. W czasie drogi wybawia swą przytomnością umysłu Annę córkę księcia Płockiego od napaści greckiego księcia Nicefora Laskarisa, który gwałtem chciał ją porwać, i otrzymuje od wdzięcznéj dziewicy na pamiątkę przepaskę z jéj włosów i złotą tarczę. Na téj tarczy, którą Laskaris w ucieczce zgubił, wyobrażony był zodyak i geniusz wskazujący na słońce z na-

pisem greckim: On jemu miejsce wskażeł... Do śmierci zachował Kopernik w sercu pamięć płockiéj księżniczki i tę pamiątkę po niéj, która symbolicznie przepowiedziała mu jego geniusz i jego wielkie odkrycie.

Podobnym alegoryczno-legendowym pomysłem ubarwiona jest także „Chrzestna matka w koronie czyli pierwsze róże“ (w Pielgrzymie, r. 1844 T. II str. 273—290). Rzecz dzieje się w górskich okolicach Nowego Sącza na początku 15 wieku. Pani jednego z tamtejszych zamków Elżbiecie z Pileckich, wdowie po Granowskim, czarownica Boryssa przepowiedziała, że będzie matką i żoną razem króla—niby coś w guście nowéj Jokasty. Przepowiednia ta nie doprowadziła jednak wcale do edypowéj tragedyi. Granowska była niegdyś matką chrzestną Władysława Jagiełły, kiedy on wraz z swym ludem chrześciaństwo przyjmował, i występowała przy téj uroczystości ubrana w pierwsze znane w Polsce stulistne róże. Krzak takich róż podarował Jadwidze Wilhelm Rakuski, a Jadwiga rozłączywszy się z nim na zawsze, oddała tę smutną pamiątkę Elżbiecie. Młoda matka chrzestna musiała w tym stroju uroczo wyglądać, bo oto po latach wielu, owdowiały Jagiełło przypomina sobie w swéj samotności tę piękną matkę chrzestną w róże ustrojoną, jedzie w Karpaty na łowy i przepowiednia czarownicy się spełnia: Elżbieta będąc chrzestną matką króla, zostaje razem i jego żoną. Nieszczęśliwa miłość Jadwigi z księciem Wilhelmem połączona tu w podobny sposób z wprowadzeniem pierwszych stulistnych róż do Polski, jak w dawniejszéj powieści naszéj autorki odkrycie wód mineralnych w Krynicy ze smutnemi dziejami Haliny.

„Otton i Berta, powieść z początku XVIII stulecia na rodzinném podaniu osnuta“ (drukowana w Pielgrzymie r. 1844 T. I. str. 181—224) odgrywa się w Kurlandyi. Otto z Kniprody opuszcza starego ojca i ukochaną przez siebie Bertę, córkę hrabiego i starosty z Döblina, aby iść na wojnę. Ubogi, nie miał on nadziei by otrzymać rękę córki bogatego magnata, więc przez czyny bohaterskie pragnie zdobyć sobie sławę, znaczenie i majątek. Po siedmiu latach, walcząc przez ten czas w wojsku Augusta II, powraca w rodzinne strony okryty sławą i szczycący się szczególną łaską królewską. Ojciec jego umarł tymczasem, pozostawiając mu wielkie skarby, do których przedtém nigdy się nie przyznawał. Dlaczego? tego nam autorka nie tłómaczy, choć motyw to jest bardzo ważny, który całéj téj rzeczy mógł był nadać inny zupełnie obrót. W okolicach Döblina grasuje w tym czasie straszna zaraza, któréj aby ujść ojciec Berty kazał swój zamek szczelnie zamknąć, tak że nikt ani z niego ani do niego nie mógł się dostać. Lecz mimo to wszyscy służący w zamku wymarli,

a reszcie mieszkańców groziła nie mniéj straszna od zarazy śmierć z głodu. W tém rozpaczliwém położeniu zjawia się przed zamkiem Otto, i zawiadamia zamkniętych w nim, którzy nie mieli żadnéj wiadomości o tém, co się poza murami dzieje, że zaraza już ustała. Uszczęśliwiony ojciec Berty przyrzeka mu córkę, wspaniałe przygotowania robią już do wesela, kiedy w tém Berta wycieńczona trudami podczas zarazy i późniejszemi nagłemi wzruszeniami, u progu szczęścia umiera. Na tém powinnaby się była skończyć ta historya; na nieszczęście autorka dodała jeszcze rodzaj epilogu, który zaciera zupełnie wrażenie, jakie dzieje téj stałéj i romantycznéj miłości mogły były wywrzéć na czytelniku. Ten czuły, przez tyle lat wierny swéj kochance Otto, we dwa lata po jéj śmierci żeni się z jéj siotrą Amalią, a my nie wiemy nawet, dlaczego autorka tak rzecz poprowadziła, czy po to, żeby powiedziéć, że nawet taka niezwykła i gorąca miłość z czasem stygnie, czy téż żeby pokazać, że Otto w głębi duszy nie był zupełnie takim, jakim się wydawał. Ale w takim razie trzeba było chociaż małą wskazówką naprzód na to czytelnika przygotować.

Największą co do rozmiarów powieścią Nakwaskiéj, która téż największą jéj popularność zjednała, tak jak dawniejsze obrazy z wydarzeń 1831 r. sympatyczną dla ogółu ją uczyniły, była „Czarna mara“ wydana w Warszawie 1814 a pisana w 1838. Za źródło z którego zaczerpała wątek do téj powieści, posłużył jéj Herbarz Paprockiego, tudzież „Dzieje w Księstwie Mazowieckiem“ artykuł drukowany w kilku zeszytach Pamiętnika Warszawskiego z r. 1820. W Paprockim, w którym już nie raz, co dobry jéj zmysł autorski pokazuje, szukała legend i podań szlacheckich jako materyału do swych opowiadań, znalazła tym razem tylko tyle, że w r. 1523 umarł Stanisław „książe Mazowieckie“, w trzy lata późniéj jego brat Junosz, przyczém „miała trudność panna Radziejowska z domu Junosza, na którą niemieli (*sic*), aby gu otruła.“ Drugie przez nią używane źródło do téjże samej wiadomości o Radziejowskiéj, rozszerzonéj nieco w ten sposób, jakoby otruła obu książąt, zadawszy im „jakową zalotniczą zaprawę, dla rozniecenia miłości i trzymania ich w więzach swoich“, dodało jeszcze tę drugą, że Mazowszanie dla pomszczenia książąt „upiekli potém piekarkę z Krakowa i Kliczewską ziemiankę“. Oczywistéj zbrodni żadne z tych źródeł pannie Radziejowskiéj nie przypisuje, owszem autor „Dziejów w Ks. Mazowieckiem“ powtarza podanie Bernarda Wapowskiego, że jedynie rozpustne życie i nadmierne pijatyki stały się przyczyną przedwczesnéj śmierci książąt. Nakwaska poszła jednak, ponieważ to jéj celom artystycznym lepiéj odpowiadało, za wiarą ludu, który niegdyś palił niewinnych sprawców

tego zgonu i za legendą, która najważniejszą rolę, bo zapoczątkowanie w téj sprawie, królowéj Bonie przeznaczyła. Powtórzenie téj legendy, chociaż w tym jedynie celu aby jéj zaprzeczyć, znalazła zresztą i w „Dziejach Ks. Mazowieckiego,“ gdzie autor mówi: „Znajdowali się takowi co mniemali, że Katarzyna dla dalszych widoków lekką trucizną książąt zgładziła, ażeby przeto haniebną przysługę królowi uczyniła; lecz pewnie się to stało bez wiedzy królewskiéj“— czyli innemi słowy, że polityczne intrygi w grę tutaj nie wchodziły.

Panna Radziejowska wysunięta w tém tragicznem wydarzeniu naprzód jeszcze przez dawnych kronikarzy i głos ludu, musiała i w powieści stać się głównym motorem całéj akcyi. Jéj to w opowiadaniu Nakwaskiéj oddaje królowa Bona w ręce wykonanie swoich planów, polegających na tém, aby w jakikolwiek sposób, mniéj lub więcéj godziwy, przyłączyć Mazowsze do Korony, i w tym celu jako środek, do którego Radziejowska ma się w ostateczności udać, daje jéj truciznę utajoną w złotéj puszce a mającéj na pozór zawierać w sobie miniaturę królowéj. Ale panna Radziejowska ma także własne swoje marzenia i plany. Rozbudziwszy zalotnie w księciu Stanisławie miłość do siebie, podczas gdy on chwilowo bawił na Krakowskim dworze, postanowiła tę namiętność wyzyskać i posadzić się na tronie książęcym. Zaczyna więc działać na własną rękę i we własnych celach. Nieszczęściem na drodze stają jéj dwie kobiety. Najprzód Wisława, która dzieckiem znalezioną była podczas wojny na Litwie w zgliszczach spalonego domu, wychowana w głębi lasów przez swego zbawcę, a starego sługę książąt Mazowieckich, a późniéj wyrosłszy w piękną i szlachetną dziewicę, wzbudziła głęboką i szczerą miłość w sercu młodszego księcia Janusza. Janusz jakiś czas tail przed światem swe uczucia a następnie i małżeństwo, które zawarł z Wisławą, bojąc się, żeby Stanislaw nie oparł się tym nierównym związkom. Obawy jego były atoli płonne; obaj bracia kochali się bardzo, i Stanisław nie tylko przyjął Wisławę, dziecko nieznanych rodziców, za swą bratowę ale nadto przypuścił przy téj sposobności Janusza do spółudziału w rządach kraju. Tym sposobem panna Radziejowska ujrzała się pozbawioną połowy swego marzonego tronu i śmiertelną nienawiścią do Wisławy zapałała.

Gorszą była jeszcze druga przeciwniczka, bo groziła jéj odebraniem samejże osoby Stanisława, bez któréj i tronu miéć nie było można. Stanisław czuł silny afekt do panny Radziejowskiéj, jéj wspaniała postawa i pysznie rozwinięte wdzięki nie na żarty obudzały w nim pragnienie—ale nie posiadał stałości w uczuciach jak jego brat, był lekkim i wrażliwym na każde piękne lico,—kto wie, jaki kaprys mógł mu przyjść, i mógł się zająć na seryo tą uroczą, pełną

naiwnego wdzięku i szlachetności córką piekarza Giżanką, która niedawno z ojcem z Krakowa do Warszawy przybywszy, umiała swoją urodą zwrócić oczy księcia na siebie, i, o czém panna Radziejowska jeszcze nie wiedziała, poczuła do niego wielką, prawdziwą choć bez nadziei miłość. Plany panny Radziejowskiéj zaczęły się mieszać. Stanisław w owéj porze jakoś dla niéj ostygał; wychodziły na stół projekty, żeby się żenił z córką jednego z książąt szląskich. Radziejowska wpadała w rozpacz i gniewy, postanowiła działać, i najprzód usunąć z drogi znienawidzoną parę spółksiążąt na Mazowszu: Janusza i Wisławę. Tajemną rozmowę cyganów, którzy mieli ich zgładzić ze świata, podsłuchała przypadkiem wierna i na wszystko poświęcić się gotowa Giżanka. Doniosła o tém księciu Stanisławowi, nie pominąwszy i tego szczegółu, że głównym sprawcą zbrodni miała być panna Radziejowska. Stanisław, który dotychczas, choć nie całém sercem jak przedtém, lgnął jeszcze do Radziejowskiéj, napisał do niéj list, że wié o wszystkiém co zamierza, że nią pogardza i zrywa nazawsze. Radziejowska zawrzała strasznym gniewem na rodzinę książęcą i na Giżankę, która swojém odkryciem pozbawiła ją tronu mazowieckiego. Wymyśliła iście szatańską zemstę, aby za jednym ciosem zgubić i książąt i szlachetną piekarczankę. Ową trucizną Bony, a za pośrednictwem staréj cyganki zatruła pieczywo, które z piekarni Giżanki szło na stół książęcy i rzuciła podejrzenie, że to uczyniła Giżanka. Książe Stanisław umarł, niedługo potém i jego brat, a nieszczęśliwa Giżanka uniknęła tylko przez to okropnych męczarni stosu, że młody rycerz Ludosław, oddawna bez nadziei ją kochający, celną strzałą ugodził ją w serce, kiedy rozjuszony na morderców księcia lud prowadził ją już na miejsce strasznéj kary. Mazowsze po stracie obu swych książąt przyłączone zostało do Korony; panna Radziejowska, wyszedłszy za mąż za pierwszego królewskiego kasztelana w Warszawie, rozsiadła się w grodzie mazowieckim, ale nie dała jéj tam spokoju „czarna mara“, mściwy duch nieszczęśliwéj Giżanki, pojawiający się w dawnym książęcym zamku, i dumna kasztelanowa umarła niedługo, znękana wyrzutami sumienia.

Na większém niż dotychczas płótnie wykonała Nakwaska ten obraz historyczny z większą niż inne dokładnością i precyzyą. Rzecz cała nabrała więcéj ruchu dramatycznego przez częstsze niż gdzieindziéj dyalogi i stosunkowo subtelniejsze wycieniowanie charakterów. Dwie główne postacie kobiece: Radziejowska i Giżanka, posiadają szczególnie tę zaletę, a zupełny kontrast, w jakim są do siebie postawione, przyczynia się nie mało do silniejszego ich zarysowania się i odstawania od tła. Różnica temperamentu stanowi głównie dwa odmienne od siebie charaktery książąt; zresztą koloryt ich dosyć

blady. Podania kronikarzy dostarczały autorce pewnych, niewątpliwie z natury wziętych rysów, że obaj bracia byli to ludzie o szerokich barkach i olbrzymiéj siły, że kochali się w hulaszczém życiu, w sutych biesiadach i pijatykach. Pogodzenie jednakowoż tych stron ujemnych ze szlachetnością uczuć i z bohaterską rolą, jaką książęta w romansie odgrywać mieli, musiało się Nakwaskiéj wydawać zbyt trudném, i dlatego pominąwszy te rysy cechujące tak dobrze nie tylko pojedynczych ludzi, ale i owoczesną epokę, wolała im nadać więcéj konwencyonalne barwy, i zrobić z nich dwóch bardzo przyzwoicie prezentujących się rycerzy. Ukazująca się w powieści na chwilę tylko Bona, chytra, układna, majestatyczną powagą maskująca niegodziwe zamiary, zgodna jest z tradycyą, którą miała nieszczęście po sobie zostawić. Powiernica Radziejowskiéj, stara dworka, Dzierwocka, jest tak od stóp do głów czarnym charakterem, że nie można nie obwinić autorki o przesadę, od któréj zresztą nie była wolną także i przy kreśleniu charakteru panny Radziejowskiéj. Oprócz tych ważniejszych figur snują się jeszcze w głębi postacie dworzan i rycerzy książęcych, pokazują się chwilowo sylwetki z ludu i mieszczaństwa warszawskiego, a wreszcie stara cyganka Jewa i wędrujący obóz cygański dodają temu obrazowi pewnéj grozy tajemniczéj, ulubionéj niegdyś w romansach tak samo, jak sentymentalne światło księżyca.

Za tło historyczne téj obfitującéj w dosyć zawikłane wydarzenia powieści służy po części dwór krakowski, po części książęcy zamek w Warszawie. Na pochwałę autorki należy to powiedzieć, że czuła różnicę, jaka w owéj epoce istnieć musiała między stanem cywilizacyjnym Korony a Mazowsza. Na zamku królewskim na Wawelu odbija się już odblask wysokiéj cywilizacyi renesansu, podczas kiedy siedziba książąt mazowieckich nosi na sobie jeszcze cechy patryarchalno-wojowniczéj prostoty. Inne u nich jeszcze zwyczaje, inne potrzeby, inne sprzęty niż na dworze Zygmunta i Bony, nie ustępującym w świetności i w wykształceniu innym europejskim dworom. Dwaj ostatni książęta Mazowieccy, podług powieści Nakwaskiéj, wzięli sobie właśnie za zadanie, aby zacofaną cywilizacyą swego kraju podnieść i przez wprowadzenie nowych wynalazków, nieznanych dotychczas płodów ziemi i przemysłu ludzkiego zbliżyć ją do tego, co tak niedaleko od siebie widzieli, kiedy nagła śmierć te plany im przerwała.

„Obraz warszawskiego społeczeństwa w dwóch powieściach“ (Poznań 1842) przenosi nas znowu w te czasy, na które Nakwaska własnemi oczami bądź w młodości, bądź w późniejszym wieku patrzyła. „Szczęśliwa przygoda“, pierwsza z tych powieści, poczyna-

jąca się za Stanisława Augusta, a kończąca w dwadzieścia lat późniéj, w tym czasie, kiedy Napoleon pokonawszy Prusaków wszedł do Warszawy, ma za przedmiot niespodziewaną zmianę fortuny, tak częstą w owéj właśnie epoce, gdzie jedne państwa ginęły a drugie powstawały, gdzie ci, co byli wysoko, spadali na dno, a na wierzch dostawali się ci, których przedtém w niskości pomiędzy tłumem rozeznać nie było można. Takiego losu doznała Balbisia, poddanka z dóbr starościny Borelskiéj i służąca jéj w Warszawie. Posądzona o kradzież klejnotów swéj pani, któréj sprawców jednakże udało jéj się szczęśliwie odkryć i siebie od winy uwolnić, tém bardziéj pozyskała sobie zaufanie i przychylność pięknéj starościny. Ale miała także to nieszczęście, że jako młodziutkie i nadobne dziewczę, zwróciła na siebie i oko pana starosty, który „obeznany oddawna z nader wolno pisanemi La Closa i Louveta romansami, chciał onych zasady, jak i encyklopedystów i filozofów ośmnastego wieku, teorye do własnego zastosować domu, osadzić Balbisię jako lubą przyjaciółkę w piękném ustroniu za rogatkami.“ Chciał tego, pomimo, że jego żona była „najpiękniejszą z ówczesnych piękności“, zachwycającą kobietą, któréj hołdy składali najwyżsi dygnitarze, którą król pierwszą do tańca zapraszał, a przytém „w swej młodości poważną“ i wolną od najmniejszéj skazy. Rozsądna starościna postrzegłszy na co się zanosi, umiała ze współudziałem poczciwéj Balbisi tak rzeczy pokierować, że starosta licząc już na pewne zwycięstwo, osiadł na koszu. Zdarzyło się, że kamerdyner i sekretarz starosty zarazem, rodem Francuz, powziął równocześnie szczerą miłość do Balbisi. Starościna ułatwiła mu jego zamiary, dała Balbisi posag, ożeniła ich tajemnie i wyprawiła za granicę wprzód, zanim mąż dowiedział się co się święci. Balbina i jéj mąż znikli w świecie bez wieści. W dwadzieścia lat późniéj znaleźli się dopiéro i dali się poznać starostwu, on jako jenerał w świcie Napoleona, hr. Desroches, ona jako hrabina jego żona. Fale rewolucyi francuskiéj wyniosły przez ten czas byłego kamerdynera w górę, a reszty dokonały jego męstwo, przytomność umysłu i przychylność cesarza. W powieści téj znajdujemy kilka rysów obyczajowych z czasów Stanisława Augusta, które Nakwaska z żywéj tradycyi a po części ze wspomnień własnych znać mogła. Opis balu danego dla króla, toaleta pani starościny, stosunki jéj domowników do swéj pani — oto ważniejsze z tych rysów. Pan starosta ze swemi romansowemi zachciankami podług „teoryi filozofów“ i pani starościna, jako wielka dama, wywierająca urok wszędzie, gdzie się pokaże i podbijająca wdziękiem właściwym owéj epoce, są to także postacie, które choć lekko naszkicowane, noszą na sobie cechę prawdy historycznéj, pochwyconéj z natury. Ze szcze-

gólną lubością traktowana jest przez autorkę szczególnie ta urocza starościna. Czuć, że jednym z jéj najukochańszych ideałów był ideał doskonałéj damy wielkiego świata, w któréj wyższość umysłowa łączy się z wdziękiem kobiecym. Nakwaska nieraz podobne postacie kreśliła, przypominamy tylko Kazimirę w jednéj z jéj francuskich powieści, i częściéj jeszcze, pełna jakiéjś narodowéj dumy, wypowiadała to zdanie, że ze wszystkich kobiét świata między Polkami można jedynie spotykać takie idealne doskonałości kobiece, to coś, co sprawia, że się przed kobietą uginają czoła z uwielbieniem, jakby przed boginią, w któréj zarówno ciało jak i dusza są wyższe od innych śmiertelnych.

W zakończeniu téj powiastki fizyognomia Warszawy, jaką była w r. 1807, prezentacya dam Napoleonowi w „obrazowéj sali na zamku“ należą do wspomnień, któremi nie powinienby pogardzić ani historyk, ani jakikolwiek malarz obyczajowy owéj epoki. Są tam wreszcie i inne charakterystyczne drobne szczegóły, których gdzieindziéj znaleść nie można, chyba w takiéj jak ta powiastce, gdzie autor opowiada to, na co sam patrzył i co znał z życia powszedniego. Pani starościna naprzykład zaproszona przez hrabinę Desroches na śniadanie „z róźnego mięsiwa złożone — przyjęła tylko filiżankę czekolady“, nie będąc „przyzwyczajona jadać tak rychło, bo prawie jeszcze nikt wtedy u nas wyobrażenia o wieczornych obiadach nie miał.“ Widać z tego, że choć już dawno u nas po francusku mówiono, czytano i ubierano się, to jeszcze w początkach tego wieku obiad jadano po staropolsku jeśli nie w samo południe, to w godzinach bliskich tegoż.

Drugim obrazem społeczeństwa warszawskiego z doby nierównie późniejszéj, bo niezawodnie z czasu około 1840 r. jest „Obligacya udziałowa.“ Autorka nazywa tę powiastkę „ustępem z wydarzeń życia domowego“, ale możnaby ją bez przesady nazwać obrazem stosunków społecznych, trafnie i oryginalnie pochwyconych. Chodzi tutaj o toż samo, co w ostatnich szczególnie czasach stało się jednym z wybitniejszych tematów pod piórem naszych powieściopisarzy i komedyo-pisarzy. Za podkład służy bowiem antyteza dwóch ras: niemieckiéj i polskiéj i stosunek, w jakim jednostki do tych ras należące wskutek swoich odrębnych właściwości znajdują się do siebie. Z jednéj strony stoi stary, bogaty Niemiec, Gotlieb Lombert, który milionowego majątku dorobił się na polskiéj ziemi, dufny w swoje bogactwa, arogant wciskający się wszędzie i chcący wszystkim imponować swojém złotem. Z drugiéj strony polska rodzina wysokiego urzędnika pana Kłoczewskiego, dosyć niegdyś zamożna, ale obecnie bez pieniędzy i w kłopotach finansowych z tego powodu, że

pan Kłoczewski, człowiek zresztą „przystojny, dobrze wychowany, pełen grzeczności, dowcipu i salonowéj wziętości“, ożeniwszy się drugi raz bogato i do tego z hrabianką, „stał się bezrządnym i niedbałym“, zaczął żyć nad stan i grać grubo w karty. Stary Lombert korzystając z tego smutnego położenia Kłoczewskich, narzuca się na męża ich córce Amelii i chociaż był „poszukiwany przed laty, a nawet i niezbyt dawno przez wielkie i bogate damy“, chce ją a nie inną „uszczęśliwić.“ Amelia odpowiada mu z całą otwartością, że „nie da się milionem złotych zakupić“, a przytém, że już kogo innego kocha. Wtedy Lombert, mający widocznie coś, o czém Amelia nie wiedziała na poparcie swych żądań, oświadcza, że da jéj miesiąc czasu do namysłu — „a wtedy, kto wié! może wcale inną odpowiedź uzyskam.“ Tém coś, co panu Lombertowi taką pewność dawało, były to po prostu weksle pana Kłoczewskiego przez niego wykupione i w jego rękach znajdujące się. Poszedł więc niezwłocznie do ojca, ażeby się na Anielkę poskarżyć, że jemu, „od którego los i dobre imię jéj własnego ojca zależy, odmówić poważyła się!“ Pan Kłoczewski przyparty do moru groźbami starego milionera, użył całéj swéj wymowy, wszystkich błagań i zaklęć, ażeby córkę skłonić do téj ofiary: „Wystaw sobie nakoniec — mówił, wyjawiwszy jéj rozpaczliwy stan interesów—że ci to Pan Bóg nakazuje, ażebyś na krótko panią Lombertową została, a ojciec twój znowu śmiało między przyjaciołmi oczy podnieść zdoła; czyli, pomyślał sobie, śmiało i z pełnym workiem do ćwika lub faraona powróci.“ Amelia złamana perswazyami ojca, przystała. I byłaby padła znowu więcéj jedna ofiara lekkomyślności i życia nad stan takich, jak Kłoczewski zacnych ojców i obywateli, znowu jeden więcéj Niemiec byłby tryumfował ze skutków tych polskich wad narodowych, gdyby... gdyby nie prosty przypadek. Amelia wygrała na oblig udziałowy, będący w jéj posiadaniu i prawie zapomniany znaczną sumę, przy pomocy któréj wykupiła, tak, że się Lombert nie domyślał, kto to robi, ojcowskie weksle i siebie uwolniła od małżeństwa ze wstrętnym adonisem.

W powiastce Nakwaskiéj Lombert wygląda przedewszystkiém śmiesznie i komicznie. W owe czasy typ tego rodzaju musiał się widać takim jeszcze wydawać. Dzisiaj wydaje się już nie tylko niebezpiecznym ale i groźnym—tam, gdzie się pojawi, robi się nie komedya, ale przygotowuje tragiczna katastrofa. To jednak najfatalniejszą jest w tém rzeczą, że jak przed laty pięćdziesięciu tak i dzisiaj, autorowie nasi na rozwiązanie téj kwestyi nie mogą znaleść innego sposobu, tylko jakiś niespodziewany szczęśliwy uśmiech fortuny, albo jakąś pomoc z zewnątrz przychodzącą. Zdawałoby się z tego, że i społeczeństwo całe nie znalazło w sobie na to innego sposobu.

Nieraz już, mianowicie na początku naszéj pracy, gdzie o młodszych latach Nakwaskiéj mówiliśmy, przychodziło nam wzmiankować o jéj wspomnieniach z czasów pruskich i ks. warszawskiego. Pisane w r. 1840 zostały one wydrukowane dopiéro w 1852, już po śmierci autorki. W tym to czasie podał je do druku jako „Wyjątki z pamiętników współczesnych“ Józef Korzeniowski i umieścił w Gazecie Warszawskiéj (r. 1852, N. 197 i nast.). Z listu jego do redaktora Gazety umieszczonego na czele dowiadujemy się, że nie wszystko co znalazł w rękopiśmie Nakwaskiéj wydrukował. Niektóre ustępy zostały pominięte dlatego, że autorka opisywała w nich wypadki polityczne, które zaszły jeszcze za czasów jéj dzieciństwa, których zatém wtenczas ani należycie, ani w całéj rozciągłości pojmować i wiedzieć nie mogła, i późniéj według skądinąd zebranych wiadomości przedstawiała; inne znowu rzeczy nie mogły być na widok publiczny podane ze względu zwykłego bardzo przy wydawaniu wszelkich pamiętników, że trzeba zważać na osoby i pamiętać o staréj zasadzie: *nomina sunt odiosa*. Może być że kiedyś, gdy z biegiem czasu, jak wszystko, tak i te względy ustaną, ukażą się Wspomnienia Nakwaskiéj w tym zwłaszcza drugim punkcie uzupełnione. Ale już dzisiaj możemy mieć choć w przybliżeniu pewne wyobrażenie, co w nich w téj części osobisto-anegdotycznéj zostało pominięte. Wiadomo, że autorka jeszcze w rękopiśmie udzieliła swych wspomnień Fryd. Skarbkowi i na nich to osnuł on swoję powieść: „Pamiętniki Seglasa.“ Z porównania téj powieści z istniejącemi w druku pamiętnikami wynika, że Skarbek wiernie trzymał się swojego źródła, że opisywał wypadki i ludzi tak, jak je znalazł opisane u Nakwaskiéj. Niewątpliwie zatém wszystko to, co zmyślony jego bohater, jako guwerner w różnych polskich domach przebywający pod fikcyjnemi imionami o ich wewnętrzném życiu, o nie bardzo budujących stosunkach małżeńskich, o fałszywym zapatrywaniu się na edukacyą dzieci, o zamiłowaniu w zbytkach i grze hazardownéj i t. p. opowiada, musi być także mniéj lub więcéj, stosownie do wymagań artystycznych, przerobioném powtórzeniem tego, co napisała Nakwaska jako fakty rzeczywiste o osobach z imienia i nazwiska wymienionych. Obrazy przedstawiane przez Seglasa i robione przez niego spostrzeżenia rzucają wogóle niepochlebne światło na ówczesne społeczeństwo — nie dziw, że Korzeniowski powstrzymał się, gdy mu przyszło dać klucz i historyczny komentarz, znaczenie tych powieściowych postaci wykrywający.

Zresztą chociaż tak przetrzebione „Wspomnienia“ zawierają w sobie mnóstwo rysów charakteryzujących obyczaje ówczesnego świata i nie mniejszą liczbę szkiców i sylwetek ludzi, co w tym świe-

cie szczuplejszą lub większą odgrywali rolę, począwszy od tak nijakiéj istoty jak pan Vauban a skończywszy na Napoleonie. Tak ludzie jak i wypadki trafnie ujęci i skreśleni bez pretensyi do wielkich historycznych obrazów, ale w tym niniejszym zakresie towarzyskiego i codziennego życia, w jakim się oczom Nakwaskiéj przedstawiali. Stąd pełno także tych drobnych szczegółów, które późniejsi dziejopisarze tak skrzętnie skąd mogą chwytają, bo bez nich i fizyognomia całéj epoki staje się często niejasną i ludzie historyczni nie mają tego charakteru i życia na twarzy, które ich robią naprawdę czującemi i żyjącemi istotami. Historycy i malarze obyczajowi owéj epoki znajdą w tych wspomnieniach nie mało dla siebie materyału i dotychczas podobno nie tylko jeden Skarbek czerpał już z tego źródła. Oprócz téj historycznéj wartości, „Wspomnienia“, jak jeszcze we wstępie do nich napisał Korzeniowski, „mają w wielkiéj części artystyczną wartość; są w wielu miejscach obrobione z życiem, z właściwym autorce rozumem, wielką znajomością świata i ludzi.“ Poczynają się one od roku 1792, kiedy autorka lat 10 życia liczyła. Po obrazie jéj dzieciństwa pełnym powabu „stosunki towarzyskie, zabawy i osoby do nich wchodzące za pruskiego rządu, opisane są najobszerniéj z wielką żywością i swobodą.“ Odznacza się tutaj opis domu księcia Józefa i charakterystyka pani de Vauban, jak niemniéj tego wyższego towarzystwa, które się u niéj „pod Blachą“ zgromadzało. Nader również są ciekawe obrazy z czasu pobytu Francuzów w Warszawie przed i po traktacie Tylżyckim, opisy tych rozlicznych balów i zabaw, któremi czczono Napoleona i jego marszałków lub które jego dygnitarze wydawali, a jako kontrast do nich owe skromne, etykietalne i nudne wieczory u króla Saskiego, których Nakwaska byłaby się chętnie wyrzekła, gdyby obowiązek nie nakazywał jéj był na nich się pojawiać. Wizerunki wreszcie kilku osób, „które majątkiem lub pięknością zabłysły na ówczesnym świecie jak fajerwerk i znikły w ciemności i zapomnieniu“ dopełniają galeryą tych pamiątek, które dla nas by po większéj części nie istniały, gdyby im pióro Nakwaskiéj nie było zapewniło trwalszego bytu.

„Wspomnienia“ jéj kończą się na upadku Napoleona, jak gdyby autorka powiedzieć nam chciała, że tu zarazem kończy się najpiękniejsza epoka jéj życia, że po za tém nie ma nam już nic ważnego do powiedzenia, że w tych latach dzieciństwa i młodości zawarło się wszystko, co było dla niéj szczęściem i co godném było wspomnienia, że co się późniéj stało tak w jéj życiu prywatném jak i na widowni historycznéj, nie może iść w porównanie z tą niezwykłą w świecie epoką, która wydała tylu nadzwyczajnych ludzi i tyle wielkich spłodziła wydarzeń, a dla niéj osobiście była tą złotą życia

chwilą, za którą się człowiek wiecznie ogląda, wiecznie po niéj tęskni i nigdy zapomniéć jéj nie może.

To téż po roku 1816 mówiliśmy ciągle o jéj różnych pracach, a nie o niéj samém, bo równocześnie w tym czasie usychają nam oba źródła, z których o niéj mogliśmy miéć wiadomości: na téj chwili kończą i „Wspomnienia“ i istniejąca dotąd jéj korespondencya z siostrą. Wielkiéj straty ani historya literatury ani ciekawość czytelników na tém nie ponosi. To życie płynęło odtąd zwykłém, jednostajném korytem, jak najczęściéj życie każdego człowieka, który zmierza już do końca swego zawodu. Nowe horyzonty myśli już się nie odsłaniają, świeższe i silniejsze uczucia już się nie budzą, maszyna ludzka czém się dotychczas stała przez pracę młodości i dojrzałego wieku tém pozostaje nadal, i tylko coraz cięższéj, z większym trudem się porusza. Koniec życia ludzkiego pozbawiony wszystkich powabów i roskoszy, powinienby przynajmniéj być zawsze podobnym do pogodnie zachodzącego słońca. Niestety! czy to już takie zrządzenie losu, czy skutek to tylko braku siły odpornéj, która nas w tym wieku opuszcza, ale najczęściéj przy końcu człowiek przez to czuje że żyje, że czuje dotykające go ciągle nieszczęścia i dolegliwości.

Bądźcobądź uważany za obowiązek zamieścić tutaj tych kilka szczupłych wiadomości, które z drugiéj połowy jéj życia posiadamy.

W r. 1831 dotknął Nakwaską bolesny cios przez rozłączenie się z jednym synem Henrykiem, który w tym czasie musiał zagranicę się przenieść. Odtąd tylko chwilowo i bardzo rzadko z nim się widywała. W r. 1837 odbyła podróż do Szwajcaryi do Villard, gdzie syn z rodziną swoją przebywał, i podróż tę opisała w Przyjacielu Ludu (: Rok V, 1838, T. I). Opuściwszy Wiedeń w końcu czerwca przez Tyrol dostała się do Szwajcaryi, zwiedziła Genewę, Bern, brzegi jeziora Lemanu, gdzie spotkała się ze wspomnieniami Roussa i więźnia z Chillonu i odbyła pielgrzymkę do Ferney, niegdyś siedziby Woltera, „owéj literackiego i eleganckiego świata Mekki“. Z nieznanych nam bliżéj powodów i wśród nieznanych okoliczności zabierała ona wtenczas „na długo“ wnuczki od ich rodziców i to właśnie było jedynym celem téj podróży. Że to rozdzielenie i pożegnanie „może na zawsze“ bolesném było dla stron obu, że Nakwaska dużo przytém smutków i wzruszeń przejść musiała, tego nie trzeba mówić. Z końcem sierpnia opuściła Villard z powrotem do kraju.

W parę lat późniéj w roku 1844 wyjeżdżała znowu na Szląsk i wspomnienia „téj krótkiéj podróży“ wydrukowała w roku następnym w „Pielgrzymie“ (Tom I i II). Przez Wrocław dostała się do Salzbrunn, gdzie się leczyły, jak pisze, „ukochane jéj istoty.“ Nie wiemy, czy to był jéj syn z żoną, czy też, co wydaje się prawdopo-

dobniejszém, te jéj wnuki, które przed laty siedmiu od rodziców wzięła, a teraz z niemi na kuracyą do Salzbrunn pojechała. Przez Drezno, Poznań, a następnie Gniezno i Toruń powróciła do domu.

Wiemy jeszcze o jednéj jéj podróży do Karlsbadu w celach leczniczych naturalnie, znacznie wcześniéj, bo jakoś niedługo po r. 1831 przedsięwziętéj a opisanéj przez nią w jednym z roczników „Niezapominajki“ Korwella.

Oprócz tych rzadkich i niezbyt długich wycieczek zagranicę, Nakwaska zresztą przebywała stale w kraju; zimą w Warszawie, latem w swojéj Maléjwsi w Płockiém. W mieście, jak już dawniéj wspomnieliśmy, zaraz po r. 1816 otworzyła u siebie salon literacki i utrzymywała go odtąd ciągle. Jaka była fizyognomia tego salonu dawniejszemi czasy, brak nam do określenia tego wszelkich wskazówek, o późniejszych jego latach mamy kilka wiadomości zapisanych przez ludzi, którzy tam uczęszczali. H. Skimborowicz, który zaczął być gościem na „niedzielach“ pani Nakwaskiéj po r. 1839, wtenczas kiedy równocześnie odbywały się „piątki“ u pani z Lipińskich Lewockiéj a „poniedziałki“ u pani Łuszczewskiéj, szczególnie zdawał się być uderzonym na tych zebraniach (jak opowiada w artykule: „Polki autorki i artystki“ w Bluszczu r 1879) imponującą osobistością saméj gospodyni. „Wspaniałéj postawy, wzrostu dość sporego, głowy zawsze w górę podniesionéj i śladów pozostałych jeszcze z piękności w rysach twarzy, wreszcie imponującego spojrzenia, które ongi musiało tłumy kłaść u jéj podnoża“, pokazywała Nakwaska na pierwszy rzut oka, że była niegdyś piękną i przywykłą do hołdów, a zawsze rozumną i energiczną. Poza tém jednak goście jéj literackiego salonu, w tych czasach późniejszych przynajmniéj, nie wiele mogli znajdować interesu i przyjemności. Nakwaska, przyzwyczajona zawsze prym trzymać, aż do zbytku zajmowała ich swoją osobą; zabierała ciągle głos po to, ażeby gościom odczytywać bez znużenia swoje Pamiętniki, zapytując ich na domiar złego o zdanie o nich, co naturalnie niejednego z przytomnych mogło w niemały ambaras wprowadzić. To odczytywanie powtarzało się tak często, że uczyniło wieczory pani Nakwaskiéj „nudnemi“.—„Sam słyszałem (opowiada daléj Skimborowicz) owe wspomnienia przeszłości kilkakroć odczytywane, szczególnie o balu, na którym był Napoleon i pani Walewska. Nie uniknął tego i Kraszewski w czasie bytności swéj 1846 r. w Warszawie“. Nic dziwnego! zacna matrona utonęła całą duszą w tych wspomnieniach i błogo jéj było wskrzeszać czasy swéj świetnéj młodości—choć dla słuchających, a zwłaszcza po razy kilka, nie mogło to miéć ani w setnéj części tego powabu. Inny znowu świadek, zdaje się również naoczny, pani Seweryna Pruszakowa

(w Tygod. Illustr. r. 1862) dodaje: „Na te wieczory (literackie) szanowna gospodyni domu wprowadziła zabawę literacką: zadawała sama pytania na piśmie, pełne dowcipu i żywotnego zajęcia, które obecne osoby rozbierały pomiędzy siebie, a w umówionym dniu przynosiły i odczytywały skreślone wierszem lub prozą odpowiedzi“... Zanadto to pachnie jeszcze hotelem Rambouillet, a chociaż p. Pruszakowa z grzeczności zapewne nazywa te pytania „pełnemi dowcipu“, to przecież podobne ćwiczenia na dany temat jakoś zbyt pedantycznie dziś wyglądają, a i niektórym z ówczesnych uczestników mogły za bardzo przypominać dawno przez nich przebyte czasy szkolne i profesorską powagę. Później, kiedy Nakwaska zaniemogła na oczy, zawsze czynna, siedząc w swym salonie „nigdy z rąk nie wypuszczała roboty, robiła na pamięć tasiemkę, nawet podczas liczniejszego w domu jéj zgromadzenia“—a nie mogąc już czytać ze swego ulubionego rękopisu, „przy takiéj robótce lubiła opowiadać wypadki z dawnych czasów, szczególnie z księstwa Warszawskiego“.

Państwo Nakwascy cieszyli się zresztą ogólną sympatyą i wziętością u ludzi rozmaitych zawodów, a dom ich tłumy nieraz w sobie mieścił: „w święta Wielkanocne (powiada Skimborowicz) całą tam prawie ówczesną mogłeś spotkać Warszawę.“ Kiedy zaś lato przepędzali na wsi, gdzie ich stanowisko i obowiązki były inne, tam znowu ona „zajmowała się jak matka dolą swych włościan. Ostatnim nawet jéj utworem piśmiennym były (nieznane nam) wiersze, któremi polecała się pamięci miłych kmiotków“ (słowa Pruszakowéj).

Nakwaska umarła w trzecim roku po śmierci swego męża, w Małejwsi 21 października 1851.

IV.

Kiedy przed laty trzydziestu przedtém Nakwaska czytywała jedynie tylko książki w języku francuskim pisane, a pomiędzy niemi także bardzo wiele romansów historycznych, nasunęło jéj się pytanie, dlaczego autorowie tych dzieł z wyjątkiem kilku wcale miernych, do prac swoich nie czerpali tematów także z dziejów polskich, czyli jak ona to sama w przedmowie do pierwszych swoich powieści powiada: „jakim sposobem się to stało, że naród tak oryginalny przez swoje obyczaje jak i formę rządu, tak interesujący przez zmiany swego losu jak i szlachetność charakteru, tak sławny ze swych czynów jak i nieszczęść, tak mało zajmował wyobraźnię romansopisarzy?“

Pisząc te słowa Nakwaska miała na myśli tylko pisarzy zagranicznych. Im to zarzucała poniekąd, dlaczego tak mało zajmują się dziejami polskiemi, mogącemi im dostarczyć dużo i nowych przedmiotów, nie pomyślała zaś o tém, że przedewszystkiém byłoby to obowiązkiem naszych autorów wziąć się do uprawy téj zaniedbanéj niwy, i że ich to należałoby do tego przedsięwzięcia zachęcić. Ale miala ona, jak z tego właśnie widać, wtedy to jeszcze przekonanie, że umysł polski nie był zdolny podążać w ślady romansopisarzy zagranicznych i dorównać im w tworzeniu dziel, łączących w sobie z powagą prawdy historycznéj urocze barwy poetycznego zmyślenia.

Dla podniesienia honoru narodowego, dla zwrócenia uwagi autorów zagranicznych na „źródło mało znane, z którego mogliby zaczerpnąć przedmioty zarówno interesujące jak i nowe" wydała ona właśnie owe pierwsze powieści po francusku pisane, z których połowa osnuta jest, na wypadkach lub podaniach historycznych. Miała to niby być próba piękności dziejów polskich i dowód, że się one jak inne do tworzenia na ich tle powieści historycznych nadają.

Bądźcobądź, czy z tych czy jeszcze z innych, może instynktowo tylko odczuwanych pobudek, kiełkowała w niéj już wtedy myśl stworzenia tego działu literatury, którego nam brakowało.

Niedługo, licznie właśnie w najbliższym lat dziesiątku pojawiające się romanse historyczne polskie i przez Polaków pisane musiały przekonać Nakwaską, że Francuzi i inni cudziemcy nie posiadali wyłącznego na to monopolu, a równocześnie mogły także wzmódz w niéj zaufanie do własnych sil swoich.

To pewna, że w zawodzie swoim literackim autorka nasza wzięła sobie za szczególne zadanie tworzyć powieści historyczne, i to za najwłaściwsze swoje powołanie uważała.

O téj gałęzi twórczości miała ona wprawdzie nie zbyt głębokie ale prawdziwe pojęcie, które prostemi słowy w pierwszych wierszach „Czarnéj Mary" w ten sposób wyraziła: „Bo te pisma (romanse historyczne) tak teraz upowszechnione, poniekąd historyą uzupełniać się zdają; a gdzie ona prostą tylko tkankę wcale pospolitych zdarzeń wystawia, tam pisarz powieści, tysiączne na téj tkance wyrabiając wzory, upiększa wypadki, zapełnia ich przerwy drobnostkami (!) czasowe obyczaje malującemi, nadaje życie i ruch osobom i przedmiotom, z któremi czytelnika obznajmia."

Walter-Scott, którego kilka wierszy daléj „nieśmiertelnym pisarzem z Abots-ford" nazywa, był naturalnie jak całéj plejadzie owoczesnych naszych romansopisarzy i jéj także najpierwszym wzorem. Całe prowadzenie rzeczy, ogólny ton w stylu autorki i w uczuciach jéj bohaterów, dekoracya wreszcie, którą stanowią bądź obrazy na-

tury, bądź wnętrza zamków i dworów szlacheckich, wszystko to niby słabsze echo tego potężnego głosu, którym Walter-Scott do współczesnych przemawiał, odbija się w historycznych powieściach Nakwaskiéj. Powtórzenie to bezwątpienia byłoby silniejszém, gdyby autorka miała bogatszą i rozleglejszą fantazyą i większy dostatek historycznych i archeologicznych szczegółów. To co się nazywa kolorytem historycznym, choć w istocie jest tylko złudzeniem, da się jedynie osiągnąć przez użycie w jak największéj liczbie tylko drobnych rysów, któremi odróżniają się od siebie zarówno jednostki jak i epoki całe, skoro w gruncie rzeczy natura ludzka zawsze tąż samą pozostaje. Że Nakwaska tych specyalnych znamion nie miała tyle ileby ich trzeba było, nie jest to zresztą ani jéj osobistą wadą ani témbardziéj winą. Ogólna nasza znajomość przeszłości nie dorosła jeszcze była wówczas do tego, ażeby którykolwiek z malarzy obyczajowych mógł był rozporządzać wielką liczbą takich charakterystycznych rysów, dających nam złudzenie historycznéj prawdy.

O ile jednak mogła i pod tym względem szła Nakwaska za przykładem Walter-Scotta. Jak on „rzadko kiedy oddalał widownią swoich powieści od gór lasów i strumieni“ (słowa wyjęte z „Czarnéj Mary“), tak i ona najchętniéj i zapewne z całą samowiedzą scenę działania swoich powieści umieszczała w tych stronach i okolicach, w których sama żyła albo które znała z naocznego widzenia. A więc najczęściéj na ziemi nad średnią Wisłą leżącéj. na Mazowszu i w Płockiém, które corocznie prawie wzdłuż przejeżdżała, odgrywają się jéj powieści, czasem w Krakowie albo w lesistych okolicach Karpackiego podgórza. po którém z podróży do kąpiel przedsiębranych tak błogie zostało u niéj wspomnienie.

Było to zresztą skutkiem jéj dzielnego, prawie męskiego rozumu, że w sztuce hołdowała prawdzie i tę za fundament i duszę poetycznego zmyślenia uważała. Kiedy w opisie podróży do Szwajcaryi, skąd, jak sobie przypominamy, ze smutnéj zapewne konieczności zabierała swoje wnuki z rodzicielskiego domu, opowiada, że równocześnie z tą bolesną sceną rozłączenia w najbliższém sąsiedztwie odbywało się gwarnie i hucznie wesele jakiegoś bogatego pana, przychodzi jéj na myśl, że „dwa tak sprzeczne życia ludzkiego wydarzenia mogłyby służyć za przedmiot malarzowi równie jak i poecie, ale (dodaje z wyraźném oburzeniem i zgorszeniem) nadto są *prawdziwe*, ażeby się niemi zająć chcieli, bo sztuka woli tworzyć niesłyszane nigdy wypadki, jak naśladować prawdziwie zajmujące istotnego życia wydarzenia.“

Kto się tak zapatrywał na istotę sztuki, nie dziw że mógł choć nie obdarzony wielkiemi zdolnościami artystycznemi naszkicować

kilka prawdziwych typów, zachować nam pamiątkę kilku pełnych życia postaci i kilka obyczajowych rysów ze swéj epoki, jak to uczyniła Nakwaska w niewielkiéj liczbie powieści, które wyszły z pod jéj pióra.

W literaturze nie zajęła ona celniejszego miejsca, ale życiem swojém dała nauczający przykład, jak wiele można zrobić z siebie przy dobrych chęciach i przy pracy nad sobą. Przez cudzoziemskie w młodości wychowanie napoły zobojętniała dla kraju ojczystego, stopniowo oczyszcza swoje wyobrażenia, otrząsa się z obcych naleciałości, i coraz wyżéj postępuje w pojmowaniu i w miłości tego co jest swojskiém i narodowém. W sercu jéj znajduje czułe echo każda, zła czy dobra, zmiana w losach ogółu, a rozum jéj oryentuje się szybko w wypadkach i należycie oceniać je umie. Ta wielkoświatowa niegdyś dama, która poza dworem i salonem długo nie widziała i nie znała innego świata, w starszych swoich latach przejmuje się do żywego dolą prostaczków i maluczkich, przypatruje się ze współczuciem ich moralnéj nędzy i ciemnocie, i w pomocy klas wyższych, w wypełnieniu przez nie obywatelskiego obowiązku, chciałaby znaleźć na to lekarstwo. Jedném słowem „zacna i rozumna kobieta“, jak ją nazwał Korzeniowski, dobra obywatelka.

Adam Bełcikowski.





Z GALICYI.

Dnia 5 maja 1887 r.

Zdanie posła Hausnera o dotychczasowéj działalności ministra Dunajewskiego.—Sprawa regulacyi rzek.—Ważne zmiany w naszém sądownictwie. — Konfiskaty dzienników i nasza wolność prasy.—Wystawa krakowska i wystawa obrazów Piotrowskiego.—Portret Szujskiego Jana Matejki. — Otwarcie kolei Stryj-Munkacz i przyjaźń węgierska.

I.

Stanowisko ministra skarbu, p. Dunajewskiego, jest bardzo wybitne i ważne, ale téż trudne i nieprzyjemne. Cóż mu z tego, że obok prezydenta gabinetu, uważają go wszyscy za osobistość najbardziéj zdolną i wpływową w rządzie przedlitawskim, skoro Niemcy radziby go w łyżce wody utopić, bo sama myśl, że Polak od lat siedmiu dobrze prowadzi machinę, któréj oni dawniéj nie mogli z miejsca ruszyć, spać im nie daje; skoro Polacy bezustannie na niego się skarżą, zarzucając mu obojętność dla Galicyi; skoro nareszcie on sam musi od rana do wieczora tylko o tém myśléć, jak dziury zatykać, w Austryi bowiem minister skarbu ma wiecznie do czynienia z niedoborem, który stał się tu już chorobą chroniczną. Podczas tegorocznéj rozprawy budżetowéj, znany nasz statysta, p. Otto Hausner, wypowiedział mowę, która, zdaniem mojém, ma szersze znaczenie, gdyż rzuca światło na ekonomiczną politykę ministra skarbu, i wskazuje drogę, którąby postępować należało, jeżli się chce zaprowadzić trwałą równowagę w budżecie państwa. Chociaż p. Hausner popierał p. Dunajewskiego, mimo to poddał on równocześnie jego system dość surowéj ocenie, w końcu jednak przyznał, że teraźniejszy minister skarbu przerósł o całą głowę swoich niemieckich poprzedników i więcéj dobrego dla skarbu austryackiego uczynił, niż dawniejsi ministrowie z epoki konstytucyjnéj razem wzięci. Mowę tę, dla jéj znaczenia doniosłego, przytoczę w streszczeniu ile możności wiernem,

Niedawno powiedziano w tej izbie — rzekł p. Hausner na wstępie — że Austrya ma zadanie państwa wielkiego, ale zasoby państwa średniego. Twierdzenie to nie jest sprawiedliwe. Trochę więcéj cierpliwości, rezygnacyi, zaufania i gotowości do ofiar ze strony ludów, więcéj energii w działaniu, odwagi i konsekwencyi ze strony rządu, a Austrya będzie uporządkowana wewnątrz i stanie niezależna na zewnątrz, w sposób nakazujący poszanowanie. Dochody Przedlitawii wyniosą — według budżetu w 1887 r. — 509 milionów guldenów, w Węgrzech 330 milionów, razem 839 milionów. Z pięciu wielkich mocarstw europejskich tylko trzy mają od naszego wyższy budżet dochodów, mianowicie Francya, Rosya i cesarstwo Niemieckie. Okazuje się przeto, że jeżeli się uwzględnia tylko absolutną wysokość dochodów, monarchia nasza może sobie rościć słuszną pretensyą do stanowiska wielkiego mocarstwa. Dochody nasze składają się z następujących czterech kategoryi: z podatków bezpośrednich, podatków pośrednich, z dochodów poczt i telegrafów, wreszcie z dochodów własności państwa. Pod względem dopuszczalności i wartości opodatkowania *bezpośredniego* w przeciwstawieniu do *pośredniego*, zachodzi jaskrawa sprzeczność zdań. Jeżeli obierzemy drogę pośrednią, dojdziemy do przekonania, że kraje w kulturze wysoko stojące, w obrocie ekonomicznym rzutkie, bogate w kapitały i silne w konsumcyi, chcą mieć i znoszą znaczną przewagę opodatkowania pośredniego, przeciwnie kraje zacofane, ubogie w kapitały i mające mniéj potrzeb, zawsze jeszcze muszą opodatkowanie bezpośrednie uważać za główne źródło swych dochodów. Idąc za tém zdaniem, musimy przyznać Austryi stanowisko w pośrodku, między Francyą, Anglią i Niemcami z jednéj, a Włochami, Hiszpanią i Rosyą z drugiéj strony, tak, że prawdą byłoby, iż panuje u nas średni stosunek między obu rodzajami opodatkowania. Na 99 milionów podatków bezpośrednich, mamy 303 mil. pośrednich. Stosunek jest przeto jak 1 : 3,07. Z innych państw europejskich, sześć ma stosunek dla bezpośredniego opodatkowania korzystniejszy niż Austrya. Tylko w Anglii, Rosyi i Francyi jeszcze więcéj przeważa opodatkowanie pośrednie. Nie można przeto doradzać dalszego jednostronnego podnoszenia opodatkowania pośredniego, ażeby przez to zniżyć podatki bezpośrednie — *ale wielka reforma podatków bezpośrednich w duchu sprawiedliwości*, większego pociągnięcia wszystkich, co zarabiają i posiadają, a przez to także i podwyższenia dochodów, musi być zadaniem zarządu skarbowego w Austryi. To, co w bezpośrednich podatkach w Austryi tak dotkliwie cięży, co tak boleśnie bywa odczutém i tak surowo bywa sądzone — to nie jest ich wysokość absolutna, lecz przeważnie ich rozkład niesprawiedliwy i błędny sposób wymierza-

nia. Podatek domowy, który sam przez się jest, jako państwowy, najwyższy u nas na świecie, staje się przez dodatki krajowe i gminne unikatem, któremu cudzoziemiec zaledwie da wiarę, podatek zaś domowo-czynszowy, jeżeli tylko będzie go czém zastąpić, musi być koniecznie zniżony. W Austryi każdy dom płaci średnio 9 guldenów 60 krajcarów, we Włoszech 7,20, poczém idą Francya, Prusy i Anglia z cyfrą 2,50 do 3 guld., a Bawarya tylko 1 guld. 20 krajcarów. Ci, co żądają zniżenia podatku gruntowego, mają także racyą. Na głowę przypada w Austryi podatku gruntowego 1 guld. 21 krajc., kiedy w Prusiech wynosi on 0·80 guld., a w Anglii tylko 0·40 guld. Nasz podatek gruntowy jest przeto jednym z najwyższych w Europie i wobec przesilenia rolniczego, tudzież niemieckich ceł zbożowych winien być zniżony, jak tylko będzie go czém zastąpić. Trzeci wielki, bezpośredni podatek w Austryi, podatek zarobkowy, mało daje dochodu, a tylko upadek małego przemysłu winien temu, jeżeli 10½ milionów, które z tego źródła do skarbu wpływają, są uważane za zbyt uciążliwe. Jeżeli teraz spojrzymy na kolumny cyfr, w jakie są ujęte austryackie opłaty *pośrednie*, na pierwszy rzut oka widzimy następującą niewłaściwość: *cukier*, którego używa stosunkowo niewielka część ludności i do tego nie w wysokim stopniu, jest realnie *14 milionami* obciążony. Przeciwnie wódka, któréj używa bardzo wielka część ludności, a często nadmiernie, włącznie z podatkiem od drożdży prasowanych, jest obciążana podatkiem *8,900,000 guldenów.* Tak co do opodatkowania, jak i co do produkcyi cukru, doszliśmy już w Austryi do ostatecznéj granicy, ale co do opodatkowania wódki, mamy jeszcze dosyć swobodne pole. Doświadczenie przemawia za tém, że przy wódce należałoby przejść do czystego podatku konsumpcyjnego i to w formie najwłaściwszéj, *w formie monopolu wódczanego.* Przez zaprowadzenie podatku konsumcyjnego od wódki, uzyskanoby dochód wyższy o 21,300,000 guld., sumę dostateczną aby znieść loteryą, a cenę soli zniżyć do połowy. Musimy przeto reformę opodatkowania pośredniego w tym celu uważać jako jedno z zadań najważniejszych, jak również i podatek *osobisto-dochodowy.* Jest mojém najgłębszém przekonaniem, że przywrócenia równowagi w gospodarce państwowéj austryackiéj, *bez podatku osobisto-dochodowego i bez monopolu wódczanego*, nigdy nie osiągniemy. Jeżeli jednak rząd sądzi, iż podejmując tak wielkie dzieło, wziąłby zbyt wielką na siebie odpowiedzialność, niechże na razie podatek od wódki pozostawi przynajmniéj tak jak jest, zamiast małemi dokuczliwościami, małém podwyższaniem stopy podatkowéj, starać się o małe dla skarbu korzyści, ale przytém wywoływać to niebezpieczeństwo, iż wielkie gałęzie rolniczéj produkcyi doznają uszczerbku. Dochody

z poczt i telegrafów są u nas znaczne, za to smutny obraz przedstawiają dochody z państwowego zarządu kolei żelaznych, tu bowiem wobec surowego dochodu, przynoszącego 23,600,000 guld., jest surowego wydatku 21,300,000 guld. Czysty zysk wynosi przeto ledwie 2,300,000 guld. Wszystkie zaś posiadłości skarbowe, mianowicie lasy, dobra, kopalnie, stadniny, mennica, drukarnia rządowa i służba cechownicza, wszystko to razem daje ledwie 2,328,000 guld. Z tego przeglądu finansowego wynika, że Austrya ma zasoby wielkiego mocarstwa. Daleko nam jeszcze do tego, żeby wątpić o przyszłości naszych finansów, chociaż wiem, że rosnące bez przerwy nieprodukcyjne wydatki na cele wojskowe, do jakich nas zbrojny pokój zmusza, mogą wywołać zniechęcenie. Pojmuję przeto bardzo, że na obu stronach téj izby panuje dość pesymistyczny pogląd, ale choć go nie podzielam, muszę jednak sam przyznać, że ze wszystkiego, czego w r. 1881 w mowie budżetowéj pod względem finansowym w najbliższéj przyszłości oczekiwałem, *nieskończenie mało się ziściło*. Wielka reforma podatków bezpośrednich nie doszła nawet do stadyum prac przygotowawczych, a z wywodów ministra skarbu zdawałoby się, że i on sam nie jest jeszcze przekonany o nagłości i konieczności tego dzieła. Monopol soli od r. 1869 nie doznał najmniejszéj zmiany, i jeszcze zawsze ten nieodzowny, a dla zdrowia nader pożyteczny artykuł jest obciążony ceną, która przedstawia *dziesięćkrotne koszta produkcyjne*. Także i starania o zniżenie ceny soli dla bydła, pozostały bez skutku. A o ile bramy monopolu soli zamykają się hermetycznie przed ludźmi i przed bydłem, o tyle wrota monopolu loteryi są w 4,000 kolektur gościnnie otwarte dla wróżbitów, defraudantów i przyszłych samobójców. Widzimy więc, że w ostatnich 7 latach (za rządów p. Dunajewskiego) nie wdrożono wielkiéj reformy podatkowéj i tylko małe przedsięwzięto zmiany. Mimo to nie da się zaprzeczyć, że suma dochodów wzrosła w sposób godny uwagi. Według budżetu na r. 1887, dochód z podatków bezpośrednich wynosi 99 mil., a więc o 11 mil. więcéj niż w r. 1880, w tym czasie podatek gruntowy zmniejszył się o 1,200,000 guld., podatki zaś pośrednie wzrosły z 251 na 303 miliony, a więc o 21%. Wszystko razem złączone czyni 40 procent wzrostu w ciągu 7 lat. Dochody z poczt i telegrafów wzrosły w tym czasie o 9,660,000 guld. t. j. o 53%. Jest to najświetniejszy wynik w austryackim budżecie. W ostatnich latach mamy wogóle dochodu o 109 milionów więcéj. Zapytajmy teraz, co rząd uczynił z tym większym dochodem? Odpowiedź jest zniechęcająca, ponieważ mamy niedobór o 14½ mil. większy niż przed 7 laty. Jeżeli z tego wykreślimy wydatki, wynikające z wzrostu kosztów ruchu, tudzież koszta sprawienia nowego

parku dla kolei skarbowych i inne tym podobne wydatki—pozostaje jeszcze zawsze zwyżka dochodów 55 milionów w porównaniu z budżetem na r. 1880. Jeżeli do tego dodamy niedobór 14 milionów, przewidziany na rok 1887, to w porównaniu z r. 1880, otrzymamy zwyżkę 69 milionów, co do którój musimy zadać poważne pytanie: co rząd z nią uczynił? Odpowiedź na to jest, że te 69 milionów pochłonęły wyższe wydatki, z których niestety nie wszystkie są produkcyjne. Ażeby jednak mojéj krytyce odjąć wszelki pozór niesłuszności, zamierzam także dać bilans sukcesów ostatnich 7 lat, to jest erę Taaffe - Dunajewski przeciwstawić erze Auersperg - Pretis. W dziewięciu leciech, od 1871 do 1879, wzrosły dochody o 57,500,000 guldenów, czyli o 17 procent, wydatki zaś zwiększyły się o 116 milionów, czyli o 37 procent. Ogólny niedobór całéj téj epoki wynosił 282,700,000 guld. W drugiéj epoce, od 1880 do 1887, wzrosły dochody o 110 mil. czyli o 27 proc., wydatki o 112 mil. czyli 26½ proc. Ogólny niedobór tych lat wyniesie 217,500,000 guld. Wynik ostatnich ośmiu lat jest przeto w porównaniu z poprzedzającemi 9 latami we wszystkich trzech przezemnie wskazanych kierunkach korzystniejszy: dochody podniosły się o 10 proc. wyżéj niż w epoce poprzedniéj, wydatki wzrosły mniéj niż o 10 proc., *a ogólny niedobór wynosi o 75 milionów mniéj.* Kto się przysłuchał moim wywodom, musi przyznać, że z finansowych nadziei, które w r. 1881 miéć było można, a które wówczas wypowiedziałem, bardzo mało się ziściło, *że jednak w porównaniu z poprzednią epoką, to siedmiolecie było o wiele pomyślniejsze.* Uważny słuchacz musi mi przyznać, że zasoby państwa wcale nie są wyczerpane, a kto w zasadach moich zgodny jest ze mną, przekona się z tego wywodu, że po zaprowadzeniu reform, które wskazałem, Austrya będzie mogła nietylko zadanie swoje jako wielkie mocarstwo spełnić, ale nawet nieśmiertelny niedobór zamienić na zwyżkę i dokonać przywrócenia waluty, tak samo jak to uczyniły Włochy, pomimo nierównie większych przeszkód, a mniejszych zasobów.

Powyższa mowa posła Hausnera nie była apologią ministra finansów; w sposób jasny wskazał on bowiem na ujemną stronę ekonomicznéj polityki p. Dunajewskiego, zarzucając jéj brak szerszego programu. Każdy zgodzi się w tém z p. H., że bez wielkich reform, Austrya z kłopotów finansowych nigdy nie wyjdzie, lecz równocześnie rzadko kto przyzna mu racyą, iżby w chwili obecnéj dał się u nas przeprowadzić program tak radykalny jak ten, którego szkic znaleźliśmy w jego mowie. Ilekroć chcemy Austryą reformować, czy to w kierunku politycznym, czy ekonomicznym, musimy wyglądać chwili brzemiennéj w groźne wypadki, gdyż państwo, jak ona

dynastyczne i na wskróś konserwatywne, mające liczny dwór u góry, a zapleśniałą biurokracyą u dołu, tylko wśród kataklizmu może się zdobyć na krok stanowczy i przystąpić do reform radykalnych. Bez klęsk z r. 1859 nie byłoby w Austryi konstytucyi, a bez pogromu z r. 1866, nie tworzyłyby dziś Węgry państwa w państwie. Jestem głęboko przekonany, że gdyby p. Dunajewski program posła Hausnera przyjął za swój i stanął z nim przed cesarzem, w nim pierwszym znalazłby oponenta, głównie dlatego, że tak plutokraci jak i arystokraci rodowi, wpływający w znacznéj mierze na politykę cesarstwa, byliby przez wzgląd na własne dobro przeciwni podatkowi osobistemu i monopolowi wódczanemu. Wiemy z doświadczenia, że nie wszystkie radykalne zmiany, zwłaszcza na polu ekonomicznem, powiodły się dotąd nawet genialnemu Bismarkowi, mimo, iż tenże pracuje dla państwa rewolucyjnego i sam jest pierwszym na świecie radykałem; trudno więc przypuścić, iżby coś podobnego mogło powieść się spokojnemu p. Dunajewskiemu, w spokojnéj i konserwatywnéj Austryi. Nastąpi to może późniéj, gdy zaczną bić pioruny, ale nie dziś....

Z prawdziwém zadowoleniem odczytaliśmy tę część mowy p. H., w któréj tenże cyframi udowodnił, o ile lepszym p. D. okazał się ministrem finansów od swojego poprzednika. Radość nasza jest tém większa, że Niemcy od niepamiętnych czasów mieli o naszych zdolnościach finansowych jak najgorsze wyobrażenie, skutkiem czego w ich języku utworzyło się wyrażenie „*polnische Wirthschaft*“, mające oznaczać nieład i bezrząd. Tymczasem dopiéro odkąd Polak stanął na czele ich finansów, został w nich jaki taki ład zaprowadzony. P. Dunajewski przekonał wszystkich, że Polacy mają głowę i umieją się rządzić. Okazał on także w ciągu siedmioletniéj swojéj działalności, że Polak, gdy przyjmie na siebie jakie obowiązki, umie je sumiennie spełniać, i nie cofnie się z drogi raz obranéj, choćby nawet ze strony własnych rodaków miały go za to spotkać najbardziéj ciężkie zarzuty. P. D. chcąc być dobrym ministrem finansów całéj jednéj połowy monarchii, nie może mieć nigdy na oku partykularnych interesów galicyjskich, nie może dla dobra naszych rolników poświęcać przemysłowców niemieckich, ani przez wzgląd na kołomyjsko-gorlicki przemysł naftowy, nie wolno mu zadzierać się z akcyonaryuszami wielkich rafineryi nafty, znajdujących się na Węgrzech. Rad nierad, musi on ciągle myśléć tylko o Austryi, a zapominać o Galicyi, choćby mu przytém miało nawet serce pęknąć. Nasz minister tak szczerze przejął się tą rolą, że w Wiedniu nikomu już przez myśl nie przejdzie wyrzucać mu jego polsko-galicyjskie pochodzenie, a że dla Polaków zaszczyt to niemały, iż w gabinecie

mają tak wybitną osobistość, przeto delegacya nasza w najważniejszych sprawach rządowi ustępuje, byle ministrowi skarbu nie stawiać trudności i przykrości mu nie sprawiać. Lecz czy tego rodzaju stosunki mogą trwać wieki? Bardzo wątpię. P. Dunajewski, jako mąż swój kraj szczerze kochający, przekona się prędzéj lub późniéj, że jego działalność dla Austryi może być bardzo użyteczna, lecz dla Galicyi będzie zawsze małoznaczącą, w Wiedniu bowiem, mimo zmiany systemu, prowincyą naszą uważają dotąd za rynek zbytu dla fabrykantów niemieckich, przytém za dzierżawę, z którą niewiadomo co się jutro stanie... Co do naszéj reprezentacyi, ta kiedyś także się spostrzeże, że ponieważ największych ustępstw musimy się domagać od ministra skarbu, wolności bowiem mamy dosyć, lecz pieniędzy mało, a od obecnego spodziewać się ich nie możemy, przeto kto wie, czy nie byłoby stokroć lepiéj, gdyby finansami zawiadywał w Wiedniu jaki Niemiec, od którego wytargowało by się nie jedno samą groźbą opozycyi, któréj jednak w obec ministra-rodaka nie godzi się używać. Idąc daléj wynurzam przekonanie, że nawet stronnictwo krakowskie, któremu p. D. swoję świetną karyerę zawdzięcza, powie sobie kiedyś: „lepiéj mniéj zaszczytu za to więcéj dobrobytu“, i dla dzisiejszego ministra finansów wyszuka takie miejsce, na którém z większym niż dziś pożytkiem będzie mógł dla swego kraju pracować...

Sprawę piekącą a dotąd niezałatwioną, o któréj jednak myśleliśmy przed trzema laty, że dzielny minister skarbu pomyślnie ją dla nas przeprowadzi, jest sprawa regulacyi rzeki galicyjskich, którą radzi nie radzi musimy poczytywać za pogrzebioną. Niedawno sam prezydent gabinetu rzekł, że z najwyższą rozkoszą uregulowałby nam rzeki, ale uczynić tego nie może, bo rząd nie ma na to pieniędzy. A czy znajdą się one kiedy? Być może, lecz wątpić należy, by szczęśliwy ten dzień zaświtał za teraźniejszego ministra skarbu. Dla Galicyi tylko ten minister coś uczyni. którego potrafimy do muru przycisnąć, a w obec p. Dunajewskiego tak niegrzeczni nigdy nie będziemy... I nietylko o regulacyi wszystkich rzek nie ma mowy, nam nie chcą nawet dać osobnéj komisyi technicznéj z siedzibą we Lwowie, któraby się zajmowała umiejętném zabudowywaniem dzikich potoków w Karpatach. Kilkakrotne klęski powodziowe tak w Galicyi, jak w krajach alpejskich dobitnie wykazały, że jednym z głównych powodów tak wielkich spustoszeń, jest pogorszenie się stanu potoków, które z obnażonych z wegetacyi stoków górskich, unoszą z sobą mnóstwo kamienia zwietrzałego, i w ten sposób przyczyniają się z jednéj strony do zwiększenia ilości wody w dolinach. z drugiéj zaś zasypując rumowiskiem górskiem i piaskiem te doliny, zamieniają naj-

urodzajniejsze grunta nadbrzeżne w nieużytki. Cztery lata temu, minister rolnictwa jeździł umyślnie do Francyi południowéj, aby zobaczyć tamtejsze roboty, zmierzające do ustalenia stoków górskich, i zatrzymania materyału ruchomego u źródeł rzek. Następstwem téj podróży, było utworzenie w Austryi dwóch sekcyi dla zabudowań potoków górskich, jednéj w Villach dla krajów alpejskich, drugiéj w Cieszynie dla prowincyi, położonych na północ od Dunaju. We dwa lata późniéj, minister rolnictwa zwiedzał nasze Karpaty wespół z p. Janem Salzerem, szefem instytucyi techników leśnych dla zabudowań potoków górskich, i tenże p. Salzer, po uważném przypatrzeniu się naszym górom orzekł, że niebezpieczeństwo, jakiém grożą dzikie potoki górskie w Karpatach, *jest tak samo wielkie* jak w Alpach, a górskie dopływy Dunajca, Biały, Wisłoki, Sanu, Dniestru i Stryja, przedstawiają takie pole działania dla robót górskich, które wcale nie ustępuje zadaniom tego rodzaju w krajach alpejskich. Że zaś niebezpieczeństwo, pochodzące z dzisiejszego stanu potoków górskich w Karpatach, jest przynajmniéj tak wielkie jak w Alpach, dowodzi wykaz szkód powodziowych z r. 1884, oraz formacya geologiczna Karpat, złożonych przeważnie z łatwowietrzejącego i niebezpiecznego w czasie powodzi piaskowca trzeciorzędnego, podczas gdy w Alpach występują więcéj trwałe i niepodlegające tak łatwo wpływom atmosfery pokłady skał krystalicznych. Zdawało się, że po takiém orzeczeniu, nastąpi u nas rychło utworzenie osobnéj sekcyi dla zabudowań potoków górskich, rząd jednak jakoś z tém się nie śpieszył. Wtedy najpierw wydział krajowy, następnie sejm, na posiedzeniu z d. 21 stycznia r. b. wystąpił z rezolucyą, żądającą takiéjże sekcyi dla Galicyi z urzędowym językiem polskim. I to nie pomogło. Rząd jak zawsze, i tym razem wykręcił się sianem, ponieważ zamiast utworzyć sekcyą oddzielną, wysłał p. Skowrońskiego, komisarza inspekcyi leśnéj do Villach, aby tenże uczestniczył tam w pracach specyalnéj komisyi dla zabudowywania potoków górskich, i mógł następnie jako fachowy pracownik działać na tém samém polu w Galicyi. Kraje alpejskie mają więc komisyą, do któréj należy kilkudziesięciu inżynierów i urzędników, Galicya zaś, mimo iż tymże krajom pod żadnym względem nie ustępuje, otrzyma tylko *jednego* komisarza, który choćby nie wiedzieć jak pragnął, nie potrafi sam nic zrobić. Oto na jakim punkcie stanęła sprawa regulacyi rzek galicyjskich. I niechże teraz kto powié, że nie mamy być z czego zadowoleni!...

II.

W pierwszych miesiącach r. b. nasze sfery sądownicze były w wysokim stopniu zaalarmowane, a publiczność zaciekawioną. W dwóch miastach obwodowych, w Przemyślu i Stanisławowie, stało równocześnie przed sędziami przysięgłymi dwóch sędziów powiatowych, z których pierwszy był oskarżony o branie „łapówek“, drugi o sprzeniewierzenie. Pierwszy został od oskarżenia uwolniony, ponieważ okazało się, że nie sam brał łapówki, tylko jego żona, na drugiego zaś padł wyrok potępiający. W Austryi panuje zdawien dawna luby zwyczaj zatuszowywania wszystkich spraw drażliwych, aby Europa, boże-chroń, o nich się nie dowiedziała, gdyż mogłaby potém powiedziéć, że państwowy nasz organizm nie jest całkiem zdrów. W stosunkach sądowniczych musiało więc u nas nastąpić wielkie pogorszenie, skoro nareszcie zdecydowano się powołać naraz aż dwóch sędziów do odpowiedzialności. Że te stosunki nie są bardzo dobre, o tém dowié się cierpliwy czytelnik z dalszego ciągu niniejszego artykułu.

Rząd austryacki, objąwszy Galicyą w posiadanie, zaprowadził w niéj tak zwane mandataryaty, które były sądami pierwszéj instancyi. Pięknéj téj instytucyi warto się zbliska przypatrzéć. Rzeczpospolita upadając, zostawiła całą warstwę przegniłą, złożoną z drobnéj szlachty i synów mieszczańskich, zaprawioną na pieniactwie przekupstwach, krzywoprzysięstwie i innych zdrożnościach. Gdy rząd austryacki zajął Galicyą, zdrowsza część szlachty, przez nienawiść do Niemców, stanęła na uboczu, i tylko najbogatsi z jéj grona, otrzymawszy korony hrabiowskie, pogodzili się z nowym stanem rzeczy, owa zaś warstwa przegniła, wyciągnęła ręce ku Wiedniowi, błagając o chléb i jaką taką władzę. Rząd austryacki nie opuścił proszących. Nie chcąc ich przyjąć ani do sądownictwa, ani do administracyi państwowéj, zrobił z nich takich urzędników, którzy skuteczniéj niż sami Niemcy mieli mu pomagać w przeprowadzeniu jego planów ukrytych. Tak powstały „mandataryaty“, władza niby krajowa, niby rządowa, siedząca na dwóch stołkach, odarta z czci i wiary, władza najbardziéj kraj demoralizująca. Chłopak, który nauczył się trochę czytać i pisać, w szesnastym roku życia szedł na praktykę do „mandataryusza,“ którego urzędownie sędzią nazywano, a ledwie coś połapał z kodeksów i powierzchownie zapoznał się z rozporządzeniami administracyjnemi, jechał do cyrkułu składać egzamin, przy którymi dobra znajomość języka niemieckiego była rzeczą najważniejszą. Jeżeli podobał się staroście, lub miał protekcyą, otrzymywał bezzwłocznie dekret na sędziego, poczém zaraz szukał posady. Właściciel

wsi przyjmował mandataryusza, jak przyjmował ekonoma, pisarza i pastucha do nierogacizny; właściciel go płacił, i on też sam mógł go odprawić. Cyrkuł nadzorował tylko jego czynności urzędowe. Taki sędzia, aby się utrzymać, musiał zatém równocześnie dwom panom służyć: dziedzicowi i staroście, pierwszy bowiem żyć mu pozwalał, drugi zaś mógł go każdéj chwili życia pozbawić, gdyż pod pierwszym lepszym pretekstem mógł mu dekret odebrać. Jeżli dodam, że polityka szlachty polskiéj była wówczas wręcz przeciwna polityce starostów-niemców, więc teraz chyba już każdy zrozumie, że takie siedzenie na dwóch stołkach, okupywało się jedynie obłudą, pochlebstwem i szpiegowaniem. Charaktery upadały coraz niżéj, sądy pierwszéj instacyi stały się gniazdami wszelkiéj podłości. Należy tu jeszcze dodać, że ponieważ szlachta mandataryuszów bardzo źle płaciła, przeto ci brali na prawo i lewo i każdéj chwili byli gotowi sprzedać Boga samego. Smutny ten stan trwał aż do r. 1856, w którym to czasie zwinięto mandataryaty, a na ich miejsce utworzono po małych miasteczkach mieszane urzędy powiatowe, do których głównego kontyngensu dostarczyli dawni mandataryusze; nazywały się one zaś dla tego „mięszanemi“ że urzędnicy administracyjni byli w nich pomieszani z sądowymi. Łatwo sobie wyobrazić, jak smutne to za sobą pociągało następstwa. Administracya wpływała bezustannie na wymiar sprawiedliwości, a prócz tego dawni mandataryusze, choć się teraz inaczéj nazywali, brali łapówki jak niegdyś. W dziesięć lat późniéj nastąpił rozdział między administracyą a sądownictwem. Dla pierwszéj potworzono starostwa w miejscowościach ważniejszych, dla drugich drobne sądy powiatowe. Od tego czasu zapanowały u nas stosunki więcéj regularne, lecz choćby do względnéj doskonałości jeszcze im bardzo daleko. Składa się zaś na to kilka ważnych przyczyn: duch korrupcyi nie zupełnie jeszcze wygasł, na czele sądownictwa nie zawsze stoją ludzie dość energiczni, światli i fachowo uzdolnieni, nakoniec rząd, wrzekomo dla braku pieniędzy, utworzył stosunkowo za mało sądów obwodowych i dlatego powiatowe mają za wiele władzy i nader rzadko się zdarza, by je kto kiedy kontrolował. Powoli naczelnik sądu powiatowego, oddany sam sobie, robi się paszą, za czém często gęsto idą wielkie nadużycia. Gdy lat temu kilkanaście, prezydentem sądownictwa w Galicyi wschodniéj został p. Schenk, zaczęła się była puryfikacya i na sądy powiatowe padła trwoga, lecz po upływie lat ośmiu czy też dziesięciu, pan prezydent zrobił się sam satrapą i zaczął tych protegować, którzy mu pochlebiali, owych zaś prześladować, którzy w jakikolwiek sposób ośmielili się, choćby w granicach ustawą dozwolonych, robić mu opozycyę. Za jego rządów autokratycznych demoralizacya zaczęła się na nowo

szerzyć, a świeże procesy w Przemyślu i Stanisławowie ilustrowały ją aż nadto wymownie. Cesarz, za ostatniéj bytności swojéj w Galicyi dał jednak p. Schenkowi do zrozumienia, że czas już najwyższy, aby się przeniósł w dobrze zasłużony stan spoczynku; p. Schenk rad nie rad musiał to uczynić, a teraz na jego miejsce przyszedł p. Simonowicz, z pochodzenia polak, człowiek wielkiéj prawości i energii, którego jak najlepsza sława poprzedziła. Uwag moich o sądownictwie nie mogę zakończyć, nie dotknąwszy jednéj rzeczy, która zdaniem mojém domaga się gwałtownie rychłéj zmiany. Oto zdarza się bardzo często, że prezes tego lub owego trybunału drugiéj instancyi, urzędujący na prowincyi, mając córkę, wydaje ją za adwokata. Pan adwokat osiedla się w téj saméj miejscowości, gdzie teść stoi na czele sądownictwa i rozpoczyna się formalny handelek. Zięć innym adwokatom zabiera klientów, gdyż wszyscy wierzą, że człowiek tak wybitny, lepiéj niż każdy inny jego sprawę poprowadzi; teść zaś popiera zięciaszka jak może gorliwie, dzięki czemu młody adwokat dorabia się szybko znacznéj fortuny. Zdaniem mojém powinnoby jak najprędzéj wyjść rozporządzenie, któreby związkom tego rodzaju stanęło na przeszkodzie, zwłaszcza że z tego powodu przychodziło już nieraz do procesów skandalicznych. Niedawniéj niż w roku ubiegłym dwaj adwokaci brzeżańscy za pośrednictwem swych żon pozywali trzeciego, który był zięciem prezydenta sądu, zarzucając mu zbyt jawne fawory ze strony teścia. P. Schenk, stojąc naczele sądownictwa, nie mógł tym stosunkom kresu położyć, gdyż i on wydał córkę za adwokata, któremu w ostatniéj chwili zrobił tę przysługę, że na pomieszczenie sądu apelacyjnego wynajął na 10 lat jego kamienicę, za co rząd będzie płacił sumę iście bajońską. Gdy o tym fakcie niezwykłym, i prawdę powiedziawszy, bardzo niepięknym, doniosły dzienniki lwowskie, prokurator, pozostający bądź co bądź w pewnéj zawisłości od naczelnika sądu, aby mu się przypodobać, uznał za stosowne zaraz je skonfiskować. Sam ten fakt, najlepiéj udowadnia, że czyn p. Schenka musiał być niemoralny, skoro prokuratorya chciała przeszkodzić jego rozgłoszeniu...

Dotknąłem prokuratoryi i konfiskat dzienników! Jest to przedmiot, który w ostatnich dwóch latach nie schodzi u nas z porządku dziennego. Wszystkie dzienniki niezawisłe, tak lwowskie, jak krakowskie i małe prowincyonalne, bywają raz w raz konfiskowane, a smutnemu temu losowi uległ przed kilku tygodniami nawet *Czas* podwawelski. Gdy to nieszczęście dotknęło sędziwego i wielce spokojnego staruszka krakowskiego, zdumienie było powszechne, konfiskata bowiem nastąpiła za wydrukowanie szczegółów o repetierkach austryackich, które równocześnie pojawiły się w półurzędowych organach wiedeńskich i peszteńskich. Ale p. prokurator snać o tém nie wie-

dział, a bojąc się czy *Czas* nie zdradza przypadkiem tajemnic urzędowych, uznał za stosowne, aby możliwemu nieszczęściu przeszkodzić, zabrać cały jego nakład i zamknąć go do kozy. Nie minie prawie miesiąc, żeby nie konfiskowano tego we Lwowie, co wydrukują w Krakowie, lub żeby prokurator krakowski nie potępił takiego artykułu, w którym lwowski jego kolega nie dostrzegł nic zdrożnego. Pochodzi to ztąd, że ustawa prasowa jest niezmiernie elastyczna, i od widzimisię prokuratora zależy podciągnięcie nawet najbardziéj niewinnego doniesienia pod którekolwiek z tych rzeczy świętych, na których straży państwo stoi. A temi rzeczami są: bezpieczeństwo cesarstwa, porządek publiczny, ustrój i ład społeczny, moralność publiczna i t. p. Wprawdzie wydawcy przysługuje prawo odwołania się do sądu, który orzeka, czy artykuł zasługiwał na konfiskatę czy też nie, ale droga to długa i do celu wcale nie prowadzi. Jeżeli w sądzie sprawę przegrasz, straciłeś czas i koszta wydane na adwokata; jeżeli ją zaś wygrasz, prócz zadowolenia moralnego, nie odnosisz więcéj żadnéj korzyści, bo choć prokurator każe ci zwrócić numer skonfiskowany, po kilku tygodniach lub miesiącach masz z niego tę tylko korzyść, że go możesz sprzedać na makulaturę. Konfiskowanie dzienników niezawisłych stało się teraz tak częste i modne, że w ciągu ostatnich pięciu miesięcy niektóre z nich straciły już przez to znaczne sumy. Czy to kiedy ustanie, trudno przewidziéć....

III.

Kraków krząta się około wystawy, która równo w dziesięć lat po ostatniéj lwowskiéj, zostanie otwarta w tém mieście. Czas wyznaczono dla niéj najstosowniejszy, miesiąc wrzesień, bo wtedy pogoda zwykle dopisuje, szlachta ma pieniądze po zbiorach, młodzież do szkół się zjeżdża, a turyści zakordonowi wracają z wód zagranicznych na leże zimowe i w swojéj podróży o Kraków potrącają. Z początku chciano ją zrobić bardzo okazałą, późniéj jednak względy oszczędności przeważyły i przepychu na niéj nie będzie. Nawet sztuka nie otrzyma osobnego pawilonu. Od niejakiego czasu dużo się mówi o małéj użyteczności wystaw powszechnych. Być może, iż ostatnie wystawy w Wiedniu, Paryżu i Nowym Jorku nie przyniosły tych korzyści, jakich się po nich spodziewano, ale trzeba wziąć na uwagę, że spodziewano się zanadto wiele i w tym celu miliony wyrzucano. Zupełnie inaczéj ma się jednak rzecz z malutką wystawą prowincyonalną, która przedewszystkiém powinna wykazać, jakie postępy poczynił kraj w dziedzinie rękodzieł i przemysłu. Gdyby nie wystawa lwowska z r. 1877, przemysłem domowym niktby się dziś w Galicyi nie zajmował, gdyż niktby nie wiedział, że on u nas się znajduje. Dopiéro ówczesna wystawa skierowała nasz wzrok na

niego i odtąd robi się dlań bardzo wiele. Kto więc może przewidzieć, co nam tegoroczna krakowska przyniesie. W każdym razie nie wątpię, że koszta na nią wyłożone wrócą się z procentem lichwiarskim. Sztuka polska, mam nadzieję, zaprezentuje się także w całéj swojéj okazałości, bo choć osobnego pawilonu na wystawie miéć nie będzie, w samém mieście znajduje się dla niéj dogodne pomieszczenie. Ale choćby nawet Kraków nie pokrył kosztów urządzenia wystawy (czegoś podobnego nawet przypuścić nie można), to jeszcze zarobią na niéj dosyć mieszkańcy sami, gdyż napływ gości tak z Galicyi, jak z innych ziem naszych będzie wielki. Zresztą godzi się czasem uczynić coś i dla ducha, zwłaszcza, że w czasach ostatnich świat myśląc tylko o korzyściach materyalnych, zaczyna o nim całkiem zapominać. Ale gdyby on był tylko wytworem materyi i wraz z nią ginął, to jeszcze i w takim razie, skoro umiemy pamiętać o żyjącéj materyi, nie powinniśmy także o tém zapominać, co obok niéj stanowi w nas niejako drugą istotę. A jakaż to będzie przyjemność dla naszego ducha, gdy do Krakowa zaczną się zjeżdżać starzy znajomi i przyjaciele, rozsypani po różnych ziemiach, i gdy oczy nasze spoczną na nieśmiertelnych płótnach Matejki, który w tym czasie sądzę, przedstawi nam się w całym swoim majestacie! Zaiste, dla poznania dzieł samego tylko Matejki warto będzie przyjechać na wystawę krakowską. Mimo niedostatków, od których żadne ludzkie dzieło nie jest wolne, Jan Matejko, bez względu na to, czy dostanie kiedy w Berlinie złoty medal, czy téż nie, będzie zawsze należał do rzędu największych mistrzów wieków ostatnich, świat zaś, który dziś w nim razi brak perspektywy, zbytnia rozrzutność kolorów jaskrawych, niezbyt harmonijne grupowanie i często gęsto zbytnia surowość rysunku, przyzna mu kiedyś jednogłośnie niedościgniony mistrzowstwo w odtwarzaniu poszczególnych indywidualności, za co należy mu się bezprzecznie sława nieśmiertelna. Poniszczcie wszystkie płótna Matejki, lecz zostawcie z każdego po kilka figur, nawet nie całych, tylko same ich głowy, a prawdziwy znawca powie na pierwszy rzut oka, że ma do czynienia z malarzem, któremu należy się miejsce wśród największych gloryi artystycznych. Z jak wielką prawdą psychologiczną umié on ludzi malować, o tém przekonywa nas nowe jego dzieło, wystawione dziś w Sukiennicach krakowskich, a przedstawiające ś.p. Józefa Szujskiego w wspaniałym stroju rektora uniwersytetu Jagielońskiego. To nie fotografia, oddająca wiernie każdą zmarszczkę, każdy włosek, a mimo to bezduszna, martwa; to prawdziwy portret znakomitego pisarza i myśliciela, który kiedyś, za lat dwieście lub trzysta, będzie skończonym portretem historycznym, tak samo jak nimi są dziś Rafaela Leon X i in. Ktokolwiek wpatrzy się w tę twarz bladą, schorowaną, nerwową, którą oświetlają

oczy pełne rozumu i głębi psychicznéj, pozna w niéj mędrca wieku XIX, tego stulecia pełnego wielkich porywów, namiętności i sprzeczności, w którém obok kościoła, stojącego na podstawach nierównie trwalszych, niż w wiekach średnich, szerzy się największa niewiara, w którym obok zdumiewających wynalazków widzimy ludzi łamiących ręce rozpaczliwie i wołających, że człowiek nie jest do niczego zdolnym, w którym obok wiedzy tak olbrzymiéj i rozgałęzionéj, że jéj samo objęcie nie leży już w siłach jednego człowieka, każdy umysł bezstronny, obznajomiony z jéj wynikami, rad nierad musi powiedzieć, że właściwie nie wiemy nic więcéj nad to, co już przed tysiącami lat mówili mędrcy starożytni! Dla mnie portret Szujskiego jest skończonym portretem historycznym, a między portretami Matejki, które widziałem, zajmuje bezprzecznie pierwsze miejsce. Mówiono mi, że Matejko malował zmarłego historyka po śmierci, z pamięci. Jeżeli w rzeczy saméj tak jest—to zaiste tém więcéj zdumiewać się potrzeba.

W chwili, gdym w Sukiennicach podziwiał tę nową pracę mistrza krakowskiego, do jednéj z sal pobocznych cisnęły się tłumy ciekawéj publiczności, tam bowiem p. Piotrowski wystawił szereg swoich obrazów olejnych, ilustrujących pamiętną wojnę serbsko-bułgarską. Gdyby nie to, że wrażenie téj wojny było tak samo u nas, jak w całéj Europie bardzo wielkie i gdyby nie okoliczność, że postać ks. Aleksandra Battenberga, zwłaszcza po jego bytności we Lwowie, stała się w Galicyi bardzo popularną, obrazy p. Piotrowskiego nie miałyby ani w połowie tego powodzenia, jakie je spotkało w grodzie podwawelskim. Przed Szujskim zatrzymywało się stosunkowo niewiele osób, przeciwnie wystawę Piotrowskiego zwiedzało dziennie blisko po 2000 ciekawych. Wątpię, czy nawet największe dzieła Matejki miewały kiedy tylu gości. Nie odmawiam p. P. talentu, przeciwnie każdy musi w nim uznać talent rzetelny, ale z tém wszystkiém nie można powiedzieć, iżby jego epizody z wojny serbsko-bułgarskiéj były arcydziełami. Jest między niemi jeden obraz, przedstawiający artylerzystów wyjeżdżających na pagórek, w którym czuć prawdę i wierne podpatrzenie natury, w innych widać także koloryt miejscowy, dużo powietrza i dobrą perspektywę, wszelako tam, gdzie ludzie występują, artysta nie wzniósł się po nad szablon. Przed obrazem przedstawiającym walkę na bagnety i tym, na którym widzimy rannych, opatrywanych przez lekarzy, publiczność najchętniéj się zatrzymuje, tymczasem są to kompozycye bardzo mierne, i gdyby nie to, że wojna serbsko-bułgarska niezmiernie nas interesowała, nie widzielibyśmy przed niemi tłumów żywo rozprawiających.

Skoro dotknąłem rozmaitych wystaw, muszę więc wspomnieć jeszcze o jednéj, wielce oryginalnéj, i o ile mi się zdaje, pierwszéj

u nas w tym rodzaju, która niebawem przyjdzie do skutku. W roku ubiegłym cesarz austryacki bawiąc w Galicyi na manewrach, przyrzekł przysłać nam w tym roku swojego syna i następcę tronu, arcyksięcia Rudolfa. Niedawno temu, gdy cała Europa była pogłoskami wojennemi zaalarmowana, zachodziła obawa, że arcyksiążę nie przyjedzie, po uciszeniu się jednak złych wieści, zostaliśmy urzędownie zawiadomieni, że podróż ta, tém pożądańsza dla nas, że arcyksiążę dopiéro pierwszy raz będzie w Galicyi, w ciągu czerwca r. b. niewątpliwie nastąpi. Jéj program, jeźli do tego czasu zmianie nie ulegnie, będzie taki. Wprost z Londynu, z jubileuszu królowéj Wiktoryi, przybędzie arcyksiążę do Krakowa d. 28 czerwca. Po drodze odwiedzi w Krzeszowicach Artura hr. Potockiego. Na pobyt w Krakowie przeznaczono dwa dni. W drodze do Lwowa wysiądzie arcyksiążę w Tarnowie, dla złożenia wizyty rodzinie książąt Sanguszków w Gumniskach. W Łańcucie u hr. Alfreda Potockiego przenocuje, a następnie zatrzyma się w Przemyślu, skąd zrobi wycieczkę do Krasiczyna, rezydencyi ks. Adama Sapiehy. Do Lwowa przyjedzie d. 1-go lipca wieczorem i zabawi tu 4 dni. Punktem kulminacyjnym przyjęcia we Lwowie, będzie bal w gmachu sejmowym u marszałka krajowego, hr. Jana Tarnowskiego; bal drugi przygotowuje miasto w ratuszu. Wyjechawszy ze Lwowa, odwiedzi arcyksiążę hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego w Pieniakach, ztamtąd uda się do Tarnopola, gdzie ciekawą przygotowują dlań wystawę. Oto za staraniem tamtejszego komitetu zostanie urządzona wystawa etnograficzna z żywemi typami ludu galicyjskiego ze wszystkich okolic. Aby ją zrobić ile możności dokładną i świetną, komitet odniósł się do wszystkich rad powiatowych z prośbą, aby mu przysłały rzadsze okazy z dziedziny etnografii, a prócz tego aby wyprawiły do Tarnopola po dwie pary mieszkańców w stroju świątecznym. Równocześnie namiestnik polecił starostom, aby ci ze swéj strony wspierali w tym kierunku usiłowania rad powiatowych. Z Tarnopola arcyksiążę wyruszy przez Podole do Kołomyi, skąd zrobi wycieczkę do naftodajnéj Słobody Rungurskiéj i uda się do Węgier. Arcyksiężna ma mu towarzyszyć tylko do Krakowa.

Kończąc list niniejszy, muszę się z czytelnikami podzielić miłą wiadomością. Oto minister oświecenia, d-r Gautsch, przychylił się do wniosku naszego namiestnika i pozwolił aulę politechniki lwowskiéj przyozdobić freskami, na które rząd przeznaczył kwotę 20,000 guldenów. Freski będzie malował Matejko przy współudziale swoich uczniów. Jak dla Lwowa, niezmiernie ubogiego w dzieła prawdziwéj wartości artystycznéj, piękny ten krok pana ministra jest wielkiéj doniosłości.

Józef Rogosz.



Z powodu broszury p. W. Rudnickiego

O ROZWOJU RZEMIOSŁ W KRAJU NASZYM.

Wypracowany przez sekcyą IV-tą Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, projekt nowéj ustawy rzemieślniczéj spotkał się z wielu stron z gorącymi zarzutami i protestami. Z pomiędzy tego gradu pocisków zasługuje na bliższe rozpatrzenie jeden, najtęższego kalibru, rzucony przez p. Władysława Rudnickiego, inżyniera, w broszurze, zatytułowanéj: „Pogadanki o rozwoju klasy rzemieślniczéj w Królestwie Polskiém“. Autor bowiem był członkiem delegacyi, która będący w mowie projekt opracowywała, i usunął się z niéj dopiero skutkiem krańcowéj niezgodności w poglądach ze swymi kolegami, zna więc rzecz dokładnie. Co więcéj, nie poprzestaje on na krytyce, lecz przedstawia sam swój projekt organizacyi przemysłowéj, oparty na popularnéj zasadzie wolności pracy i dążący do zastąpienia rutynowego nauczania rzemiosł w terminie u majstrów przez odpowiednie szkoły specyalne. Taka sympatyczna myśl, chociażby się nawet okazała niewykonalną w praktyce, powinnaby być poddana poważnéj ocenie, czego dotąd w prasie naszéj nie uskuteczniono. Wreszcie, do szczegółowszego rozejrzenia się w pracy p. Rudnickiego skłoniło nas i to, że negatywna jéj strona, dająca się ogólnie zamknąć w zarzucie złéj woli i wiary, skierowanym przeciwko twórcom nowéj ustawy i całemu nawet T-stwu pop. przem., pozyskała zupełne uznanie dwu pism (*Głosu* i *Prawdy*), broniących interesów ludu wogóle i klasy robotniczéj w szczególności. Słuszną więc jest rzeczą, żeby i *Ateneum*, któremu interesy klasy pracującéj nie mniéj są drogie, choć je niekiedy inaczéj niż powołane pisma pojmuje, zdanie swoje w téj sprawie wypowiedziało.

Zaczynamy od pozytywnéj części broszury. Rzecz swoję podzielił autor na cztery „pogadanki“, do których dołączył jeszcze

„dodatek“, opatrzony osobną paginacyą. W pogadance pierwszéj szkicuje ogólnymi rysami historyą rzemiosł i systemów ich nauczania w Chinach, oraz południowéj i zachodniéj Europie—starożytnéj, średniowiecznéj i nowoczesnéj; w drugiéj kreśli dzieje cechów i rzemiosł w Polsce; w trzeciéj przedstawia organizacyą rzemieślniczą, istniejącą w Rosyi, wreszcie w czwartéj stara się dowieść wyższości utylitarno-społecznéj rzemiosł nad przemysłem wielkim i podaje wzmiankowany wyżéj własny projekt organizacyi przemysłowéj dla kraju naszego. O treści „dodatku“ pomówimy późniéj. Powiedzieliśmy już, że p. R. jest gorącym rzecznikiem wolności pracy i szkół rzemieślniczych, a więc tém samém nieprzejednanym przeciwnikiem cechów. Skutkiem tego całe dzieje świata przybrały pod jego piórem odcień niezbitych dowodów, przemawiających donośnie na korzyść jego zapatrywań. Jest to naturalny wynik, stanowczo—a zapewne nawet naprzód, przed poznaniem historyi przedmiotu, jedynie na podstawie własnych spostrzeżeń—powziętych przekonań, dlatego nie można by mićć nic przeciwko temu, gdyby autor przedstawiał fakty dokładnie i tylko oświetlał je w odpowiedni swemu stanowisku sposób. Wreszcie, w książce, nie mającéj celów naukowych, lecz czysto agitacyjne, uszłoby nawet pominięcie faktów założeniu przeciwnych. Autor jednak nie przestaje na tém, lecz niekiedy o wypadkach i ludziach przeszłości, przedstawianych powszechnie w zupełnie innem świetle, opowiada takie nieprawdopodobne historye bez dokładnego wskazania źródła swych wiadomości, iż zmusza do przypuszczenia, że puścił swobodnie wodze swéj wyobraźni. Z niéj tylko chyba wypłynąć mogło twierdzenie, iż ustawa dla rękodzielnictwa, zredagowana w r. 1596 przez Bartłomieja Laffemasa, a „zatwierdzona i *niezwłocznie w życie wprowadzona* przez Henryka IV“, „wymagała najenergiczniéj, aby dla rozwoju przemysłu i ukrócenia żebractwa i włóczęgostwa *założyć w każdym okręgu po dwie szkoły bezpłatnéj nauki rzemiosł, pozwolić ludności zajmować się swobodnie rzemiosłami i bronić ją tylko od gnębiącego wyzysku korporacyi cechowych.*“ Zdaniem Michała Chevaliera, zapalonego zwolennika wolności pracy, „kamieniejemy, dowiadując się, że Henryk IV (ten sam Henryk IV!), jeden z największych i najlepszych monarchów, jacy panowali kiedykolwiek w Europie, wydał jednakże edykt z r. 1597, którym przepisał na nowo rozszerzenie korporacyi cechowych na całe królestwo“ (1). Według mnie wszakże, łatwiéj skamienieć można po przeczytaniu tego, co o *tym samym*, zdaje się, edykcie mówi p. Rudnicki, zwłaszcza jesz-

---

(1) „Histoire de l'Economie politique par l'histoire de la liberté du travail,“ par Michel Chevalier. Paris, 1869, str. 206.

cze, kiedy się wié, co o postanowieniach Henryka IV, regulujących sprawy przemysłu i handlu, lub o dziejach szkół rzemieślniczych w odleglejszéj przeszłości piszą tacy uczeni, jak W. Roscher (1), G. Schönberg (2), H. Valleroux (3), K. Marlo (4), A.. Blanqui (5) i inni. Za drugi przykład równie dziwnego mirażu, stworzonego przez wyobraźnię p. R., możemy wymienić przeistoczenie sławnego jako wzór i typ protekcyonisty, znakomitego ministra Ludwika XIV, Colberta, którego geniusz w części stworzył, w części odrodził najważniejsze gałęzie przemysłu francuskiego, lecz którego system nadmiernéj reglamentacyi działalności ekonomicznéj producentów, przeszedłszy w ręce mniéj troskliwych i sumiennych, lub nieudolnych następców, przyczynił się do powstrzymania na długi czas dalszego rozwoju tak świetnie zapoczątkowanéj pracy wytwórczéj narodu—przeistoczenie, mówimy, tego głośnego protekcyonisty i reglamentatora na zwolennika i oniemal koryfeusza idei wolności pracy i swobody handlu!

Podobnie oryginalnych odkryć z dziejów przemysłu w innych krajach moglibyśmy przytoczyć więcéj, chociaż rozwiać złudzenia autora byłoby nam już tu w wielu razach trudniéj, ponieważ maluje on często rzeczy ogólnikowo nie cytując ani określonych faktów, ani źródła swych wiadomości. Tak więc historyczna podstawa, na któréj p. R. opiera swoje poglądy musi być uznana w znacznéj części co najmniéj za bardzo niepewną. Faktem jest, że ani cechy nie były tak szkodliwą ekonomicznie instytucyą, jak się to autorowi wydaje, ani nieograniczona wolność pracy nie wydawała takich błogich wyłącznie skutków, ani żaden kraj nietylko w wieku XVI, lecz nawet w bieżącym nigdy „dwóch szkół rzemieślniczych w każdym okręgu“ nie posiadał, lecz wszędzie ogromna większość rzemieślników kształciła się drogą terminowania u majstrów. Ponieważ jednak zarówno wolność pracy, jak szkoły rzemieślnicze mają swoje bardzo dobre strony, przeto żywą sympatyą dla nich autora najzupełniéj podzielamy i z tém też uczuciem życzliwości przystępujemy do rozbioru jego projektu organizacyi przemysłowéj. Brzmi on dosłownie, jak następuje:

---

(1) „Nationaloekonomik des Handels und Gewerbfleisses.“ III Aufl. Stuttgart, 1882. — (2) „Handbuch der polit. Oekonomie“ in Verbindung mit... herausgegeben von Dr. G. Schönberg T. I, rozpawa XVIII. — (3) „Les corporations d'arts et métiers et les syndicats professionels en France et à l'étranger.“ Ouvrage couronné. Paris, 1885.— (4) „Untersuchungen über die Organisation der Arbeit oder System der Weltoekonomie.“ T. II: „Geschichte und Kritik der oekonom. Systeme.“ II Aufl. Tübingen, 1884.— (5) Histoire de l'Economie polit. en Europe depuis les anciens jusqu'a nos jours.“ Paris, 1837.

1) „Większe miasta, jak również mniejsze miasta i miasteczka z okręgami tworzą oddzielne gminy przemysłowe. — 2) Do gmin takich obowiązani są należéć wszyscy pracujący w przemyśle, zarówno właściciele fabryk, technicy, służba, majstrowie, robotnicy i wszyscy rzemieślnicy, pracujący w obrębie gminy na własną rękę lub u kogobądź. — 3) Każdy ma prawo zajmować się wszelkim przemysłem, o ile prawa państwowe nie stanowią osobnych, jakich ograniczeń. — 4) Zarząd gminy przemysłowéj składa się z prezydenta i kilku pomocników, których ilość stosuje się do wielkości gminy i różnorodności miejscowego przemysłu. — 5) Zarząd gminy jest wybieralnym przez wszystkich członków gminy; prezydent nadto musi posiadać pewien cenz naukowy. — 6) Zarząd gminy jest płatnym; ma osobne biuro i funkcyonuje codziennie. — 7) Wszystkie sprawy gminne, przechodzące kompetencye zarządu, decydują się ostatecznie na ogólném zebraniu gminném. — 8) Wszyscy należący do gminy płacą podatek postępowy od dochodów brutto obliczanych.— 9) Wysokość opłacanych podatków jest projektowaną poszczególnie przez zarząd gminy i rozpatrywaną na ogólném gminném zebraniu. Po czém tabela podatkowa przedstawia się do komitetu przemysłowego gubernialnego i postępuje daléj z poprawkami i uwagami do decyzyi odpowiedniéj władzy gubernialnéj. — 10) Każda gmina przemysłowa powinna utrzymywać własnym kosztem choć jedną niższą szkołę fachową z bezpłatną nauką rzemiosł. — 11) Każdy zakład przemysłowy może mieć niekontraktowanych małoletnich uczniów, potrzebuje jednak uzyskiwać na to corocznie osobne pozwolenie od zarządu gminy. — 12) Opieka nad chorymi i podupadłymi członkami i ich sierotami należy do gminy; o ile nie jest, w ostatnim wypadku, testamentem zagwarantowaną. — 13) W każdéj gubernii jest wybieralny komitet przemysłowy, który reprezentuje w obec władz interesa wszystkich gmin przemysłowych, reguluje podatki i wydatki tych gmin i pracuje nad rozwojem oświaty fachowej i dobrobytu w masie ludności przemysłowéj. — 14) Członkowie komitetów gubernialnych są zatwierdzani w swoich obowiązkach przez odpowiednie władze, pobierają pensyą i urzędują stale. Przynajmniéj połowa ich musi posiadać wyższy cenz fachowy. — 15) W każdéj gubernii musi być choć jedna szkoła fachowa dla majstrów tj. o szerszym zakresie wiedzy, utrzymywana wspólnym kosztem gmin przemysłowych i pozostająca pod bezpośrednią opieką komitetu gubernialnego.“

Tak się przedstawia w całości plan ustawy przemysłowéj p. R. Zasadnicza jego myśl opodatkowania wszystkich osób, zajmujących się przemysłem; (w prawdzie, my wolelibyśmy wyłączyć z obowiązku ponoszenia tego ciężaru robotników prostych; zupełnie fachowo nie

wykwalifikowanych) na rzecz bezpłatnych szkół rzemieślniczych zasługuje, zdaniem naszém, na zupełne uznanie. Zdaje nam się jednak, że w téj formie, w jaką dobry ogólnie pomysł został przyobleczony, nie dałby się on urzeczywistnić w praktyce. Na tak szeroką skalę nie odważono się dotąd przeprowadzić organizacyi szkół fachowych w żadnym kraju. Francya wprawdzie zrobiła pewien krok w tym kierunku, zalecając gminom zakładanie szkół rzemieślniczych i stawiając je na równi z ogólnemi szkołami elementarnemi co do prawa do otrzymania pomocy materyalnéj ze strony państwa. Wszelako i to nawet postanowienie, pomimo rozłożenia ciężarów na wszystkich członków gminy, nie tylko na ludność przemysłową i zapewnienia subsydyum państwowego, nie dorównywa wysokością żądań wymaganiom p. R. Dość przejrzéć koszta utrzymania któréjkolwiek z istniejących w Warszawie szkół rzemieślniczych, by się przekonać, że wprowadzenie w życie zakładów podobnych, choćby w znacznie skromniejszym zakresie co do wykształcenia ogólnego, w każdém mieście i miasteczku wymagałoby funduszów o wiele przenoszących środki naszego ubogiego społeczeństwa. A ileż by to nadto kosztowało utrzymanie owych zarządów gmin, biur, prezydentów i komitetów przemysłowych, funkcyonujących codziennie i złożonych przeważnie z ludzi, posiadających wyższy cenz fachowy, a więc i wyższe wymagania dobrych płac, tembardziéj, że posady te byłyby bardzo nie stałe, bo wybieralne co pewien czas, a któżby zdołał tak wszystkim dogodzić, żeby był zawsze pewny ponownego wyboru? Wreszcie, zachodzi nawet wątpliwość, czyby się wogóle opłaciło ponoszenie tak znacznych wydatków na kształcenie fachowe rzemieślników małomiasteczkowych, przeznaczonych na zaspokajanie potrzeb niższych warstw społecznych, mających bardzo skromne środki, a skutkiem tego i niewielkie wymagania? Kiedy się te zarzuty rozważy, trzeba się zgodzić z p. Makowieckim, iż projekt swój „ubrał autor w formę pięknéj, ale niepraktycznéj *idylli*.“ A należy jeszcze zwrócić uwagę na to, że proponowana przez p. R. organizacya, pomimo całéj swéj kosztowności dąży wyłącznie do jednego celu, a mianowicie do podniesienia poziomu wykształcenia fachowego rzemieślników, pomijając prawie zupełnie wszystkie te inne ich potrzeby, którym tylko łącznie, przy pomocy sił stowarzyszenia, lub przymusowéj organizacyi zadość uczynić można. Wspomina wprawdzie autor o „opiece“ nad chorymi i podupadłymi członkami gmin i ich sierotami, lecz nie mówi nic, na czém ta opieka ma polegać i czy z nią łączyłaby się zarazem pomoc materyalna w wypadku potrzeby?

Nie pojmujemy zupełnie, dlaczego p. R. domaga się obliczania podatków od dochodu *brutto*. Przecież byłaby to norma rażąco nie-

sprawiedliwa, bo niejednakowa bynajmniéj dla wszystkich przedsiębiorców równéj zamożności, a mogłaby się nawet stać zabójczą dla tych przedsiębiorstw, w których kapitał obrotowy przeważa znacznie nad zakładowym. Podobnież nie odgadujemy przyczyny, dlaczego każdy zakład przemysłowy musiałby uzyskiwać *corocznie osobne pozwolenie* na prawo utrzymywania uczniów małoletnich. Żądanie to jest wprost sprzeczne z bronioną przez autora ideą wolności pracy, a jednakże nie zostało przez niego wcale umotywowane. Nie mniéj dziwi nas niepojęty wstręt p. R. do kontraktowania uczniów. Jeżeli wielu ekonomistów liberalnéj szkoły, zwłaszcza dawniejszych, ostro występowało przeciwko instytucyi terminowania przez czas określony, to czynili to głównie dlatego, że korporacye cechowe ukuły z niéj oręż haniebnego wyzysku młodocianych robotników przez oznaczanie obowiązkowego, a zawsze nadmiernie długiego okresu trwania nauki. Późniejsza praktyka jednak wykazała, że zupełna wolność zrywania umów dobrowolnie zawieranych między majstrami i terminatorami, jest zarówno szkodliwą dla obu stron interesowanych, jak dla postępu przemysłowego wogóle. Z tego powodu większość współczesnych ekonomistów przemawia nawet za ustanowieniem *prawnego obowiązku* zawierania kontraktów na piśmie, żądając, naturalnie, zarazem rozciągnięcia odpowiedniéj kontroli państwowéj nad tym aktem dla zapobieżenia nadużyciom ze strony niesumiennych majstrów, rodziców i opiekunów. Posłuchajmy np. co mówi o tym przedmiocie ten sam Gustaw Schönberg, w oryginale niemieckim dzieła, na którego polskie streszczenie p. R. często się powołuje dla poparcia swych poglądów. Wyliczając „*najistotniejsze* środki *prawodawcze* dla zapewnienia dobrego praktycznie wykształcenia technicznego terminatorów“, kładzie na pierwszém miejscu „przepis *obowiązkowego zawierania na piśmie i regestrowania kontraktów* terminatorskich, oraz określenia warunków normujących, któreby obowiązywały pomocniczo w tym wypadku, kiedy kontrakt piśmienny ułożony został w formie niewystarczającéj.“ „Piśmienne sporządzanie umowy — dodaje Sch. — jest potrzebne, ażeby jéj warunki lepiéj i pewniéj były określone.“ Potrzebę regestrowania tych umów i kontroli władzy nad niemi, usprawiedliwia ekonomista niemiecki tém, iż „mają one szczególną ważność, gdyż rozstrzygają o przyszłości terminatorów; układ i wykonanie tych kontraktów warunkuje ekonomiczne i społeczne położenie całych warstw narodu, oraz stan produkcyi rzemieślniczéj“ (1). Na dowód szkodliwości kontraktowania uczniów rzemieślniczych twierdzi p. R., iż ministrowie francuscy:

(1) „Handbuch der polit. Oek.“ Tom I, str. 896.

Duruy, Simon i Ferry, „występowali przeciwko niemu“, a „rada związkowa szwajcarska zabroniła go wogóle“, o całym zaś projekcie swoim mówi, że wzorował go na najpraktyczniejszych prawodawstwach Europy zachodniéj, tymczasem oto co Schönberg o nich pisze: „Kontrakty terminatorskie muszą być w Austryi i pojedynczych *kantonach szwajcarskich* zawsze, we *Francyi* zaś zazwyczaj (*in der Regel*) *zawierane na piśmie.* W Niemczech.... prawo z 17-go lipca 1878 poprzestało tylko na poparciu (*hat nur begünstigt*) umów piśmiennych przez zapewnienie im ochrony przeciwko zerwaniu kontraktu, któréj układy ustne nie doznają“ (1).

Nie wydaje nam się to wreszcie rzeczą zupełnie pewną, żeby szkoły rzemieślnicze, pomimo niewątpliwéj ich doniosłości, dla postępu wykształcenia fachowego mogły zastąpić całkowicie naukę praktyczną w warsztatach prywatnych. Na poparcie tego powątpiewania przytoczymy zgodne w głównych punktach z naszym poglądem zdanie Juliusza Simona, którego imię p. R. nieraz przyzywa na pomoc w swych rozumowaniach: „Niepodobna jest — mówi ten uczony i mąż stanu — usposobić w téj saméj szkole tkacza i mechanika, czyli mówiąc wyraźnie, nauczyć ich rzemiosła. Szkoła, która będzie mieć kuźnię, nie może mieć warsztatu tkackiego. Tyle warsztatów, tyle różnych zatrudnień, tylu nauczycieli różnych rzemiosł, nie mogą żyć razem, pod jedną dyrekcyą z oszczędnością i korzyścią. Wszystkoby szło źle i nie każda specyalność miałaby dosyć uczniów, aby się utrzymać. Z tych przyczyn szkoły rzemieślnicze, wcale odmienne od szkół realnych, powinny być specyalne. Można je zakładać tylko w wielkich ogniskach przemysłowych i to dla przemysłu górującego. Nietylko z nich ta korzyść, że dostarczają dobrych robotników, lecz oszczędzają dzieciom długiego terminowania“ (2). P. Rudnicki zwrócił zapewne wyłączną uwagę na ostatnie tylko zdanie. Tymczasem oto, jak je Simon zaraz na następnéj stronie ogranicza. „Nie proponujemy wcale, aby terminowaniem po pracowniach zastąpić zupełnie szkołę rzemieślniczą. Byłoby to przedsięwzięcie bardzo śmiałe, a rezultaty jego może smutne. Teorya z natury rzeczy wzięłaby niechybnie górę nad praktyką prędzéj lub późniéj. Pewna liczba szkół normalnych dla głównych gałęzi przemysłu francuskiego, umieszczonych w ich ogniskach, — oto wszystko, czego wymagamy i co wystarczyłoby dla obudzenia emulacyi i wydało może pokolenie dobrych robotników. Szkoły rzemieślnicze *w tych granicach* byłyby instytucyą wyborną.“

---

(1) Dzieło powyższe na téj saméj stronicy.

(2) Juliusza Simona „Rzecz o szkole.“ Kraków 1866, str. 182 i 183.

Komuż z nas nie zdarzało się pod wpływem jakiéjś stałéj idei widzieć wszystko w jednostronném oświetleniu, mimo najszczerszych chęci utrzymania się na drodze faktycznéj prawdy? Dlatego cokolwiekbądźbyśmy powiedzieli o wartości praktycznéj projektu p. R. i jego naukowéj znajomości przedmiotu, nie mamy wcale zamiaru podejrzewać jego dobréj wiary. Owszem, przyznajemy najchętniéj, że we wszystkich jego wynurzeniach przedmiotowych i pomysłach pozytywnych przebija się wyraźnie szczera troska o dobro swego społeczeństwa wogóle i rozwój klasy rzemieślniczéj w szczególności. To też takie stanowisko autora „Pogadanek“ zjednałoby mu z pewnością bezwarunkową sympatyą czytelników, gdyby się był powstrzymał od licznych, aż do znudzenia ciągle w kółko powtarzanych w dopiskach do broszury, wycieczek osobistych przeciwko swym oponentom z Towarzystwa pop. przem. i handlu. Co jednakże, według naszego zdania, więcéj jeszcze zaszkodzić musi w oczach sędziów bezstronnych p. R., to ta „próba moralna“, o jakiéj opowiada w „dodatku“ do pogadanek, na którą wystawił uczciwość delegacyi, układając kwestyonaryusz rzemieślniczy. Ale przedewszystkiém musimy wyjaśnić, dlaczego autor dobrą wiarę i wolę delegacyi miał w podejrzeniu. Oto opowiada on, że gdy po zawiązaniu się Tow. pop. przem. i handlu, rozpoczęły się debaty nad sposobem podzielenia go na sekcye, „T-stwo zaparło się wszelkich interesów ogólnych i postanowiło popierać wyłącznie interesa prywatne. Dlatego trzy pierwsze sekcye zostały poświęcone prywatnym interesom pewnych grup wielko-przemysłowych; piąta sekcya miała obowiązek podtrzymywania poprzednich przez wyjednywanie ceł protekcyjnych i regulowanie taryf przewozowych, a czwarta miała być poświęconą przemysłowi wiejskiemu, t. j. rolnictwu. Popierania zaś drobnego przemysłu i rzemiosł Towarzystwo wcale na siebie przyjąć nie chciało. Szczególnie znaczna ilość mówców występowała przeciwko wszelkim dążeniom, mającym na celu rozwój klasy rzemieślniczéj. Po wielu jednak debatach zarząd Towarzystwa zmienił tytuł sekcyi czwartéj na sekcyą drobnego przemysłu miejskiego i wiejskiego. Kiedy zaś przystąpiono do zapisywania się do sekcyi, to do czwartéj wpisało się trzy, czy cztery razy więcéj osób, niż do innych i wybrano przy balotowaniu na przewodniczących sekcyi tych właśnie, którzy najwięcéj powstawali przeciwko rozwojowi klasy rzemieślniczéj“, a mianowicie p. St. Przystańskiego, głównego opiekuna Szkoły Rzemiosł imienia Konarskiego, i p. A. Makowieckiego, redaktora *Gazety Rzemieślniczéj* i od lat dawnych najczynniejszego i najkompetentniejszego pisarza o sprawach, dotyczących naszych rzemiosł i rzemieślników. Niech nam wybaczy p. Rudnicki, ale doprawdy

trudno uwierzyć, żeby ci panowie, cieszący się ogólnie opinią ludzi uczciwych i szczerze obywatelskiemi chęciami ożywionych, mogli być tak przewrotni, by téj właśnie sprawie pozornie okazywali największą sympatyą, którą pragnęliby zadławić. Z tego powodu żałować wypada, iż p. R. nie wymienił dokładniéj, przeciwko jakim to mianowicie „dążeniom“ pp. P. i M. „najwięcéj występowali“, bo być może, iż w wystąpieniach tych nie mieli oni na celu sprzeciwiania się rozwojowi klasy rzemieślniczéj, lecz tylko nie zgadzali się na proponowane przez kogoś tym końcem środki, a p. R. dał się może zanadto unieść wrażeniom osobistym. Bądź jak bądź, już z wyboru osób powyższych na przewodniczących sekcyi autor przewidywał „zabagnienie sprawy.“ „Pomimo to wszakże zapowiedział, że za parę tygodni przedstawi wniosek, odnoszący się do reorganizacyi rzemiosł.“ Lecz p. Przystański ubiegł go w tym względzie i w pięć dni już po złożeniu powyższéj zapowiedzi przedstawił swój wniosek o konieczności zawierania na piśmie kontraktów pomiędzy majstrami i terminatorami. Według autora, wniosek ten miał na celu oddanie uczniów rzemieślniczych majstrom w „niewolę.“ Po tém, cośmy wyżéj o tym przedmiocie powiedzieli, nie potrzebujemy dowodzić, że tkwi w tym poglądzie nadmierna jednostronność i przesada. Bo kontrakty krępują przecież i majstrów, a piśmienne ich zawieranie ułatwia nad nimi kontrolę i pozwala nadto opiekunom terminatorów dochodzić sądownie sprawiedliwości, w razie niedotrzymania umowy przez pryncypałów. Natomiast nie możemy zrozumiéć, dlaczego p. R., należąc do delegacyi, która wniosek p. Prz. rozpatrywała, nie zaoponował stanowczo, w razie potrzeby w prasie, przeciw dodanemu przez delegacyą żądaniu, „ażeby dozwolone było oficyalnie, jak się to praktykuje prywatnie, nie stołować terminatorów w warsztatach, lecz wydawać im tylko pieniądze na życie całodzienne?“ Ci z członków delegacyi, którzy nie mieli sposobności poznać bezpośrednio stosunków warsztatowych, mogli nie odgadnąć, jaką krzywdę takie postępowanie wyrządza w większości wypadków terminatorom, nie mogącym się stołować u rodziny; uczestniczący zaś w obradach nad wnioskiem majstrowie nie dosłyszeli zapewne głosu sumienia, przytłumionego brzęczącą korzyścią osobistą. Ale co zamknęło usta p. Rudnickiemu, który interesowanym w sprawie téj nie był i rzecz dobrze rozumiał, jak nas dziś o tém zapewnia? Tego doprawdy domyśléć się nie umiemy.

Ostatecznie wniosek p. Przystańskiego został przez delegacyą i sekcyą przyjęty, tylko ogólne zebranie Towarzystwa orzekło, że kwestya terminatorów nie jest dostatecznie zbadana i zaproponowało, aby delegacya jeszcze daléj pracowała nad wyjaśnieniem téj sprawy

„Zbieraliśmy się więc daléj — pisze p. R. — ale coraz widoczniejszém się stawało, iż nikt nie wié, jak się wziąć do rzeczy i co robić. Byłem już zniechęcony do kółka, z którém przypadkowo wypadło mi pracować, nie byłem jednak pewny, czy ci ludzie ciągną innych na mylną drogę przez nieświadomość, czy téż w interesie koteryi i dlatego postanowiłem przy pierwszéj nadarzonéj sposobności poddać ich *próbie moralnéj* (1) przez wystawienie na pokusę przysłużenia się koteryi." Moralnéj próby owéj dokonał p. R. w ten sposób, iż ułożył kwestyonaryusz rzemieślniczy, podzielony na 10 pytań, zredagowanych tak, „żeby każde zawierało samo w sobie odpowiedź miłą koteryi" (cechowo-plutokratycznéj). „Naturalnie — dodaje autor — że przytém nie miałem wcale na względzie wyjaśnienia organizacyjnych potrzeb naszych rzemieślników, lecz tylko zręczny układ pytań." Doprawdy, naszém zdaniem, nie było to tak zupełnie „naturalne." Bo wyobraźcie sobie, czytelnicy, że należycie do jakiegoś stowarzyszenia, lub co więcéj, do wybranéj z jego łona komisyi, mającéj na celu dokonanie jakiéjś pracy dla dobra społecznego. I oto jeden z was, różniący się od swych towarzyszy w zapatrywaniu na sprawę, przedstawia wam plan działania stanowczo przeciwny założonemu celowi, w jego przynajmniéj mniemaniu, i czyni to dla wypróbowania waszéj uczciwości. Czybyście takiego kolegę darzyli nadal swém zaufaniem i chcieli z nim łącznie pracować, choćby on nawet szczerze był przekonany, że dokonał tylko „próby moralnéj"? Jesteśmy przekonani, że taki wysoki nietakt, graniczący wprost z obelgą dla podejrzewanych, musiałby wszędzie wywołać oburzenie i uniemożliwić dalszą wspólną pracę z człowiekiem, do tego stopnia nie rachującym się z poczuciem godności własnéj swych towarzyszy. Wszedłszy raz na tę drogę, p. R. zamknął za sobą dobrowolnie furtkę odwrotu. Gdyby bowiem delegacya pytania „miłe koteryi" odrzuciła, nie mógłby przedstawić innych, zupełnie co do swego ducha przeciwnych, bez wyjaśnienia, iż pierwsze były tylko „próbą moralną." A wtedy obruszyłby na siebie wszystkich towarzyszy i musiałby się z ich koła usunąć. Gdyby zaś jego kwestyonaryusz został przyjęty, byłoby to wystarczającym dla niego dowodem, iż ma do czynienia z ludźmi złéj wiary, z którymi nie pozwoliłoby mu wespół pracować — sumienie.

---

(1) Kiedy sobie uprzytomnimy to zamiłowanie p. R. do urządzania „prób" i porównamy zarazem wzmiankowane poprzednio zdania, lub czyny Henryka IV, Laffemasa, Colberta, Schönberga, Simona i wielu wreszcie innych z tém, co o nich opowiada autor „Pogadanek", nie możemy się obronić żartobliwemu przypuszczeniu, iż chciał on może *wypróbować* naukowe przygotowanie swych recenzentów. Przykro więc zapewne będzie — gdy się o tém dowiedzą — tym z pomiędzy nich, którzy nie zdali egzaminu, oddając bezwzględne pochwały, zastawionéj na siebie... pułapce.

Faktycznie rezultat próby wypadł pośrednio pomiędzy dwiema powyższemi ewentualnościami. Delegacya z 10 pytań pana R. przyjęła 7, zaprowadziwszy w nich podobno drobne zmiany, trzy zaś odrzucone zastąpiła innemi, których znaczenia p. R. wprawdzie „dotychczas nie rozumié“, ale które w żadnym razie nie dowodzą, żeby delegacya miała być „przeciwna rozwojowi klasy rzemieślniczéj.“ Owszem, zdaje się być rzeczą pewną, iż źródłem tych pytań była właśnie szczera troska o ów „rozwój.“ Aby czytelnik mógł sam osądzić, czyśmy to „znaczenie“ ich dobrze zrozumieli, przytaczamy je dosłownie:

Pytanie 8-me brzmi: „Jakichby potrzeba kas pożyczkowych, magazynów spółkowych, lub innych tym podobnych instytucyi, aby *przyjść z pomocą rzemieślnikom w rozwoju* (tak!) *ich interesu*?

Pytanie 9-te. „Dlaczego towary zagraniczne konkurują z naszymi wyrobami i co by zrobić wypadało, nie rachując na cła, aby konkurencyą tę uczynić nieszkodliwą i wytrzymać ją z łatwością?“

Pytanie 10 te. „Coby zrobić potrzeba, aby zwiększyć sprzedaż naszych wyrobów (znowu „rozwój“!) w kraju, a szczególniéj też w cesarstwie i jakie głównie przedmioty wywożone są do cesarstwa?“

Z przyjętych przez delegacyą siedmiu pytań swoich, cytuje p. R. dwa, na dowód panowania nad umysłami delegowanych interesów „koteryi“, a mianowicie—*pytanie 1-wsze*: „Czy Ustawa Rzemieślnicza z r. 1816 jest odpowiednią teraźniejszym potrzebom rzemieślników; co by z niéj usunąć wypadało, lub jakie zmiany zaprowadzić?“, oraz *trzecie*: „Czy nie byłoby pożyteczném zniesienie majstrów tak zwanych *konsensowych* i wydanie postanowienia, aby każdy, kto chce otworzyć warsztat, przyjmować robotę na swoją rękę i utrzymywać uczniów rzemieślniczych, winien był się zgłosić do urzędu starszych i tam, po odbyciu właściwego egzaminu i odrobieniu sztuki, otrzymał świadectwo na majstra?“ Zdaniem autora, pytania te naprzód przesądzały, iż dawna ustawa całkowicie zniesiona być nie może i o żadnéj zupełnie nowéj organizacyi rzemiosł myśléć nie podobna. Prawda, że delegacya była tego przekonania i według nas, postąpiła uczciwie, dając mu szczerze wyraz w kwestyonaryuszu, lecz nie możemy się zgodzić z p. R. na to, żeby, kto uważał, „iż dla rozwoju naszego społeczeństwa potrzebna jest wolność pracy i zniesienie majstrów cechowych, ten *musiał milczéć*.“ Sądzimy, że p. R. za wielką przywiązuje wagę do formy pytania. By się przekonać o tém, możeby zechciał poddać „próbie“ jakiekolwiek dwuletnie dziecko, które się już raz poznało na smaku oleju rycynowego, i zapytał je np.: „Kochaneczku, czy chcesz zażyć oléj w winie, czy w kawie czar-

néj?", a z pewnością malec bez chwili namysłu, lub wahania odpowie mu: „Ja nie chcę wcale oleju, proszę pana." Czyż można więc przypuszczać, ażeby rzemieślnicy dojrzałego wieku dali się złapać na taki fortel, na którym dwuletnie dziecko bez trudu się poznaje? Chyba nie! Wreszcie, zdanie nasze potwierdza pięć, nadesłanych Towarzystwu, odpowiedzi, oświadczających się za zupełném zniesieniem ustawy. Pozostałe zaś 113 głosów za utrzymaniem jéj z pewnemi zmianami, lub bez zmian, nie były zapewne wywołane mniemaną presyą formy zapytania.

Z tych 5-ciu pytań, zredagowanych przez p. R., których, idąc za jego przykładem, tutaj nie przytoczyliśmy, trudniéj jeszcze byłoby wycisnąć dowód złych zamiarów delegacyi względem klasy rzemieślniczéj. I doprawdy, że p. R. niesłusznie się obmawia, twierdząc, że przy układaniu ich nie miał wcale na myśli wyjaśnienia organizacyjnych potrzeb naszych rzemieślników. Jeżeli zaś tak było faktycznie, to mu się zamiar stanowczo nie powiódł. Na czém więc oparł on zarzut złéj wiary i woli swych kolegów? Co upoważniło go do postawienia im tak ciężkiego zarzutu, jak ten, że „złe instynkta majstrów cechowych, skierowane przeciwko własnym braciom, znalazły w inteligencyi T stwa pop. przem. i hand. zamiast nagany, najenergiczniejsze poparcie"? A trzeba dodać, że nie brak w broszurze jeszcze namiętniejszych obwinień. Oto np. ogólny wniosek rozumowań autora: „Z tego więc wszystkiego, co wypowiedziałem w pogadankach i co ujawniłem w tym dodatku, wynika, że *jedynym celem* projektowanéj ustawy rzemieślniczéj, ogłoszonéj przez zarząd Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, *jest powstrzymanie rozwoju naszego społeczeństwa u dołu.* Zapał jednak koteryjny uniósł twórców tego projektu tak daleko, że nie ograniczyli się na postawieniu przeszkód, zdążających do powstrzymania rodziców z klas średnich od oddawania dzieci do rzemiosł (1), ale nadto ułatwili germanizacyą kraju (2) i nie zawahali się nawet pozbawić ogromną ilość ludzi wraz z ich rodzinami prawa do uczciwéj pracy (3), chociaż to może w danéj chwili spowodować zgubne dla społeczeń-

(1) Trudno odgadnąć, o czém tu p. R. myśli, gdyż żadnych takich przeszkód w projekcie niema.

(2) Ten zarzut już wysoce jest niesprawiedliwy, gdyż § 118 ustawy orzeka, że „cudzoziemiec, nie mający krajowego poddaństwa, majstrem być nie może," a więc tém samém zmusza cudzoziemców do opłacania 2 do trzech z górą razy droższego patentu wielko-przemysłowego i pozbawia ich ważnego dla rzemieślników prawa utrzymywania terminatorów.

(3) Przez ustanowienie dla wszystkich rzemieślników obowiązku składania egzaminów na czeladników i majstrów.

stwa rozruchy robotnicze. Rozpatrywany więc projekt ustawy rzemieślniczéj jest to *corpus delicti* téj koteryjnéj działalności, która od kilkunastu lat sztucznie nurtuje nasze zbolałe społeczeństwo.“ „Pewna część naszéj prasy oświadczyła się przeciwko ogłoszonemu drukiem projektowi ustawy rzemieślniczéj; pomimo to nie trudno jest przewidzieć, że utwór ten pod jakimbądź pretekstem zostanie przedstawiony do Petersburga, dla tego, że w przeciwnym razie wypadałoby wziąć się na nowo do pracy i prowadzić robotę gruntowniéj i sumienniéj, co się sprzeciwia interesom koteryi.“ Dziś wiemy już, że przewidywania p. R. nie ziściły się, gdyż ogólne zebranie T-stwa projekt odrzuciło, skutkiem czego zarząd polecił ponownie ustawę rozpatrzéć i odpowiednio do życzeń większości ją zreformować. Znowu więc autor pomówił T-stwo o złą wolę i wiarę niesłusznie. Żałować tego wypada bardzo, ponieważ niesprawiedliwe te wycieczki zmniejszyły doniosłość niektórych uwag i zarzutów słusznych.

Do takich zarzutów usprawiedliwionych,—obok obrony wolności pracy dla rzemieślników, nie należących do zgromadzeń, którym w celu powstrzymania szerszego rozlewu fuszerki możnaby zakazać utrzymywania uczniów, nie broniąc im samym zarabiania w taki sposób, w jaki umieją, bo na to nie pozwala ich prawo do życia,—zaliczamy uwagę, iż Towarzystwo, zabrawszy się do gruntownéj reformy ustawy rzemieślniczéj, powinnoby rozpatrywać interesa rzemiosł i rzemieślników łącznie z interesami robotników fabrycznych i organizacyą przemysłu wielkiego. Pojmujemy to dobrze, że już sama różnica systemu produkcyi w przemyśle wielkim i drobnym nie pozwala na zaprowadzenie zupełnie jednostajnéj organizacyi dla obu tych gałęzi wytwarzania. Dlatego nie możemy się zgodzić z p. Rudnickim na to, ażeby w razie, jeżeliby cechy przywrócone zostały dla rzemiosł, „surowy ich rygor“ powinien obowiązywać i przemysł wielki, lecz nie godzimy się również ze zdaniem wiceprezesa Towarzystwa, p. Kiślańskiego, iż „przemysł wielki nie może być poddany żadnym ograniczeniom i powinien pozostać po za obrębem wszelkich projektowanych ustaw.“ Przedewszystkiém o téj sprawie nie powinien rozstrzygać, ani prezes, ani wiceprezes, ale specyalna delegacya po dokładném zbadaniu i rozważeniu kwestyi, a następnie, jeżeli sekcyi IV. jako poświęconéj wyłącznie sprawom rzemiosł, nie wolno „rozprawiać o przemyśle wielkim,“ to należało do wybranéj przez nią delegacyi dołączyć kilku przedstawicieli Sekcyi V i rozpatrzéć rzecz razem. Gdyby Towarzystwo, obok innych niezależnych od niego przeszkód, zechciało samo stawiać swéj działalności takie sztuczne zapory, jak raz przyjęty podział na sekcye, to by z pewnością nie wielki krajowi przyniosło pożytek. Jakie przepisy pragnęli

byśmy rozciągnąć zarazem i na rzemiosła i na przemysł wielki, o tém pomówimy szczegółowo w osobnym artykule, poświęconym rozbiorowi projektu nowéj ustawy rzemieślniczéj. Tutaj poprzestaniemy tylko na rzuceniu pytania, dlaczego fabrykanci mieliby być wolni od takich obowiązków, przepisywanych zazwyczaj majstrom, jak np. wypowiadanie miejsca robotnikowi naprzód na pewien czas oznaczony, składki na utrzymanie warsztatów instrukcyjnych, lub szkół rzemieślniczych, opłaty na rzecz instytucyi wzajemnego zabezpieczenia się robotników na wypadek choroby, kalectwa, braku zajęcia nie spowodowanego własną winą itp?

Nie od rzeczy będzie dotknąć tu jeszcze bliżéj tego zarzutu p. Rudnickiego, który sobie zasłużył na najgorętsze uznanie ze strony „Prawdy" i „Głosu", a mianowicie, iż w Towarzystwie pop. przem. panuje niepodzielnie klika kapitalistów i arystokratów, popierająca tylko swoje interesa prywatne i nie licząca się wcale z dobrem ogółu, a zwłaszcza warstw pracujących. Nie wdajemy się przytém wcale w roztrząsanie pytania, czy tak rzeczywiście jest, czy nie jest. Zawierzamy p. Rudnickiemu na słowo. Idzie nam tylko o to, kogo w takim razie winić za podobny stan rzeczy należy: czy tych ludzi, którzy z otworzonéj w kraju instytucyi skorzystali, by sprawy drogie ich sercu, lub kieszeni, czyli innemi słowy—interesa swojéj sfery popierać, czy téż tych, którzy o dobro swoje własne, lub swoich protegowanych, wcale nie dbają. P. R. daleko surowiéj potępia pierwszych i w tém właśnie, według naszego zdania, błądzi, chociaż nawołuje przynajmniéj drugich, by porzucili drzémkę i zabrali się do pracy, czemu tylko jak najgorącéj przyklasnąć możemy. Natomiast powołane wyżéj pisma poprzestają jedynie na wymyślaniu „koteryi", a „Głos" nawet zarzuca jéj „bezczelność". Co dziwniejsza: pisze to w nim ten sam autor, który nie dawno domagał się, by każde pismo broniło jawnie, bez żadnych obsłonek i uwagi na inne względy, interesów téj warstwy społecznéj, któréj służyć pragnie. Uważał on, iż byłoby to z pożytkiem dla społeczeństwa, kiedy tymczasem dziś oburza się tak srodze na wiadomość, jakoby program jego praktykował się już oddawna w Towarzystwie pop. przem. i hand., tj. wśród ludzi, którzy nigdy za kapłanów sprawiedliwości, prawdy i dobra ogólnego, jakimi się często mianują i jakimi by być powinni publicyści, ani się nie podawali, ani zapewne ogłaszać się nie mają zamiaru.

Towarzystwo pop. przem. i hand. nie jest instytucyą zamkniętą. Wejść do niego może każdy, kto zechce zapłacić 15 rs. składki rocznéj i poświęcić mu trochę czasu. Wszelkie wnioski zapadają w niém większością głosów. Gdyby tedy rzeczywiście rządziła w niém jakaś koterya ze szkodą dobra ogółu, to wina za to spadałaby nie na

jéj reprezentantów, ale na tych wszystkich przedstawicieli inteligencyi, którzy rozumiejąc i miłując je niby, oraz mając dość środków i czasu na to, by mogli z nich ponieść, tak niewielką ofiarę, jakiéj wzięcie udziału w Towarzystwie wymaga, świecą w niém pomimo to swoją nieobecnością, lub, jak twierdzi p. R., opuszczają ręce, tłómacząc się, iż „wszystko jedno; z tego nic nie będzie, więc nie chcę się narażać.“ Do nich to powinni się byli zwrócić z wyrzutami pp. autorowie z „Głosu“ i „Prawdy“, kiedy podzielali zdanie p. R., iż Towarzystwo ma nie czyste zamiary względem klasy rzemieślniczéj. Tylu jest u nas ludzi, którzy niezmiernie dużo piszą, a więcéj jeszcze gadają ogólników o potrzebie podniesienia warstw pracujących, o „podporządkowaniu interesów warstw odrębnych interesom ludu“, a nie starczy im dobréj woli na spełnienie tak prostego obowiązku obywatelskiego jak ten, by dla obrony swych haseł i celów zapisali się w liczbie dość poważnéj dla wywierania wpływu do jedynéj instytucyi, przez którą u nas interesa publiczne mogą być faktycznie popierane. I wobec tego zdaniem „Głosu“, „bezczelnymi“ są nie ci, którzy, nic nie robiąc, krzyczą na całe gardło, ale ci, co mówiąc nie wiele, pracują w duchu swych przekonań, lub swojéj korzyści! Smutna byłaby przyszłość naszéj demokracyi, gdyby wszyscy jéj przedstawiciele ten pogląd podzielali. Mamy wszakże nadzieję, że tak nie jest, i w tém też przekonaniu poruszyliśmy szerzéj tę sprawę, by zwrócić uwagę ludzi pokrewnych nam zapatrywań na potrzebę czynniejszéj i liczniejszéj obrony idei liberalnych i demokratycznych w Towarzystwie pop. przem. i hand., gdzie dotąd przeważają żywioły—nie wątpimy o tém—uczciwe i dobremi zapewne w większości wypadków chęciami ożywione ale nastrojone cokolwiek zbyt zachowawczo i państwowo-protekcyjnie. Dla zmiany tych stosunków i tego nastroju nie wystarczy gołosłowny protest na zadrukowanéj bibule, z jakim wyciąga w pole hałaśliwy giermek „Głosu,“ ale potrzeba koniecznie czynnego udziału żywiołów postępowych w łonie Towarzystwa. Bez tego wszelkie protesty nie zdadzą się na nic, bo dopóki nad wszelkiemi projektami reform, ustaw i instytucyi będą pracować wyłącznie, lub przeważnie ludzie starsi i konserwatywni, dopóty muszą one nosić na sobie piętno zachowawczości i nikt nie będzie miał prawa pomawiać z tego powodu ich autorów o złą wolę. Gdyby zaś kto tę niesprawiedliwość popełnił, zarzuty jego zawsze odrazu upadną, kiedy mu Towarzystwo spokojnie odpowie: „Podwoje naszéj instytucyi są stale dla wszystkich niezadowolonych na oścież otwarte. Wejdźcie i pracujcie, a my wam wolą, niewolą ustąpić będziemy musieli.“

W. Wścieklica.



JESZCZE JEDEN SPOSÓB

RATOWANIA ZIEMI.

Położenie nasze a ustawa o kolonizacyi niemieckiej z d. 26 Kwietnia 1886. Rzecz odczytana na sejmiku toruńskim d. 15 Lutego 1887 przez D-ra Teodora Kalksteina. Toruń 1887.

Zastanawiając się nad środkami, jakieby przeciwstawić należało 100 milionom marek, rzuconym do Wielkopolski w celu wykupienia ziemi z rąk autochtonów dla osiedlenia na niej obcych przybyszów, uważaliśmy za najskuteczniejszy wezwanie pomocy mas ludowych i rozdzielenie latifundyi, w jakie obfitują Poznańskie i Prusy Zachodnie na drobne osady włościańskie, czyli innemi słowy parcelacyą (Kuryer Warszawski N. 293, r. 1886). Jakkolwiek myśl ta była powszechnie podzielana w tutejszych sferach, nie tailiśmy jednak przed sobą obawy, czy zrodzona w umyśle ludzi zamieszkałych w Królestwie, nie znających dobrze stosunków ekonomicznych, socyalnych i prawnych ks. Poznańskiego, znajdzie ona dla siebie sprzyjający grunt tam, gdzie ma się stać czynem, czy rozprawy, jakie w tym kierunku u nas się toczyły, nie będą miały charakteru czysto akademickiego, bez żadnego zastosowania w praktyce. I dlatego z niemałem zadowoleniem czytaliśmy rozprawę d-ra Kalksteina, która obok wielu dodatnich stron, ma dla nas przedewszystkiem tę wartość, iż rozproszyła obawę co do właściwości rad, udzielonych przez Królestwo Poznańskiemu, i oparta na dokładnej znajomości stosunków miejscowych rzuca szeroki promień światła na drogę, po której myśmy omackiem stąpali.

Główną przyczynę niekorzystnych stosunków ekonomicznych i socyalnych w polskich prowincyach monarchii pruskiej upatruje autor w niezdrowym podziale własności ziemskiej. Brak tam średniego stanu rolniczego. Latifundyalny właściciel z góry, bezwłasnościowy robotnik rolniczy z dołu,— brak stopnia pośredniego, gospo-

darstwa włościańskiego średnich rozmiarów. W Westfalii tylko 10% ziemi znajduje się w posiadaniu wielkich właścicieli, w Hanowerze 12%, w Saksonii 20%, — natomiast w Prusach Zachodnich 43%, w Poznańskiem aż 57%. Stan kultury rolniczéj znajduje się w tych stronach w stosunku odwrotnym do obszarów, zajmowanych przez wielką własność.

Dla wytłómaczenia wyższości ekonomicznéj średniéj własności ziemskiéj nad latifundyalną, d r Kalkstein niepotrzebnie wdaje się w krytykę teoryi ludności Malthusa, tudzież teoryi renty gruntowéj Ricarda. Teorye te posiadają bogatą literaturę i wiele przytoczyć można argumentów i faktów tak na ich obronę, jak i potępienie, i dla tego stanowcze po krótkiém rozumowaniu orzeczenie, jak to czyni autor, iż teorya Malthusa jest błędna, i że renta gruntowa nie istnieje, jest bardzo hazardowne. D-r Kalkstein zbyt wielki téż przypisuje wpływ wzmiankowanym teoryom na wzrost większéj własności. „Teorya ludności i renty gruntowéj—powiada on—schlebiają gospodarstwu latifundyalnemu, albowiem podług téj ostatniéj każdy rolnik potrzebuje tylko dobierać pod uprawę coraz szersze obszary coraz gorszéj ziemi, aby podnieść rentę gruntową z pierwszéj swéj dobréj roli, t. j. podnosić swe zyski.“ Nie przypuszczamy, aby dla któregokolwiek właściciela większéj własności motywem do rozszerzenia obszaru gruntów była teorya renty, bo najprzód, wedle téj teoryi, nie fakt wzięcia pod uprawę gorszéj ziemi tworzy rentę, ale fakt opłacania się uprawy gorszéj ziemi, a powtóre jeżeli gorsza ziemia będzie uprawiana z korzyścią przez innego rolnika, to ona tak samo przyczyni się do powstania renty z lepszéj gleby, jak gdyby ją uprawiał sam właściciel téj lepszéj gleby,— wzgląd przeto na rentę gruntową bynajmniéj na powiększenie obszarów większéj własności nie wpływa.

Daleko lepszemi argumentami na wykazanie wyższości ekonomicznéj własności włościańskiéj nad wielką są fakta przez autora z historyi, statystyki i praktyki czerpane, do takich należy np. fakt, że we wschodnich prowincyach Prus własność włościańska obdłużona jest tylko 18 razy tyle, ile wynosi czysty roczny dochód, zaś większa własność 28 razy.

Wielką siłę przekonywającą posiada rozumowanie autora o ujemnym wpływie dzisiejszego podziału ziemi w prowincyach polskich na stan socyalny społeczeństwa. Brak średniego stanu rolniczego sprawia, że nie ma u nas sposobu, aby z jednéj strony przy tak częstych zmianach majątkowych, odpadki szlachetczyzny bez bólu i wstydu, bez splamienia klejnotu odżyć mogły w pracy nieszlacheckiéj, a z drugiéj strony, aby sukmana przedzierzgnąć się mogła

w surdut przez inteligencyą i pracę, bez pyszałkowatości, bez anarchicznych aspiracyi, bez oglądania się ze wstydem na swą przeszłość, — do tego zaś dojść będzie można przy takim podziale ziemi, kiedy od ordynata do parobka będzie nieprzerwany łańcuch ogniw społecznych, kiedy ta drabina nie będzie w samym środku pozbawiona szczebli. Tylko średni stan rolniczy może wytworzyć u nas owego chłopa, który będzie miał inteligencyą szlachcica bez wad jego i owego szlachcica, który pracować będzie po chłopsku, nie tracąc nic z zalet swego stanu.

Do wytworzenia tak koniecznego dla stosunków ekonomicznych i socyalnych polskich prowincyi Prus stanu średniego prowadzi kolonizacya wewnętrzna, to jest tworzenie w łonie i z żywiołów samego społeczeństwa nowych osad i siedzib rolnych, którą d-r Kalkstein odróżnia od parcelacyi, mającéj za przedmiot podział ziemi z punktu wyłącznie ekonomicznego.

Przesilenie panujące w rolnictwie upatruje autor w nadprodukcyi, w tém mianowicie, że produkcya wzrasta w wyższym daleko stosunku, aniżeli konsumcya, a temu zaradzić może kolonizacya, która dostarcza spożywców.

W tém miejscu autor znowu wstępuje w szranki z Malthusem, który, jak wiadomo, w powiększaniu się ludności upatruje źródło przesileń ekonomicznych. Zarzuty jednak stawiane przez d-ra Kalksteina malthusowskiéj teoryi ludności polegają na nieporozumieniu, powiększenie bowiem ludności nie jest równoznaczne z powiększeniem spożywców. Rzadka ludność, znajdująca się w dobrobycie, stanowi większą siłę konsumcyjną od ludności gęstéj, pogrążonéj w nędzy. Nic łatwiejszego jak powiększyć koło spożywców; pod względem zaś ekonomicznym i socyalnym pożądany jest taki tylko spożywca, który przedmiotów konsumcyi nie zdobywa jałmużną, albo drogą przez prawo i moralność potępioną, ale w zamian za usługi, jakie ze swéj strony społeczeństwu oddaje.

Niepodobna również upatrywać zgodnie z dr. Kalksteinem dobrodziejstwa w tém, że włościanin mniéj produkuje z hektara ziemi, aniżeli wielki właściciel, że przez to następuje upragniona zniżka produkcyi, skutkująca zmniejszenie nadprodukcyi. Choroba bowiem nadprodukcyi może być leczona albo przez powiększenie konsumcyi, albo téż przez zmniejszenie produkcyi, nigdy zaś przez pogorszenie sposobu produkowania. Przeciwnie w czasach nadprodukcyi dążnością producenta jest zmniejszenie kosztów produkcyi za pomocą jéj udoskonalenia, przez co wytwór może być taniéj oddany, a tém samém powiększa koło spożywców, system zaś odwrotny, t. j. złe gospodarowanie produkcyjne wywołuje skutek wprost przeciw-

ny, bo powiększa koszta produkcyi, czyni produkt droższym i zmniejsza liczbę spożywców. Jakkolwiek to prawda, że gospodarstwo chłopskie pomimo mniejszéj wydajności, dzięki większéj oszczędności przy produkowaniu, łatwiéj może się ostać, aniżeli gospodarstwo dominialne, to jednak wszelkie cofanie się kultury rolniczéj musi być uważane za zmniejszenie się bogactwa narodowego i pod żadnym względem pożądane być nie może.

Pomimo téj niezgodności naszych zapatrywań w niektórych kwestyach teoretycznych, podzielamy w zupełności poglądy dr. Kalsteina na sprawy praktyczne, a w szczególności na sprawę kolonizacyi. Trafne bardzo jest jego spostrzeżenie, iż kolonizacya zewnętrzna, tj. z zagranicy do danego kraju przychodząca, nie przyczynia się do podniesienia dobrobytu, gdyż koloniści, składający się zwykle z ludzi energicznych i pracowitych, więcéj mnożą produkcyą, aniżeli konsumcyą, ludność zaś miejscowa zepchniętą zostaje na niższy szczebel społeczny, i siła jéj konsumcyjna skutkiem tego maleje, zamiast wzrastać. Inaczéj zupełnie rzecz się ma przy kolonizacyi wewnętrznéj,—ludność krajowa korzystająca z dobrodziejstw kolonizacyi podnosi się w hierarchii społecznéj, a reszcie ludności krajowéj otwiera się możność coraz wyższego podnoszenia, budzi się w niéj ochota do pracy, nadzieja lepszéj przyszłości, i czynniki te wpływają na podniesienie siły konsumcyjnéj.

Mało tylko p. Kalkstein zwrócił uwagi na wymianę międzynarodową, zanadto przedstawia on sobie daną krainę jako państwo izolowane, w którém produkcya i konsumcya zamykają się w ściśle zamkniętych granicach terytoryalnych, gdy tymczasem stosunki różnych krajów i stref bardzo silnie wzajemnie, na siebie oddziaływają.

Kolonizacya niemiecka, prowadzona dotychczas w prowincyach polskich, posiadała wszystkie błędy kolonizacyi zewnętrznéj,—w nowéj zaś ustawie kolonizacyjnéj z r. 1886 obmyślone są środki zmierzające do usunięcia tych błędów. Ustawa ta ma za zadanie zastąpienie braku polskiego średniego stanu rolniczego,—mierzy w piętę achilesową społeczeństwa polskiego, i przez to staje się nader niebezpieczną.

Bank Ziemski, utworzony w Poznaniu dla przeciwdziałania programowi kolonizacyjnemu rządu pruskiego, dr. Kalkstein uważa jako zacny, ale efemeryczny eksperyment kilkudziesięciu kapitalistów, bez społecznego zakroju.

Jako instytucya finansowa nie może on równoważyć 100 milionów marek, poświęconych na cele kolonizacyi przez rząd pruski, jako znowu instytucya z programem społecznym, nie może on się go-

dzić z charakterem przedsiębierstwa akcyjnego, które z natury swojéj musi dbać o dywidendę.

Rząd pruski nie nadaje programowi swojemu charakteru finansowego, fundusz na kolonizacyą poświęcony, uważa on jako środek, a celem jego jest osiągnięcie programu socyalno-politycznego. Bank ziemski wówczas tylko, wedle dra Kalksteina, może mieć znaczenie, jakie powszechnie mu jest przypisywane, jeżeli uważać się będzie za *pia causa*, za skarbonę do zbierania ofiar, dla któréj charakter akcyjny jest tylko formą, obraną ze względów prawnoutylitarnych, czyli innemi słowy, jeżeli zapomni o swoim charakterze instytucyi finansowéj i akcyjnéj, a zakreśli sobie program instytucyi użyteczności publicznéj, nie oglądającéj się na stronę handlową, zrzekającéj się dywidendy.

Na szczególną uwagę zasługuje ta część broszury dra Kalksteina, w któréj odparłszy zarzuty, jakoby kolonizacya tylko przez państwo skutecznie mogła być prowadzoną, przytacza przykłady kolonizacyi z własnéj zaczerpnięte praktyki. Tu już nie występują teorye, które dopiero w życiu wypróbowane być winny, albo które odpowiednie gdzieś indziéj, u nas zastosowania znaleść nie mogą,—przeciwnie mamy tu przed sobą eksperymenta, dokonane właśnie na gruncie, gdzie akcya ma być rozwinięta, rezultaty, jakie doświadczenie przyniosło, mamy wskazaną drogę, już wypróbowaną, przez praktykę utorowaną, do rozwiązania trudnego zadania najłatwiéj prowadzącą.

Jeden majątek, 500 morgów bardzo słabéj żytnéj ziemi obejmujący, dr. Kalkstein rosprzedał na parcele 5—10 morgów obszaru mające, po cenie w przecięciu 100 marek za mórg, z któréj $^1/_3$ nabywcy zaliczyli gotowizną, a reszta pozostawiona im została do spłaty w ciągu 3 do 5 lat. Nabywcy w terminie pospłacali resztę szacunku i w ogóle dobrze się mają.

Pomimo tak korzystnego rezultatu, dr. Kalkstein nie radzi postępować niewolniczo za wskazanym przez niego przykładem; przed przystąpieniem do tego rodzaju operacyi, zaleca badać ściśle warunki miejscowe; parcelacyi przez niego podjętéj sprzyjało sąsiedztwo szosy i kilku fabryk, nie wszędzie jednak znajdują się podobnie korzystne warunki.

Drugi majątek, 1550 morgów wynoszący rozparcelował w ten sposób, iż parceli przeciętnego obszaru 200 morgów nie oddał na własność, ale w dzierżawę. Warunki dzierżawy są w streszczeniu następujące: czas trwania 20—25 lat, czynsz płaci się żytem, albo gotowizną podług każdorocznych cen targowych, skutkiem czego dzierżawcy nie są zależni od konjunktur cen zbożowych. Na operacyi téj

robi dobry interes i właściciel i dzierżawcy: dr. Kalkstein z przestrzeni, która oddana w dzierżawę jednéj osobie przynosiła rocznego czynszu 10,500 marek, obecnie oddanéj wielu dzierżawcom-włościanom otrzymuje 14,468 marek, a i dzierżawcy z warunków dzierżawy są zadowoleni.

Sprawę dzierżaw włościańskich, podniesioną przez dra Kalksteina, uważamy za nader ważną nietylko w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, ale i u nas w Królestwie, gdzie dyskusya prowadzona w prasie od dawnego czasu w przedmiocie upadającéj większéj własności ziemskiéj doprowadziła do wniosku, iż najskuteczniejszym środkiem wyjścia z ciężkiego obecnego położenia jest odprzedanie ludności włościańskiéj części większych dóbr dla zwolnienia w ten sposób reszty od przygniatającego ją ciężaru długu i procentów.

Sprawę tę można, zdaje się, uważać ze stanowiska teoretycznego za rozstrzygniętą i załatwioną. Po słowach powinien tedy ustąpić czyn,— tymczasem nie słyszymy, aby obszerna w téj materyi pisanina wydała jakikolwiek rezultat praktyczny.

Przyczynę tego znajdziemy bezwątpienia w braku u ludności włościańskiéj odpowiednich środków do nabywania ziemi, tudzież w braku instytucyi, któraby na wzór Banku włościańskiego w Cesarstwie środki te sposobem kredytu dostarczała.

Niezależnie wszakże od tego należałoby się zastanowić, czy popychanie ludności wiejskiéj do nabywania ziemi nie wywoła tych skutków, jakie mania zostania koniecznie dziedzicem wydała w sferze obywatelskiéj.

W krajach wysoko posuniętych pod względem kultury rolniczéj, widzimy zupełnie inne ukształtowanie stosunków, aniżeli u nas. Tam tylko ludzie bardzo bogaci nabywają na własność dobra ziemskie, ludzie ze średniemi zasobami stają się dzierżawcami. W Anglii fermer, przystępując do objęcia dzierżawy, posiada fundusz, wyrównywający dziesięciokrotnéj rocznéj dzierżawie, fundusz ten stanowi jego kapitał obrotowy, dający mu możność i środki dobrego gospodarowania, i otwiera zarazem wrota do kredytu. Banki szkockie i angielskie mają najrozleglejszą swoją klientelę w sferze dzierżawców rolnych, którym, jako ludziom zasobnym, chętnie kredytu udzielają. U nas rzecz ma się zupełnie inaczéj. Posiadacz skromnego kapitału zostaje odrazu dziedzicem, i to często rozległych i obdłużonych dóbr, cały swój kapitał topi w szacunku za nabyty majątek; do obrotu zaś, do prowadzenia gospodarstwa pozostaje bez funduszu, albo z funduszem, niewystarczającym na obsłużenie obszernego warsztatu, a przytém bez żadnéj gwarancyi, którаby mu dała tytuł do żądania kredytu.

Ten brak kapitału obrotowego i kredytu jest główném źródłem niepowodzeń w gospodarstwie rolném.

Od popadnięcia w ten sam błąd należałoby uchronić ludność włościańską, i z tego względu polecamy bardzo uwadze kompetentnych rolników myśl i przykład d ra Kalksteina oddawania włościanom ziemi w długoletnią dzierżawę zamiast na własność.

D-r Kalkstein oddawszy jednym włościanom ziemię na własność, innym w dzierżawę, nie uważa jeszcze roli swojéj za skończoną, ale znając całą ważność misyi cywilizacyjnéj, jaką ma do spełnienia inteligencya wiejska, poczuwając się do kierownictwa, w najlepszém tego wyrazu znaczeniu, jakie przysługuje przedstawicielom większéj własności, zaprzęga się do dalszéj pracy, łączy nowe żywioły, na gruntach jego osiadłe, w odpowiednie organizmy, tworzy dla nich spółki, w których sam bierze udział jako uczestnik, a które mają za zadanie:

1) popierać kredyt i interesa gospodarcze spólników;
2) poręczać za dzierżawców wobec landszafty i właściciela;
3) załatwiać sprawy gminne.

W organizacyi tego rodzaju spółek, na zasadach Szulce-Delitzscha utworzonych, d-r Kalkstein widzi skuteczniejszą broń przeciwko zalewowi germanizmu, aniżeli w towarzystwach akcyjnych.

Żałujemy bardzo, iż szczupłe ramy artykułu nie pozwalają nam więcéj miejsca poświęcić drobnéj téj broszurze, zaledwie pięćdziesiąt kilka stronic obejmującéj, a starczącéj za tomy całe; nie pozostaje nam przeto nic innego jak odesłać czytelników po bliższe szczegóły do samego dziełka, którego uważne odczytanie gorąco polecamy myślącemu ogółowi.

J. Kirszrot-Prawnicki.





WRAŻENIA LITERACKIE.

= **Szkice naukowo-literackie z zakresu sztuki i archeologii** *przez A. O. Kraków 1887. Nakład Żupańskiego i Heumanna* (str. 189). — Powyższym tytułem objął autor pięć odrębnych artykułów z zakresu sztuk pięknych i archeologii. Szkic pierwszy, traktujący o rozmaitych systematach podziału sztuk pięknych. Jako rozprawka popularna z dziedziny estetyki, zbyt jest nużącym, jako traktat naukowy zbyt pobieżnym. aby mu szersze przypisać można znaczenie. W szkicu drugim rzucił autor pogląd na rozkrzewienie się sztuki włoskiéj w Polsce w XVI wieku i jéj wpływ na sztukę rodzimą. Rozprawka „O herbach polskich i polakach“ w uniwersytecie padewskim i bolońskim, napisana pod świeżém wrażeniem pobytu autora w Padwie i Bolonii, przynosi kilka ciekawych i pożądanych szczegółów z czasu bawienia w tych uniwersytetach humanistów naszych. W przechowywanéj w Padwie księdze zapisków uniwersyteckich z XVI w. odnalazł autor wiązankę szczegółów, odnoszących się do Polaków. Żałować wypada, że autor mając po temu sposobność, nie wyczerpał przedmiotu i nie poczynił wypisków zupełnych i dokładnych, któreby nadały pracy jego głębszą naukową wartość. W trzecim z rzędu szkicu podaje autor kilka szczegółów z życia i działalności głośnego weneckiego malarza i dekoratora Piotra Malombry, którego czas twórczości przypada na drugą połowę XVI wieku, a dzieła rozproszone dziś w Padwie, Murano, Wenecyi i Fryulu cieszyły się współcześnie wielkim rozgłosem. Romantyczną historyę o Jarosławie Skotnickim przypomina autor w szkicu następnym, mówiąc o odnalezionéj w Bolonii płaskorzeźbie, wyrażającéj epizod do tego właśnie zdarzenia się odnoszący. Zamyka zbiorek ciekawa rozprawka o mandragorze, roślinie otoczonéj u wszystkich narodów we wszystkich prawie epokach urokiem tajemniczości, który znalazł swój wyraz

w literaturze włoskiéj i francuskiéj. Praca p. O. oparta miejscami na samodzielnych studyach i spostrzeżeniach jest skromnym przyczynkiem do historyi sztuki a względnie cywilizacyi. Życzyćby tylko autorowi na przyszłość wypadło, więcéj gruntowności i wytrwałości a mniéj frazeologii.

= Do licznych wydawnictw dyplomatów średniowiecznych, które się w ostatnich czasach u nas ukazały, przybywa jeszcze jedno: **Kodeks dyplomatyczny polski**, zawierający „Rzeczy szląskie", a zaliczony jako czwarty tom zbioru, któremu Leon Rzyszczewski z A. Muczkowskim i A. Z. Helclem, czterdzieści lat temu właśnie, dali początek. Dokumenta, ogłoszone obecnie, zebrał *Michał Boniecki*, zmarły w 1877. a wydał nakładem jego rodziny *dr. Mikołaj Bobowski*, który załączył przy aktach odpowiednie objaśnienia. Kodeks zawiera 143 akta od r. 1290 do 1562, przeważnie spisane w języku łacińskim, w części zaś po czesku i po niemiecku. Poszukiwania naukowe ułatwia pomieszczony na końcu tomu indeks osób i miejscowości.

= Prof. *Maryan Sokołowski*, o którego zajmujących pracach w dziedzinie historyi sztuki wspominaliśmy na tém miejscu niejednokrotnie, ogłosił w r. b. rozprawę p. n. **Trzy zabytki dalekiego wschodu na ziemiach naszych** (Kraków, wielkie 4-o, str. 24). Pierwszym z tych zabytków, jest wydobyty niegdyś z mogiły podolskiéj medalik miedziany (znany z ryciny, ogłoszonéj przez Lelewela); p. Sokołowski przypisuje mu pochodzenie Chaldejskie z VI wieku przed Chr. W ustępie drugim dowiadujemy się o czarze, kutéj w srebrze, wykwintnego rysunku i pokrytéj rzeźbą figuryczną. Znaleziono ją w czwartym dziesiątku bieżącego stulecia wraz z wielkim zbiorem monet XI i XII wieku, w Sędziszowicach, w pow. Pińczowskim. Według zdania autora, naczynie to pochodzi prawdopodobnie z Baktryany, z III lub IV wieku po Chr. Ostatni wreszcie rozdział poświęcony jest srebrnéj skrzyneczce, stanowiącéj dziś relikwiarz katedry na Wawelu. Ściany jéj i pryzmatyczne wieko pokryte są rzeźbą, przedstawiającą walki już-to człowieka z człowiekiem, człowieka ze lwem, już lwów i potworów między sobą i t. d. W około wieka biegnie staro-arabski napis, odczytany, ale nie dość zrozumiałego znaczenia. Zabytek ten może pochodzić z XI lub XII wieku, powstał zapewne w Syryi, za panowania tam krzyżowników zachodnich, a do Polski mógł się dostać wskutek pielgrzymki Henryka ks. Sandomierskiego lub Jaksy Gryfity do Palestyny. — Piękna praca p. Sokołowskiego przyozdobiona jest licznemi rysunkami zabytków.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

„Co o nas mówią obcy?“ a co powtarzają swoi?— Absolutna i względna wartość wystawy hygienicznéj. — Najcenniejszy okaz.—Zagadka psychologiczno-społeczna, dotycząca wystawy, a stwierdzająca teorye ewolucyjne. -— Gdzie schronisko, zabezpieczające od obucha najnowszych wyników wiedzy?—Pobłażliwe traktowanie pokrewieństwa z hygieną.—Co na wystawie zyska szeroki ogół? — Tożsamość zagranicy i wystawy.—Wpływ placu Ujazdowskiego na pojęcia mytologiczne.—Co ratuje naszą równowagę umysłową? Ulepszone ławki i palmy srebrne.—Warszawa i Kraków.—Zaspokojenie ciekawości, prowadzące do zagadki budowlano-społecznéj.—Co na wystawie zyska wybrana część społeczeństwa?—Oryginalna nasza produkcya.—Co dla wystawy zrobił ogół?—Braki wystawy.—Pytania dotyczące hygieny moralnéj.

Pewien zagraniczny „autor, cieszący się europejską sławą w świecie naukowym“, pisząc o kwestyi agrarnéj, „jeden z największych rozdziałów“ swego dzieła „poświęcił Polsce“.

Zjawiska podobne, niestety, nie co dzień się ukazują. Tém większa z naszéj strony wdzięczność autorowi, tém pilniejsza dziełu należy się uwaga. Dowiedzićć się: „co o nas myślą obcy?“ jest rzeczą zawsze ciekawą; co pisze autor, posiadający „ścisłą znajomość dziejów polskich“, musi być nietylko ciekawém ale i pożytecznéni; spotkać się zaś przytém z „sympatycznemi nader poglądami na nas“—to już niespodzianka najmilsza. Łatwo więc każdy wyobrazi sobie, z jakiém zajęciem wzięliśmy się do odczytania, jeśli nie saméj książki, to przynajmniéj obszernego z niéj sprawozdania, które w jednym z tygodników warszawskich niedawno ogłoszone zostało. Nie podzielić się z publicznością owocami téj pożytecznéj lektury byłoby grzechem istotnym.

Zaczynając od „sympatycznych nader poglądów“ autora na nas, sprawozdawca wspomnionego tygodnika streszcza je w następujący sposób.

Dzieje nasze „to historya zbrodni“, to „na każdym kroku“ gwałcone i łamane „wszystkie prawa“, to szarpanie „kraju na kawały“. wichrzenie „go bezustannemi zatargi“, prucie „jego żył“, ssanie

„z nich krwi ciepłéj, aż zupełnie obezwładniony organizm stracił możność niezależnego istnienia.“ Dla poparcia tego „sympatycznego poglądu“ autora, (który przecież, ani jednego z powyższych cudzysłowów nie użył), sprawozdawca powołuje się na słowa męża ogólnie uznanéj powagi dziejopisarskiéj—„Bismarka“.

Skorzystajmy teraz ze „ścisłéj znajomości dziejów polskich“, znajomości wspólnéj i autorowi książki francuskiéj i jego p o l s k i e m u sprawozdawcy.

„Od r. 1130 do 1347 istniały w Polsce dwa systemy władania: *mansus* rodzaj wieczystéj dzierżawy z zależnością od gminy i *wola* dzierżawa czasowa z zależnością od pana. W obydwu wypadkach włościanin był osobiście wolnym, spłacał tylko daninę. Od r. 1347 gmina traci prawo własności nad ziemią a wolność osobista zaczyna być pętaną.“

Przed laty, na jednym z domów na Podwalu była wywieszona karta z takim napisem: „Dwa pokoje do wynajęcia: jeden od frontu a drugi z kominem“. Antyteza „frontu“ i „komina“ nie odjęła przecież wartości lokalowi, nie uczynila go zimnym ani wilgotnym; znalazł téż on niebawem lokatora. Dlaczegóżby „ścisłéj znajomości dziejów polskich“ miało ubliżać przeciwstawienie *mansu* z *wolą*? Słusznie przeto sprawozdawca daje tu swą aprobatę autorowi, boć *mansus*, po polsku *łan*, tj. pewna przestrzeń ziemi, jest wcale czém inném aniżeli *wola*, oznaczająca określoną liczbę lat, w ciągu których osadnik wolnym był od opłaty czynszu. Mieliśmy dotąd takie dobrane pary, jak pięść z nosem, bukiet z kożuchem, przybędzie teraz jeszcze *mansus z wolą*, trzecia para małżeńska, i co ważniejsza, ze względów na rodzaje gramatyczne, najlepiéj ze wszystkich dobrana. Co do wiadomości o urodzonéj w r. 1130 wieczystéj dzierżawie „z zależnością od gminy“, cztery się mieszczą w niéj prawdy: 1) że bywają dzierżawy czasowe i wieczyste; 2) że pierwsze są znacznie krótsze od drugich; 3) że każdy powiat dzieli się na gminy i 4) że na podstawie najautentyczniejszych źródeł twierdzić można z pewnością, iż między latami 1129 a 1131 przypadł istotnie rok 1130, przepowiedziany zdawna przez proroków, i to go właśnie uczyniło pamiętnym w dziejach naszych. Cztery te prawdy, to niby sprzężona na jarmarku łowickim czwórka, która wyżéj wymienioną parę małżeńską powiozła do ślubu.

Cofnijmy się jednak, śladem sprawozdawcy, w głębszą przeszłość.

„Wraz z chrześciańśtwem“ (a więc w r. 966) „zawitało do Polski prawo rzymskie“. Było ono „zarazą“, jak mówi autor, czy téż sprawozdawca jego. Podzielamy oburzenie tych panów na prawo rzym-

skie, choćby z téj jednéj przyczyny, że chcąc je znać, uczyć się go trzeba, a z oburzeniem łączymy podziw, iż ta szczególna zaraza pierwéj się okazała w kraju zarażonym aniżeli w zarażającym, gdyż pandekta rzymskie miały być odnalezione w Amalfi dopiéro w r. 1137.

Owóż i przed „wprowadzeniem“ prawa rzymskiego (więc, według chronologii sprawozdawcy, przed przyjęciem chrześciaństwa) „odbywały się powstania agrarne.“ Oto po wygnaniu Kazimierza I, „włościanie powstali, popalili szlacheckie zamki i podzielili pomiędzy siebie ziemie pańskie (1036 — 1037), niszczyli téż kościoły i rznęli księży.“ „Sympatyczne“ te wypadki przyniosły podwójną korzyść: 1) pierwszą—pośrednią, ale zato spółczesną nam, mianowicie, zostawiły w żyjącéj dotąd tradycyi liczne, niezatarte, a tak wyraźne ślady, że znany d-r Biegeleisen, pomimo całéj swéj pracowitości, nie zdążył ich jeszcze wszystkich przepisać i wydrukować; prawdopodobnie tego wdzięcznego, taniego a niewyczerpanego materyału na długie mu jeszcze lata wystarczy; 2) druga korzyść, bezpośrednia, natychmiastowa, przypadła w udziale samym sprawcom rzezi; Kazimierz I bowiem po uśmierzeniu ludu „ogłosił, iż włościanie mają być nadal wolnymi i mogą nabywać ziemię.“ Doniosły ten akt prawodawczy, cudownym iście sposobem, potrafił się tak doskonale ukryć przed wszystkimi badaczami dziejów, że dopiéro paryskiemu rybakowi udało się w roku bieżącym wyłowić go z wód Letejskich, i okazać nam, ciemnym i zacofanym mieszkańcom Pół-Azyi, tego nadzwyczaj upartego nurka. Szczęśliwa sieć przynosi nam zarazem i tę wiadomość, że „przez dwa wieki aż do XIV stulecia pętana wolność ludu wciąż się mściła mordem i pożogą.“ Rumieńcie się panowie historycy, rumieńcie bez końca! Bo czyście np. wiedzieli, że od roku 1381 duchowni „płacili tylko 1 *sz.* podatku od *akra*, podczas gdy włościanie płacili 12 *sz.*!“ Szkoda tylko, że uczony sprawozdawca nie objaśnił nas, czy „*sz.*“ oznaczało szeląg, czy szyling, czy szterling? gdyż jak się dowiadujemy z samego dzieła, będącego „najświeższą nowością w społecznéj literaturze francuskiéj“, — w Polsce panowała osobliwsza rozmaitość monety: liczono na „marki“, na „franki“, na „pence“, na „penny“, na „szylingi“, no i na owe hieroglificzne „*sz.*“

Ale nie zatrzymujmy się długo na jedném miejscu: do końca galeryi osobliwości, zebranych przez naukowego Barnuma, do obejrzenia któréj bezpłatne wejście otworzył nam uprzejmie *polski* sprawozdawca,—jeszcze jest bardzo daleko.

„Za zabicie włościanina płacono (notabene w Polsce) 30 do 100 marek, t. j. mniéj niż za wołu. Jeżeli zabójca był szlachcicem, płacił tylko 15 fr.“ Wcale to dobrze obmyślana taryfa opłat. Przy za-

bójstwie włościan, brano oczywiście na uwagę ich tuszę, przy morderstwie wołu — większą liczbę nóg nieboszczyka, a szlachcicowi-zabójcy wyznaczono małą karę we „frankach“, jużci z powodu jego „niezmiernego zubożenia.“ Bo trzeba wiedzieć, że dawnego szlachcica gnębiły długi „główwnie hypoteczne“, nie mniéj aniżeli nam spółczesnych, i w tém tylko był on szczęśliwszy od swych dzisiejszych potomków, że posługiwał się walutą francuską i angielską, a więc zawsze metaliczną, i że woły były wtedy w wysokiéj cenie.

„Od XIV wieku wszystkie ziemie państwa i kościoła należały do szlachty wyłącznie i w ciągu jednego wieku wszystkie ziemie były równomiernie podzielone.“ Tak nas zapewnia sprawozdawca. Według zaś zdania samego autora (który, nawiasem mówiąc, odkrył u nas dokładnie już przed kilku wiekami przeprowadzony kadastr), „równomierność ta ustąpiła jednak wkrótce, dzięki prawu sukcesyjnemu i hypotece.“ Precz więc z hipoteką! Niech żyje równomierność! mianowicie umysłowa i naukowa, któréj nam taki budujący wzór pisarz francuski wraz z *polskim* swym sprawozdawcą stawiają przed oczy.

Obawiamy się jednak przeciążyć naszego czytelnika tym nadmiarem erudycyi dziejowéj, prawniczéj i ekonomicznéj. Oszczędzimy mu dalszych „poglądów sympatycznych“, boć i cukru oszczędzać należy, zwłaszcza że temi czasy drożyć zaczyna. Oględność z naszéj strony tém niezbędniejsza, że na okładce książki widnieje wyraźna przestroga: „Tous droits réservés.“ Zapiszmy tylko dla pamiątki, że wytwórcą tych słodyczy jest pan R. Meyer, mający spólnika firmowego (na okładce) a może i rzeczywistego (co do treści dzieła) w panu G. Ardant, którego nie zarekomendował nam jednak sprawozdawca. Zapiszmy w wdzięcznéj pamięci, że tygodnikiem, który ekstrakt z téj francuskiéj słodyczy wydobył i z godnym uznania pośpiechem, swemu, jak mniema, spragnionemu takich łakoci kołu czytelników dostarczył, — że tygodnikiem owym jest „Przegląd Tygodniowy“ (N. 21 r. b.).

Nie naszą to winą, że zapisać tu nie możemy i nazwiska *polskiego* sprawozdawcy. Z rzadką dziś skromnością zataił je; a szkoda, gdyż ze względu na piękność stylu, na bogactwo całkiem nowéj treści, a także na wspólność metody i tendencyi, godne ono stanąć w rocznikach literackich w jednym rzędzie z nazwiskiem d-ra Henryka Biegeleisena ze Lwowa.

Uczciwszy zasługi uczonego sprawozdawcy, wyrazimy mu w końcu żal nasz, że nie wyjednał sobie u firmy pp. „R. Meyer et G. Ardant“ pozwolenia na zupełne i dosłowne przetłómaczenie całego rozdziału o Polsce. A może pretensya nasza zwrócić się powinna

do Szanownéj Redakcyi „Przeglądu", która dla rozdziału, zawierającego 44 stron druku, miejsca poskąpiła? Ktokolwiek zresztą wpłynął na uszczuplenie takiego pokarmu duchowego, krzywdę nam wyrządził dotkliwą. W tych niewesołych czasach rozrywka jest ludziom potrzebna, a powód do śmiechu im rzadszym tém milszym gościem. Rozdział o Polsce w książce pp. Meyer i Ardant zawiera w sobie tego specyfiku do syta. Tak obfitego, tak dobrze dobranego kompletu bredni, nie zdarzyło się nam jeszcze nigdy spotkać. Nawet używająca ustalonéj pod tym względem sławy epoka panegiryczna na coś podobnego zdobyć się nie umiała. Tyle tu niedorzeczności, mylnych faktów, tyle stworzonych osób, które nigdy nie istniały, albo imion osób branych za nazwy miejscowości; tyle fałszywych rozumowań, nielogicznych wniosków, zaprzeczeń temu, co poprzednio było twierdzone; taki tu panuje fantazyjny ład a raczéj nieład w wyłuszczeniu treści, rwącéj się na każdéj niemal karcie, plątanéj nie mającemi żadnego związku epizodami, nawracającéj w tył i młócącéj swe plewy powtórnie,— że człowiek czyta, śmieje się i mimo to własnym oczom nie wierzy. A na domiar uciechy, wszystko to podlane jest sosem cytat przepełnionéj błędami łaciny, na którym pływają niby kapary, chojną ręką gosposi sypnięte, fałszywe lub bez znaczenia daty.

W r. 1816 Wrocław obdarzył nas tłómaczoną z francuskiego książką Nougareta pod tyt. „Piękności historyi polskiéj." Recenzenci ówcześni boki zrywali, czytając tam o pogańskiém bóstwie Polaków, symbolizującém długość życia ludzkiego a zwaném Dlugosz,— o Kazimierzu, który z rozpaczy wstąpił do zakonu Lutyków,— o Bolesławie Śmiałym, co najprzód wkroczył do Moskwy a potém wstąpił do zakonu Koryntskiego i t. d. i t. d. Teraz elukubracyi owéj za żadne pieniądze nie dostanie; dobrze więc, że postarano się ją czémś równie mądrém zastąpić.

Sprawozdawca „Przeglądu Tygodn." okazał się zaprawdę mistrzem niepoślednim, kopiując w miniaturze wszystkie wskazane wyżéj zalety oryginału. Przyznając to chętnie, dodać wszakże winniśmy, że w niektórych szczegółach wierność pędzla mu nie dopisała.

Firma „R. Meyer et G. Ardant" twierdzi wyraźnie, że chłopi polscy uciekali przed uciskiem na Mazowsze, skoro zaś to księstwo przyłączone zostało do Korony w r. 1486 (*sic!*), wieśniacy nasi poczęli się chronić na *Jaik* i Dniepr do republik kozackich (str. 180). Trzebaż Meyerowskiego braku pojęcia o odległościach geograficznych, trzeba takiéj „ścisłéj znajomości dziejów", żeby rozpowiadać naiwnie o dobrowolnéj pielgrzymce naszych wieśniaków do krain wtedy tatarskich. Odbywałyć się, co prawda, piesze wędrówki z nad

Wisły na stepy Orenburskie, ale innemi zupełnie czasy i wcale nie z własnéj ochoty. Pana sprawozdawcę „Przeglądu Tygodniowego“ co innego jednak zastanowiło. Obcą mu była widocznie nazwa rzeki Jaiku; nie wiedząc gdzie jéj szukać, dyskretnie ją przemilczał. Motywa przeto tego odstąpienia od oryginału są tu jasne.

Trudniéj odgadnąć pobudki innéj zmiany. W książce francuskiéj czytamy, że podział kraju sprowadziły zatargi rodzin Potockich, Radziwiłów, Czartoryskich i Poniatowskich (str. 192 — 193). W sprawozdaniu polskiém zniknęły dwie ostatnie z wspomnianych tu rodzin, a w ich miejsce podstawieni Sapiehowie. Tu nieświadomość za wymówkę nie służy, rola bowiem Kazimierza-Nestora Sapiehy, marszałka sejmu czteroletniego, powszechnie jest znana. Więc zatém zmiany tekstu oryginalnego dokonano rozmyślnie: a gdy zważymy, że Sapiehów nie zna Warszawa, Poznań ani Kraków, to chyba we Lwowie przyjdzie szukać źródeł i pobudek tego czynu, którego właściwém mianem nazywać tu nie chcemy.

Podnosząc „sympatyczne na nas poglądy“ p. Rudolfa Meyera, sprawozdawca grubo sobie z czytelników zażartował, zataił bowiem ustęp końcowy sławetnego rozdziału, w którym autor sympatyi takich się wypiera.

Z artykułu drukowanego w „Przeglądzie Tyg.“ możnaby wnioskować, że p. Meyer jest wolnomyślnym postępowcem. Tymczasem on sam ani myśli podawać się za postępowca. Jako żywo! nikt zdrowe oczy mający niczego podobnego w książce nie znajdzie. P. Meyer jest zdecydowanym klerykałem i jawnym wielbicielem feudalizmu, do czego wyraźnie się przyznaje. Ztąd wypłynęła cala jego niechęć do nas i przynajmniéj połowa bredni przezeń napisanych. Ubrdało mu się bowiem, że wszystkie błędy naszéj organizacyi politycznéj i społecznéj, wszystkie nasze klęski z dwóch wypłynęły źródeł, a temi być miały: w sferze świeckiéj brak ustroju feudalnego, w sferze kościelnéj osłabienie wpływu papieskiego na duchowieństwo polskie. Właśnie dowodząc téj fantastycznéj tezy, piętrzył przed sobą coraz wyższą barykadę niedorzeczności i fałszów.

Wreszcie p. Meyer, jeśli nie jest wyraźnym antysemitą, to jednak wyraża się o żydach zawsze z największą niechęcią i arcyszkodliwą przypisuje im działalność. Dlaczego sprawozdanie polskie zatailo ten rys znamienny, — możeby tylko Lwów potrafił na to odpowiedzieć.

„Książka Meyera — powiada w końcu sprawozdawca—wypaliła na czole naszych dobrze urodzonych i kleru jeszcze jedno piętno!“ Nie jest podobno zadaniem książki naukowéj wyręczać kata, zwłaszcza téż w czasie, kiedy piętnowanie uchodzi w oczach wszystkich za

barbarzyństwo; książka powinna, jak się zdaje, szerzyć wiedzę prawdziwą, podnosić uczucia szlachetne w człowieku! Czoła nieboszczyków piętnować niepodobna, wobec znanéj zasady, że śmierć umarza karę; a piętnowania synów za winy ojców nawet kodeksy średniowieczne nie nakazywały. Sprawozdawca-erudyt wiedzieć był o tém powinien. Że pospolicie, kat wypalał piętno na czole—to prawda; ale gdy zdarzali się ludzie bezczelni i ludzie z czołem miedzianém, tacy zaś zdarzali się szczególniéj między oszczercami, wprowadzone zostało piętnowanie na plecach a wykonawca wyroku pluł im w oczy. Dziś i to już wyszło z użycia: ludzie poprostu odwracają się z pogardą od bezczelnika i kłamcy. Książka też, czy artykuł, nie napiętnuje nikogo, nawet swojego autora; dać ona może tylko świadectwo jego wiedzy, rozumowi, czasem wreszcie i..... uczciwości. Takie świadectwa pojawiają się od czasu do czasu. „Przegląd Tygodniowy" nie pierwszy raz je sobie drukuje. Czyjaś złośliwość sprawiła, że w łamach „Przeglądu" ukazały się niegdyś pamiętne uzupełnienia do „Słownika geograficznego". Czyżby i tym razem uczoność Redakcyi wpadła w zastawione na nią, przez walkę konkurencyjną może, sidła?

Wypadek, bądź co bądź, fatalny i tém jednėm pocieszać się można, że artykuł, o którym była mowa, ukazał się właśnie w czasie wystawy hygienicznéj. Będzie on mógł więc posłużyć wybornie do wypróbowania siły odwaniającéj wojłoku roślinnego i otwockiego proszku, które na wystawie stanęły do popisu.

Mówiąc otwarcie, krótko i bez ogródek, nasza wystawa hygieniczna nie imponuje ani rozmiarami, ani liczbą różnorodnych przedmiotów a pojedyncze okazy rzadko wkraczają w dziedzinę osobliwości. To jest fakt, na który zgodzisz się niezawodnie czytelniku, jeżeli—co zrobić koniecznie powinieneś—udasz się sam na plac Ujazdowski. Hałaśliwe wiadomości Kuryerów pomimo to sypią hojnie wykrzyknikami uznania i... nietylko winić ich za to nie można, ale prędzéj pochwalić należy,—przychylna stronność była w tym razie obowiązkiem dziennikarstwa. Urządzenie w naszych warunkach wystawy—to zdawało by się, ukręcenie bicza z piasku. Tymczasem bicz ukręcony został, dzięki staraniom i gorliwéj pracy przedewszystkiém doktora Polaka, a następnie kilku lub kilkunastu jeszcze medyków, inżynierów i przyrodników, których gorące chęci spoiły rozsypujący się materyał. Bardzo więc właściwie prasa uwzględniła wszystkie okoliczności i pośpieszyła z gorącém uznaniem dla ludzi, co się nie zrazili ani przeszkodami, ani szczupłością środków, ani obojętnością ogółu i doprowadzili rozpoczęte dzieło do sa-

mego szczytu, co byli pionierami na drodze nowéj, która zawieść może, po wielu naturalnie latach wysiłków, do błogich rezultatów. Na wystawie na każdym kroku znać staranność, pomysłowość, wykwintny gust nawet komitetu urządzającego, a że pomimo to jest ona ubożuchną, to wina braku materyału, wina niskiego rozwoju pojęć, potrzeb i środków hygienicznych całego kraju. Im mniéj można było zgromadzić okazów, tém większą była potrzeba wystawy, chociażby dla samego zoryentowania się pracowników i pokazania naocznie ogółowi, co i jak jest i jak wiele jeszcze brakuje. Im skromniejsze na placu są owoce pracy inicyatorów, tém silniejszy dowód, że trącili oni pole, leżące zupełnie ugorem. Wstępny krok ten należało zrobić koniecznie; kresu on naturalnie dosięgnąć nie mógł. ale jest pierwszém uderzeniem motyki w dziewiczy grunt pustkowia, i jako taki też ocenionym być winien. „Bo nie popisywać się wielkiemi hygienicznemi zdobyczami, na które nas nie stać w dziecięcym stanie téj nauki u nas, zapragnęli urządzający wystawę—mówi dr. A. Fabian—nie brzmiéć rozgłośną chwałą reklamowego turnieju—jeno uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć, a nauczać podług jedynie słusznéj w przyrodniczych umiejętnościach *metody poglądowéj, na dokładnie objaśnianych okazach*, co do utrzymania i ochrony zdrowia wogólności posłużyć może, a czego jako szkodliwości unikać należy". Niepotrzeba miéć wcale żywéj fantazyi, aby widziéć wszystkie nieuniknione przeszkody. Łatwo można sobie wyobrazić, ile się głową nakiwał, ręką namachał, naodradzał nasz ukochany sceptycyzm i to w chwili, kiedy inicyatorowie najwięcéj potrzebowali zachęty i poparcia, ile razy szanowny doktór usłyszał: „na co to się zdało", „nic z tego nie będzie", „kogo to u nas zainteresuje!?" Ile drzwi trzeba było otworzyć, ile zawał ominąć! Najcenniejszym okazem na wystawie, który powinien wywrzeć dobry wpływ na zdrowie nasze moralne, jest przykład pracy, podjętéj z myślą obywatelską, bezinteresownéj, wytrwałéj. Łączymy się też szczerze z ogólnym głosem uznania, sądząc, że wyrażamy tém również poglądy i usposobienie czytelników naszych.

Od maja roku zeszłego do dni naszych to już wystawa... niepamiętam która—tylko szczególnie szczodrze uposażone umysły potrafią bez natężenia wyliczyć je wszystkie. Z tego powodu chciałem w niniejszéj kronice wygłosić słuszne na pozór zdanie, iż *zrodziło* się u nas w ostatnich czasach zamiłowanie do *wystawy*. Zastanowiwszy się jednak dłużéj, ujrzałem, że sąd taki byłby zbyt powierzchowny i płytki. Wszak wiele klęsk rodzimych naszych, jak upadek siły rolnéj kraju, próżność, zniewieściałość, lenistwo, zanikanie poczucia godności łączą surowi moraliści ze słabością, żywioną przez przodków naszych do *wystawy* w życiu. A więc zjawisko trakto-

wać by należało nie jako *zrodzenie*, ale jako *przerodzenie* się, co wyśmienicie odpowiada panującym i obowiązującym teoryom ewolucyjnym. Zbadanie związku między upodobaniem dziadów, ojców i wnuków, wykazanie kolei, jaką przekształcał się odziedziczony popęd, oświetlenie przytém właściwości ducha dwu epok, stanowi w téj chwili w mojém przekonaniu ważne, ciekawe i wdzięczne zadanie psychologii społecznéj. Niestety, rozwiązania podjąć się nie mogę dla braku kompetencyi, nie wątpię jednak, że gdy pytanie raz zostało postawionem a kwestya otwartą, który z czujnych myślicieli naszych omówi ją i rozetnie we wstępnym artykule jakiego tygodnika.

Natomiast mogę zrobić próbę rozstrzygnięcia z czytelnikami innego zagadnienia, dającego się traktować na gruncie konkretnych spostrzeżeń, bez głębokich studyów teoretycznych, bez obawy postawienia się sztorcem wobec „nowych“ i „najnowszych wyników wiedzy“. Ten ostatni wzgląd jest szczególniéj ważny, bo, jak wiadomo, wiedza rodzi się na odległym zachodzie, albo—wedle nowszych, radykalniejszych i trzeźwiejszych poglądów—na przeciwległéj stronie horyzontu, w każdym razie nie u nas; następnie, o nowych książkach, broszurach i socyalnych pomysłach nie donosi żadna z agencyi telegraficznych, trzeba więc czekać aż Paprocki, Wende lub Gebethner sprowadzi samo *corpus delicti*, albo napisze co o niém „Niediela“ lub „Ruskaja Mysl“. A więc, my tu sobie siedzimy w Warszawie, nic nie wiedząc, niczego się niedomyślając, a tam może już od dwu tygodni i więcéj jaki mąż napisał rzecz, która o wiele staj zostawiła po za sobą artykuły styczniowe, będące dla nas jeszcze ewangelią. I co za przyjemność późniéj, jak jaki satyryk socyologiczny wykaże nicość, wsteczność i kastowość naszych wywodów, które oddawna podeptała już „najnowsza nauka“. Tymczasem mówiąc o naszéj wewnętrznéj biédzie, człowiek czuje się bezpiecznym, jak w zacisznéj zagrodzie wiejskiéj; gdzieżby obuch „najnowszych wyników“ trafił do tak odległego kąta,—chociaż, prawda, po świeżym popisie „Przeglądu Tygodniowego“ trzeba się pożegnać z nadzieją znalezienia gdziekolwiek spokojnego schroniska.

Pytania moje również dotyczyć mają wystawy. Pragnę zbadać i sprobuję wyświetlić, komu i jaką korzyść przynieść może obecna wystawa hygieniczna. Pomijając reporterów i kronikarzy, dla których wobec posuchy poczynającego się lata zawiera ona tyle życiodajnego materyału, co źródło Mojżesza dla żydów na pustyni, najpewniejszymi zdają się zyski przemysłowców. Co może być pożądańszego, jak przeniesienie wystawy z okien własnego sklepu na jakiś czas do pawilonu wystawy ogólnéj, gdzie każdy kandydat na kupującego z obowiązku ogląda z sakramentalném namaszczeniem

przedmioty i widzi na nich jak gdyby patent uznania. To téż spotykamy tam rzeczy, w których tylko wielka pobłażliwość zdoła dopatrzéć odległego pokrewieństwa z hygieną: naparstki naprz., albo korki, pozwalające zamknąć butelkę na klucz, co ma tę dobrą stronę—według zapewnienia sprzedającéj damy—że się dzielnie przyczyni do poskramiania komunistycznych popędów służby. Inicyatorowie wystawy bardzo słusznie postąpili, kierując się pobłażliwością w puszczaniu przedsiębiorców do wnętrza zagrody. Nikomu to nie zaszkodzi, że za swoje 50 groszy będzie miał więcéj do oglądania, a walka o miejsce toczyć się nie może, bo w niektórych częściach placu jest tyle wolnéj przestrzeni, iż zwiedzające mieszczuchy mogą nabrać niejakiego pojęcia o błoniach wiejskich, co jest zresztą zupełnie odpowiednie na wystawie hygienicznéj, obszerne błonia są siedliskiem zdrowia W ciężkich czasach wszelka pomoc, okazana przemysłowi, nie może być zbyteczną.

W inny sposób, ale też niewątpliwie, zyska na wystawie szeroki ogół, szerszy nawet niż granice Warszawy sięgają. Niepodobna przypuścić, ażeby w najbardziéj lekceważonych przez cywilizacyą miasteczkach i osadach nie znalazło się choć kilku ludzi, choć jeden aptekarz, lub ławnik, których uderzy fakt włożenia w wystawę hygieniczną tylu tysięcy rubli; to ich może skłoni, wobec dobrego pojęcia o praktyczności warszawiaków, do nabycia jakiéj książeczki, albo kupienia pisma i w ten sposób zostanie otworzony jakiś kanał do uwagi nawet prowincyi na własne zdrowie.

Wobec niskiego kursu rubla i innych przeszkód, wycieczka na plac Ujazdowski przynieść nam może tę korzyść, jaką według twierdzenie orła z bajki Fredry, powinno się przywozić z zagranicy. Od cudzoziemców dowiadywaliśmy się dotąd, że poszanowanie tradycyi wcale nie wymaga kąpania się w takiéj wannie, jakiéj używano za Księstwa Warszawskiego; że wyprawowe statki babek a nawet matek do robienia masła nie są dziś najlepsze; że piece niekoniecznie potrzebują roznosić czad po mieszkaniu; że odświeżanie powietrza może się odbywać w domach nawet w zimie i to bez otwierania drzwi i lufcików, bez narażania siebie na przeciągi, a dzieci na zaziębienie i kaszel. Jak się dobrze napatrzymy na zamorskie pomysły, jak w nich zagustujemy, to może staniemy się bardziéj wymagający i wybredni na targach, w restauracyach, a nawet może wobec właścicieli domów. To ostatnie wymaga szczególnie zuchwałéj śmiałości i żywego bodźca, boć możemy być przyprowadzeni, a przynajmniéj przyprowadzani do porządku podwyższaniem komornego i różnymi innymi środkami i siłami, których nigdy nie zabraknie.

Nie da się także zaprzeczyć, że zwiedzenie wystawy wzmoże gruntowność pojęć mytologicznych. Nie mówię o posągach, gdyż to niejeden uzna nawet za bałamutne nieco, naprzykład mądra Atene zbrojna jest w sosnową włócznię, przypominającą kij od firanek z czasów przedgzemsowych, co może komuś nasunąć przypuszczenie, że w Olimpie panował taki sam brak rekwizytów, jak u nas w teatrzykach ogródkowych—a podobno było inaczéj. Mam na myśli spraktykowanie na sobie mąk potępieńców mytycznych. Widzimy waterklozety tak schludne, jak panieńskie pokoiki w Niemczech, stoimy obok nich, możemy odwiedzać wnętrza, a tymczasem... są one w gruncie rzeczy tak niedostępne dla nas, tak dalekie, jak Pacanów od Paryża, jak proszek otwocki od skondensowanego nawozu, jak soczyste owoce od spieczonych ust nieszczęsnego Tantala. Nie mniéj strasznym niż wycie furyj dla uszu Oresta, jest dla wyobraźni biednego warszawiaka wspomnienie tych jam okropnych, na nazwanie których nie pozwala mi przyzwoitość, a na opis brak w języku żyjących — wyrazów dosyć dosadnych.

Żeby to tylko to jedno! Można się tam dowiedzieć o istnieniu wentylatorów, filtrów, pryszniców, kaloryferów, o których dotąd opowiadali bywalcy jak o cudach bajek; i cóż. nie upodobać sobie w tém wszystkiém niepodobna, a potém wzdychać jak poeta do gwiazdki i pożądać jak Tantal wody.

Może to i dobrze, że ludzie nie wiedzą, co się dzieje w niebie, bo byłoby im wskutek tego zbyt przykro żyć na ziemi; doświadczyć na sobie tego doskonale mogą mieszkańcy stolicy, gdy przyjrzawszy się dokładnie planom domu p. Fuchsa, lub barona Lessera, muszą wracać do swoich chałup i cieszyć się z posiadania zlewu cuchnącego i żywego wodociągu w postaci zapracowanéj Marysi.

Całe to szczęście dla naszéj równowagi umysłowéj, żeśmy z natury, czy może wskutek wybornego wytresowania, bardzo skromni, tacy stoicy, że się uważamy za kopciuszków i o nic się nigdy nie dopominamy. To, co gdzieindziéj oddawna już jest powszedniém i niezbędném, stanowi dla nas jeszcze przedmiot niedoścignionego zbytku. Tylko dzięki temu, nie wszyscy mieszkamy u Jana Bożego, nie wszyscy piastujemy w głowach marzenia samobójcze.

Dumny posiadacz syna, któremu setki rówieśników zazdroszczą srebrnych palm na granatowéj czapce, widzi na wystawie cały pokój zastawiony ławkami o nieznanych kształtach, na zawiasach, ze sprężynami, z wymierzoném pochyleniem pulpitu, ze zmienną wysokością; ogląda fotografie, wykazujące jak fatalne skutki spowodować może złe siedzenie; dowiaduje się, że te nowomodne ławki bronią od pleców pałąkowatych, od krótkiego wzroku i innych jeszcze do-

legliwości,—a tymczasem przypomina mu się, że dziecko jego słucha wykładów i bawi się w dawanie séra na sprzętach, sięgających pamięcią czasów współzawodnictwa Piarów z Jezuitami. I jak na to poradzić, gdzie się udać? wznieść chyba rozpaczliwie ręce do góry, jak bolejąca Niobe i ztamtąd czekać ratunku. Czekać naturalnie długo, bo odpowiedzi wcale nie dają, a wszelka rozmowa ma ten skutek, co słynny monolog dziada do obrazu. Posiadający środki mają jeszcze jeden sposób — wyrzec się dumy i skwitować z palm srebrnych, czerpiąc tém żywszą pobudkę z przypuszczenia, że gdzie ławki lepsze, tam może i inne okoliczności lepsze, że przytém nieźle jest miéć do czynienia z zakładem, do którego można czasem nos wścibić, czegoś zażądać, który potrzebuje czy chce stawić się na pokaz ogółowi. Ale czy duma na to pozwoli? czy to łatwo wyrzec się uroczego złudzenia, iż ta palma ułatwi w przyszłości przypięcie do późniejszéj czapki innego symbolu. Hygiena nie wynalazła jeszcze sposobu na wpojenie w umysły ludzkie téj prawdy, że lepsze szare ziarno niż złocona łupina.

W pokoju szkolnym wisi kilka fotografii budynków krakowskich. Pewne dorosłe już dziecko Warszawy próbowało zgadywać, co w sobie mieszczą te okazałe gmachy.

— To Towarzystwo Kredytowe—mówił pewnym siebie tonem—to Rząd Gubernialny, to Hotel Europejski, to Synagoga....

Nie odgadł, wszystko to były szkoły ludowe. Obecni doznali wyraźnie wspólnego wrażenia, ale go nikt głośno wyrazić nie chciał.

Ludzie o żywéj ciekawości znajdują kilka bardzo miłych okazyi do jéj zadowolenia. Dotąd tylko z ilustracyi do powieści Verne'a miało się pojęcie o nurkach, plądrujących z taką swobodą dno morskie, jak Prusacy ziemię polską; teraz można to codzień o godzinie 6-téj oglądać na własne oczy. Jeżeli siła mięśni pozwoli dopchać się do baryery, to naprzód obaczy się nurka, dopóki ten pozostaje na powietrzu, a późniéj bardzo ładnie wymurowany rezerwoar mętnéj, nawet zamętnéj nieco wody, która powierzchnią swoją tak dobrze okrywa tajemnicę wnętrza, że nic a nic więcéj dojrzéć nie podobna.

Ludzie, interesujący się kanalizacyą, dotąd mogli zaglądać do łona prótéj przez nią ziemi z takiém samém uczuciem, jak wiejskie chłopaki na szczyt dzwonnicy; teraz nadarza się sposobność naocznie przekonać o ile hygieniczniéj, lepiéj, gustowniéj nawet, wybudowane jest łożysko dla ścieków miejskich niż te i owe mieszkalne domy. Ciekawą jest rzeczą, czy p. Lindley ma od urodzenia już zamiłowanie do porządnéj roboty, a wstręt do fuszerki i zastępowania cegły gruzem, a żwiru śmieciami, czy téż tak dodatnio wpływa na

jego usiłowania kontrola opinii i magistratu. Może by z rozwikłania téj kwestyi można było wyciągnąć jaki pożyteczny nawet dla hygieny wniosek. W pierwszym przypadku zrezygnujmy z wielu pretensyi, uznajmy się za niezupełnie jeszcze pełnoletnich moralnie i nie sarkajmy ani na cudzoziemskie przedsiębiorstwa gazowe, ani na fabrykantów niemieckich, ani na towarzystwo tramwajowe. Jeżeli zaś słuszne jest drugie przypuszczenie, to ponieważ mamy zdrowie za własność na tyle cenną, że dla jéj zabezpieczenia nie żałujemy ani kroci, ani kontroli, to może by można było także coś poświęcić, aby wziąć w odpowiednie kluby budowniczych i właścicieli domów. Po przeżyciu epoki pierwszéj wystawy hygienicznéj można już będzie puszczać się na przebąkiwanie, iż gdzie o zdrowie chodzi, tam interesy spekulacyi nie mogą hulać zupełnie rozkiełznane.

Wybrana część społeczeństwa, inteligencya, dla któréj i umiejętności przyrodnicze obce nie są, która i o hygienie potrafi dysputować, a przytém byle czém sobie zaimponować nie pozwoli, chociaż idzie na wystawę nie dla nauki, ale w celu protekcyonalnéj krytyki, może jednak coś zyskać. Ujrzy ona tam zjawisko, nie często dające się dostrzegać bezpośrednio. Przekona się dotykalnie, że samorodztwo w naturze nie istnieje; drogą metody poglądowéj nabędzie przeświadczenia, że pomimo dyskusyi wszelkich, o hygieniczne warunki życia nikt u nas nie dbał, że niceśmy na tém polu nie zrobili, nic téż nie mamy.

Na wannach, na umywalniach budują widzów angielskie napisy; rzadko gdzie spotkać można jakieś ulepszenia, zaprowadzone u nas; pocieszać się trzeba tém, że przynajmniéj znajdują się chętni kopiści i cudze pomysly wyrabiają na miejscu. Zauważyliśmy między innemi, że hygieniczne ławki szkolne, jakie przed 6-ciu laty p. H. Benni, zakładając swoją dziś niestety zamkniętą szkołę, poraz pierwszy sprowadził do Warszawy z Frankfurtu, w obecnéj chwili fabrykują się już w kilku zakładach.

Gdyby na placu Ujazdowskim wystawiono pawilon, poświęcony jedynie oryginalnym naszym pomysłom, to zdaje się, nie mógłby on zawierać nic więcéj prócz arcydzieł pani Lucyny Ćwierczakiewiczowéj. Drugi produkt, stanowiący naszą wyłączną własność, wśród nas zrodzony i wyhodowany, który przenika całą wystawę, nie da się ująć w konkretne formy, niepodobna go ani fotografować, ani zmodelować, ani w tablicach wyrazić. Jestto stosunek ogółu do garstki poważnych i głębszych pracowników nauki i jej zastosowań do naszego życia. Gdzie indziéj uczeni są jak kwiat, który karmią korzenie i liście; my zaś niby doświadczenia robimy nad wytrzymałością ich zapału, charakteru, gorących chęci: nie mają akademii, stypen-

dyów, posad, opieki, niech nie mają jeszcze i poparcia ogółu, zobaczymy czy nie złamią się. Niegdyś probowano zwracać się do „szerokich kół“ z kwestyonaryuszami o zbieranie danych, ale złudzenie oddawna zostało rozwiane. Na wystawie znajdujemy tablice liczb, przepisy i wskazówki, analizy, graficzne obrazy zjawisk, rysunki, preparaty i t. d. wszystko to zrobione, tak jak i sama wystawa, szczupłymi środkami kilku pracowników, nie mających często zapewnionego bytu własnego. Najwymowniejszym dowodem tego zjawiska jest pracownia d-ra Bujwida, zajmująca cały pokoik w jednym z pawilonów. Już raz pisaliśmy o borykaniu się tego badacza z koniecznością niemal upadku z powodu braku środków. Prócz inicyatywy, pracy, funduszów, medycy, przyrodnicy, technicy, pedagodzy dają nieustannie zwiedzającéj publiczności naukę w formie żywego słowa wykładów. Tomy „Pamiętnika Fizyjograficznego“ i innych podobnych wydawnictw leżą na stoliku jak oskarżenie.

Nieobecność poparcia ogółu świeci bardzo rażąco. Koléj Warszawsko-Wiedeńska wystawiła i dała opis oczyszczania i zakwaszania wody, przeznaczonej do picia dla robotników. Znajdujemy również piękne rysunki urządzenia kanalizacyjnego w zakładach garbarskich pp. Pfeifrów przy ulicy Smoczéj w Warszawie. Niepodobna, żeby jakieś usiłowania w celu podniesienia warunków zdrowotności nie były robione na innych fabrykach, w domach, w majątkach wiejskich. Zakomunikowanie sobie tych środków za pośrednictwem wystawy byłoby chyba bardzo korzystne dla właścicieli. Przedsięwzięcie d-ra Polaka zyskałoby na tém niezmiernie i stało by się istotnie ważném i ciekawém. Od ogółu fabrykantów, lub ziemian nie możemy wymagać ułożenia np. planu ośmioraków, gdzie parobcy mieszkają, ale są przecie pomiędzy nimi kandydaci do przodowania, czemuż znowu nieobecni? D-r Dudrewicz wystawił zbiór czapeczek dziecięcych, zebranych wśród ludu różnych okolic; ludziom, mieszkającym na wsi, łatwo byłoby przysłać choć po jednym okazie ubrania zimowego i letniego, chociażby taką koszulkę, pod osłoną której przyszli obywatele kraju spędzają swe dziecinne lata. Do téj kategoryi zaliczyć się dadzą okna, kominy w chatach, statki, naczynia i t. d. Czekajmy przyszłéj wystawy.

Gdyby komitet miał większe środki, to zapewne zgromadziłby w jedną całość wszystkie te cząstki, które odróżnia napis na tablicach: „wystawa sekcyi.“ My sobie idziemy na plac Ujazdowski często dlatego, że jest-to rozrywka sezonowa, niejednokrotnie na ramieniu opiera się skarb jakiś, więc ani czasu, ani ochoty, ani usposobienia nie mamy do czytania tablic i napisów. Czekamy aż nas coś uderzy w oczy. A więc przechodząc od sérów p. Boguckiego, chleba

Grahama i kondensowanéj kawy Pągowskiego do analizy herbaty, możemy sądzić, że to p. Popów wystawił swój towar pod szklannymi kloszami. Gdybyśmy wiedzieli, że wkraczamy do przybytku wolnego zupełnie od przemysłu, a poświęconego wyłącznie wzorom, ostrzeżeniom i nauce, to zaraz nastroilibyśmy inaczéj uwagę. Może by ten i ów przekonał się, że nawet, kupując w porządnym i cieszącym się dobrą reputacyą sklepie, można się za grube pieniądze zaopatrywać w truciznę; że gospodarska znajomość rzeczy nic tu nie poradzi, i trzeba uciekać się nieustannie o pomoc i wskazówki do kompetencyi wyższéj niż podniebienie; że medycy i przyrodnicy wcale się nie drożą z udzielaniem wskazówek, lecz przeciwnie napastują sami i trzeba tylko uszy otworzyć; że nareszcie, zaprenumerowanie „Zdrowia“. nawet pod względem materyalnym jest dobrym interesem i ochronić może od niejednego złapania się.

Według mego sądu, wystawa nie zawiera kilku bardzo ważnych okazów, które można było z łatwością posiąść, a więc wina spada całkowicie na twórców. Okazy te należéć powinny do metody poglądowéj, która—jak to gotowe przysięgą lub zaklęciem się stwierdzić wszystkie poczciwe nauczycielki warszawskie—jest w 19 wieku szczytową doskonałością i odmawia jak kościół ortodoksyjny zbawienia wszystkiemu, co nie należy do niéj. Jeden z nich byłby fotografią bez objaśniającego nadpisu, aby wysiłki domyślności głębiéj zapisały rzecz w pamięci zgadujących. Sądzono by, że wyobraża jamę borsuka, albo jaskinię skalistą, okopconą przez pochodnie zwiedzających; wnętrze żołądka, zrujnowanego katarem, albo otchłań duszy zatwardziałego grzesznika, a to było by mieszkanie stróża w przeciętnéj kamienicy warszawskiéj. Drugi okaz powinien być zbiorem różnych przedmiotów, zabranych żywcem z jakiéj kuchni restauracyjnéj. Samego mistrza od garnków wzięto by za kominiarza, lub za murzyna z zoologicznego ogrodu. Szmata, uważana przez publiczność za zatyczkę z chłopskiego pieca, okazałaby się ścierką do wycierania talerzy itd. Ponieważ wystawione są rysunki i żywe okazy bakteryj i innych żyjątek podkopujących cenne zdrowie człowieka, należałoby przez samo poczucie sprawiedliwości dołączyć do zbioru modele fabrykantów win, kosmetykarzy i tym podobnych producentów i nareszcie właścicieli szynków, restauracyj i domów. Tych ostatnich przepraszam za moją uporczywą pamięć o ich osobach, nie jestem ja wcale ich wrogiem i nawet żywię to przekonanie, że gdyby został urządzony sąd, jak w pewnym poemacie Wiktora Hugo, i gdyby złożyli oni swoje książki, rozchody, ciężary, to chociaż obecność szkodliwego stworzenia nie była by przez to zanegowaną, ale szukać wypadło by go było daléj.

Sądzę również, że dział hygieny moralnéj wymaga rozszerzenia. Trudne to bardzo, wiem; czyby jednak nie można było radzić sobie w ten sposób, aby wyznaczyć nagrody za wynalezienie środka przeciwko choćby tylko najprzykrzejszym plagom. Ośmielam się nawet sformułować dla przyszłego konkursu dwa odpowiednie pytania:

1) Jakim językiem przemówić należy do właścicieli akcyjnéj fabryki wyrobów bawełnianych „Zawiercie", gdzie wszelkie zarządy i dyrekcye składają się z polaków, aby przynajmniéj na tych towarach, które sprzedają się na miejscu, przyklejano etykietki z napisami krajowymi?

2) Jak chronić społeczeństwo od fatalnych skutków lekkomyślności reporterów i uczonych literatów w rodzaju sprawozdawcy z książki p. R. Meyera?

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Zenon Chodyński** urodził się w Kaliszu 4 listopada 1836 r. wraz z bratem Stanisławem. Po ukończeniu szkół w mieście rodzinném przeniósł się do Włocławka i tu wstąpił do seminaryum; potém w akademii duchownéj warszawskiéj odbywał studya teologiczne, które ukończył w 1863 r. ze stopniem kandydata ś. teologii. A że i brat Stanisław został księdzem, razem odtąd szli z sobą; byli najprzód wikaryuszami w Sieradzu, potém nauczycielami seminaryum we Włocławku. Ks. Zenon w końcu został dyrektorem tegoż seminaryum. Był stałym współpracownikiem *Przeglądu Katolickiego* i *Encyklopedyi kościelnéj.* W r. 1869 ogłosił w Poznaniu: „Decretales summorum pontificum pro regno Poloniae et Constitutiones synodorum provincialium et dioecesanarum regni ejusdem ad summam collectae" (str. III 361, indeks str. XVI). W r. 1872 ogłosił w Warszawie: „Synodus archidioecesana Gnesnensis praesidente Stan. Karnkowski.... Lovicii a. MDLXXXII celebrata, nec non articuli alterius synodi ejusdem dioec. sub Jacobo Uchański habitae nunc primum ex archivo... Capituli Cathed. Vladis." (str. 68). W wydawnictwie „Uchansciana" 1883 znajdują się dokumenty zebrane przez ks. Zenona. Umarł w Warszawie 17 maja r. b.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI
nadesłane do redakcyi „Ateneum“
w ciągu m. Maja 1887 r.

---

1. **Piwo i piwowarstwo** w przeszłości naszej. Podał *Aleksander Jelski*. (Odbitka z czasopisma „Tellus“). Warsz. 1887, str. 19.
2. **Dzieje literatury powszechnej** z illustracyami. Tom II: Dzieje literatury średniowiecznéj, opracowane przez *J. Radlińskiego* i *E. Grabowskiego*. Warsz. nakł. S. Lewentala, 1887, 8-o. Część I str. 592; część II, str. od 593—1178.
3. **Kodeks dyplomatyczny polski** Tom czwarty. Rzeczy Szlązkie przez ś. p. *Michała Bonieckiego* zebrane, nakładem pozostałej rodziny Bonieckich wydał *Dr. Mikołaj Bobowski*. Warsz. 1887, 4-o, str. XIII, 237 i XII.
4. *Alfred Daniell*. **Zasady fizyki**. Podręcznik z 257 drzeworytami w tekście. Przełożył z upoważnienia autora podług najnowszego wydania angielskiego *J. J. Boguski*. Zeszyt VI (ostatni) od str. 769 do 872+XXXII, z portretem autora. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego, 1887, 8-o.
5. **Henryk hr. Łubieński i Benedykt Niepokojczycki**, dwaj kierownicy Banku Polskiego. Przyczynek do dziejów tegoż banku (1831—1865). Skreślił *Gustaw Plewako*. Warsz. 1887, 8-o, str. 36.
6. *Platon*. **Obrona Sokratesa**. Przekład z greckiego i objaśnienia dodał *Adam Maszewski* (pod redakcyą Henryka Struvego). Wyd. z zapomogi Kassy im. D-ra Józefa Mianowskiego. Warsz. 1885, 8-o, str. XII i 68.
7. **Sprawozdanie piąte** z czynności komitetu zarządzającego Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra Medycyny Józefa Mianowskiego. Za rok 1886. Warsz. 1887, 8-o, str. 72.
8. *A. Strzelecki* i *H. Kotłubaj*. **Encyklopedja rolnicza** i rolniczo przemysłowa. Zeszyt I. Lit. **A. — B**. Warsz. 1887, wielkie 8-o, str. 208 (z licznemi drzeworytami).
9. *Konstanty Wzdulski*. **Żydzi polscy** w świetle prawdy. Studjum spółczesne. Nakł. autora. Warsz. 1887, 8-o, str. 42.
10. *L. M. Łazarewicz*. **Szkice średniowieczne**. Zeszyt I. „Rozmowa o cudach“ Cezarego z Heisterbachu (Niemcy przed odrodzeniem). Warsz. 1887, 8-o, str. 36 (cena kop. 30).
11. **Słownik geograficzny** królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Warsz. 1887. Zeszyt 89 (tom VIII) od str. 321 do 400.
12. **Wschodnia granica Europy** przez *Wacława Nałkowskiego*. Warsz., 1887, 8-o, str. 22.
13. **Calendarium Landense** opracował *Teodor Wierzbowski* (odbitka z V tomu dzieła: Monumenta Pol. hist. str. 462 — 468). Lwów, 1886, wielkie 8-o, str. 8.
14. **Liber mortuorum monasterii Landensis** ordinis Cisterciensis wydał *Dr. Wojciech Kętrzyński* (odb. z V tomu Monum. Pol. hist. str. 468—500). Lwów, 1886, str. 36.
15. **Liber mortuorum monasterii beatae Mariae de Oliva** wydał *Dr. Wojciech Kętrzyński* (odb. z V tomu Monumenta Pol. hist. str. 501—536). Lwów, 1886, str. 38.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Марта 1887 г.